KWIATY dla TATY — STR. 10

WATERGATE — STR. 12

AWANGARDA RODZIŁA SIĘ W WALCE — STR. 3

MAŁY — STR. 5

BIAŁE WYGRYWA CZARNE PRZEGRYWA — STR. 7

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 25 (915) 19 CZERWCA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

W bieżącym numerze znajdzie Czytelnik bogaty zestaw materiałów dotyczących wydarzeń 1905 roku, które po raz pierwszy potężnie wstrząsnęły, nie zachwianym dotąd, imperium Wszechrosji, dając znać, iż na arenę polityczną świata, wkroczyła siła, która już za kilkanaście lat zdobędzie władzę po to, by w interesie upośledzonej dotąd większości, sterować losami narodów. Proletariat walczył. Na podstawie przytoczonych notatek, cytowanych wspomnień, opracowań dokumentalnych, a nawet fragmentów scenariusza widowiska telewizyjnego, staraliśmy się stworzyć możliwie pełny obraz, tych brzemiennych, czerwcowych dni, opisując nie tylko sytuację społeczno-polityczną proletariatu, ale również formy jego walki i klimat, atmosferę i uczucia ludzi, walczących o swój byt.

Sprawom dnia dzisiejszego, wobec zbliżających się mozolnych dni trudu i pracy w naszym rolnictwie poświęcony jest reportaż Jacka Indelaka — „Niedaleko od przemysłu".

Imprezy Łódzkiej Wiosny Artystycznej ledwo się skończyły, a już są pierwsze reperkusje. Profesor S. Skwarczyńska, w szkicu historyczno-literackim — „Dziesięć poetyckich festiwali" omawia dorobek łódzkiego środowiska literackiego, jego inspirującą rolę w dziedzinie uprawiania poezji i poezję w kraju. Andrzej Grun, w swoim polemiczno-dyskusyjnym wystąpieniu — „Tydzień plastyki i co dalej", dzieli się swymi refleksjami na temat zadań plastyki w naszym mieście.

Dziś rozpoczynamy nowy cykl artykułów, oparty na dorobku naukowym z dziedziny historii obyczajów prof. Zb. Kuchowicza, zatytułowany: „Uroda i przygody miłosne Barbary Radziwiłłówny". Są to większe fragmenty książki przygotowywanej przez Wydawnictwo Łódzkie.

Autorem reportażu „Białe wygrywa, czarne przegrywa" z naszego łódzkiego parku i z jego „kulturalnych rozrywek", jest Andrzej Makowiecki. Konrad Turowski pisze o najbardziej kontrowersyjnym ze wszystkich świąt — „Święcie Taty". Czy instytucja ta się przyjmie i będzie nobilitowana przez umieszczenie w kalendarzu? W każdym razie przeczytać warto.

„Fałszerze przy pracy" — taki tytuł nosi kolejny odcinek cyklu Andrzeja Blajera, dotyczącego głośnej afery politycznej w Stanach Zjednoczonych, znanej pod kryptonimem „Watergate". Jak zwykle, na tej samej kolumnie znajduje się następny fragment dzieła Ericha von Dänikena, w którym autor zastanawia się nad tekstami „Kabały".

Miłośnicy sportu znajdą swój ulubiony felieton, swej ulubionej autorki — Bogdy Madej, tym razem na stronie 13.

ROK 1905

KARTKI Z TAMTYCH DNI

PREZENTUJEMY FRAGMENTY DOKUMENTÓW, WSPOMNIEŃ, ZAPISKÓW I KORESPONDENCJI Z DNI HISTORYCZNYCH WYDARZEŃ. ODDAJĄ ONE NAJLEPIEJ ATMOSFERĘ TAMTYCH CZASÓW.

JÓZEF KAWCZYŃSKI:

„W styczniu 1905 r. byłem sekretarzem SDKPiL dzielnicy Wodnej. Doszły mnie słuchy, że u Steinerta szykuje się walka z dyrekcją. Mianowicie jeden z majstrów, Kleinman, obniżał zarobki i tak głodowe, a mając dozór nad halą, w której pracowały prządki, często w wieku od 10 do 13 lat, znęcał się nad nimi, gdy zmęczone zasypiały podczas wielogodzinnej pracy. Parę takich wybryków Kleinmana doprowadziło do tego, że robotnicy obili go i wyrzucili z fabryki. Nazajutrz Steinert zwolnił z pracy 13 robotników, podejrzanych o udział w „obiciu majstra-ulubieńca i z powrotem wprowadził go do zakładu. Ten fakt spowodował strajk".

FRANCISZEK JOACHIMIAK:

„Staliśmy na geyerowskim rynku, czekając na wiadomości z zakładu. Za chwilę na rynku dał się ponownie słyszeć stukot kopyt końskich. Za pierwszą grupą kozaków pędziła druga.

— Co to może być?

Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni. Jakby wiedzeni przeczuciem, ruszyliśmy w dół Piotrkowskiej. Nagle jakaś kobieta zatrzymała nas w biegu.

— Ludzie! — zawołała, łapiąc z trudem oddech. — Cała druga zmiana zastrajkowała. Z fabryki telefonowali po wojsko".

Strajk powszechny ze stycznia 1905 r. wysunął Łódź jako jeden z czołowych ośrodków rewolucyjnych nie tylko w Polsce, ale i w całej Rosji carskiej. Tu — w największym ośrodku przemysłowym, a zarazem największym skupisku klasy robotniczej Królestwa Polskiego, napięcie rewolucyjne potęgowało się z dnia na dzień. Świadczyły o tym, obfitujące w wystąpienia, strajki i demonstracje robotników, dni czerwca

Dalszy ciąg na str. 3

HISTORIA OBYCZAJÓW (I)

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

URODA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

Dzieje obyczajów świadczą, że zawsze i wszędzie przygniatająca większość mężczyzn faworyzowała kobiety wyróżniające się urodą i potrafiące dostarczyć im satysfakcji seksualnej. Formy i treść tego uznania określały i różnicowały materialne, społeczne i kulturowe uwarunkowania. Inne dowody łask pańskich otrzymywała metresa Ludwika francuskiego, niżli faworyta wschodnich, nawet sułtańskich serajów. Inaczej odwdzięczał się za okazywane mu względy artysta europejski XIX wieku, niżli ówczesny niewolnik murzyński czy mandaryn chiński. Różnj się przysłowiowa miłość szejka od uwielbień Romea czy Gustawa. Rzecz oczywista, że myślę także o uznaniu mężczyzn okazywanym w związkach najbardziej legalnych, uświęconych.

Dalszy ciąg na str. 6

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

JUBILEUSZ „GŁOSU ROBOTNICZEGO"

Obchody jubileuszu 30-lecia „Głosu Robotniczego" miały uroczysty charakter. Tysiące czytelników świętowało jubileusz swojej gazety, uczestnicząc w wielu spotkaniach i imprezach zorganizowanych w ubiegłą sobotę i niedzielę. Między innymi 14 czerwca odbyło się spotkanie Sekretariatu KŁ PZPR pod przewodnictwem I sekretarza KŁ B. KOPERSKIEGO z zespołem redakcyjnym. Obecni byli również: prezydent Łodzi — J. LORENS, przedstawiciel Wydziału Radia, Prasy i Telewizji KC PZPR — J. GRZELAK i wiceprezes ZO RSW „Prasa — Książka — Ruch" — WIESŁAW BEK.

W wystąpieniu swoim, I sekretarz KŁ PZPR — B. Koperski podkreślił doniosłą rolę, jaką gazeta ta spełnia od chwili swego powstania w kształtowaniu socjalistycznej świadomości społeczeństwa, a także w procesie przemian społeczno-gospodarczych w naszym kraju i województwie.

Podczas uroczystości wielu członków zespołu odznaczonych zostało wysokimi odznaczeniami państwowymi. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: S. Gromiec, M. Święcka i W. Udalski. Złoty Krzyż Zasługi nadano: H. Batorowicz, W. Cynkierowi, J. Plichowskiemu, K. Pogorzelcowi i H. Sroczyńskiemu. Srebrne Krzyże Zasługi otrzymali: J. Adamska, J. Malisz i G. Przysieżny. Ponadto wielu dziennikarzy udekorowano Honorowymi Odznakami m. Łodzi, a cześć otrzymała Dyplomy Honorowe i Medale SDP za długoletnią pracę dziennikarską.

Miniona sobota i niedziela były również świętem Czytelników „Głosu Robotniczego", którzy licznie uczestniczyli w zorganizowanych dla nich zabawach i festynach. M.in. w Hali Sportowej odbył się „Bal na 100 000 par", który atrakcyjniały występy znanych solistów i zespołów estradowych, natomiast w niedzielę łodzianie uczestniczyli w festynie w Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu.

WIZYTA TEATRU Z PRAGI

W mieście naszym bawi od kilku dni zespół Teatru S. K. Neumanna z Pragi. Artyści przybyli by przedstawić swoje nowe propozycje repertuarowe. Ich wizyta wiąże się z obchodami 30-lecia wyzwolenia Czechosłowacji i rocznicą Słowackiego Powstania Narodowego.

Zespół Neumanna zaprezentuje na deskach sceny Teatru Powszechnego, z którym współpracuje już od 12 lat, dwie sztuki: „Ewę szwaczkę" Gabrieli Preissowej oraz „Menidian", słowackiego pisarza, Jana Solovicza. O ile sztuka pierwsza reprezentuje narodową klasykę teatralną, to dzieło Solovicza należy do repertuaru współczesnego i przedstawia ostry konflikt ideowy i moralny w rodzinie komunisty, uczestnika Słowackiego Powstania Narodowego. W roli głównej wystąpi MILOS WILLIG.

Podczas spektaklu, zainstalowana będzie nowoczesna aparatura (specjalne słuchawki) i widzowie odbierać będą mogli tekst tłumaczony na żywo.

POMNIK CZYNU REWOLUCYJNEGO

W niedzielę, w przededniu Łódzkiej Czerwcowej Rewolucji 1905 roku, odsłonięty zostanie pomnik Czynu Rewolucyjnego. Usytuowany jest przy ul. Konstantynowskiej, w miejscu gdzie w 1905 roku rozstrzeliwano uczestników walk rewolucyjnych. Monumentalne, trzy betonowe płomienie stanowią główny akcent architektoniczny wznoszonego pomnika. Całość składa się ze 144 elementów betonowych, z fragmentów granitowego panneau, które przedstawia robotniczą demonstrację. Na płytach wyryte są daty ważniejszych wydarzeń w historii naszego narodu związane z rewolucyjnym ruchem robotniczym.

Autorem projektu plastycznego całości, jest znany artysta rzeźbiarz — KAZIMIERZ KARPIŃSKI, laureat wielu krajowych i zagranicznych konkursów.

KONFERENCJA NAUKOWA O REWOLUCJI 1905 R.

Staraniem Ośrodka Propagandy Partyjnej KŁ PZPR, Komisji Problemowej PAN do Badań Nad Historią Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, w dniach 22 — 24 czerwca br. odbędzie się konferencja naukowa na temat: „HISTORYCZNE ZNACZENIE REWOLUCJI 1905 ROKU".

W pierwszym dniu obrad uczestnicy konferencji wezmą udział w odsłonięciu pomnika Czynu Rewolucyjnego i uroczystościach ogólnomiejskich. W drugim dniu — 23 czerwca — w Auli Biblioteki Uniwersyteckiej nastąpi uroczyste otwarcie sesji. Poza referatami zasadniczymi: prof. dr LUDWIK BAZYLOW — „Rewolucja 1905 r. — pierwsza wielka próba dziejowa proletariatu i chłopstwa rosyjskiego" oraz doc. dr hab. BARBARA WACHOWSKA — „Rola Łodzi w rewolucji 1905 r.", przewiduje się wystąpienia Członków Komisji Problemowych Akademii Nauk Krajów Socjalistycznych.

Podczas posiedzenia popołudniowego, w auli Instytutu Historii UŁ, prof. dr HELENA BRODOWSKA omówi sprawę chłopską podczas rewolucji 1905 r. w Królestwie Polskim, natomiast JAN SOBCZYK będzie mówił o umacnianiu się polsko-rosyjskiego sojuszu rewolucyjnego w tym okresie i jego najważniejszych przejawach.

W kolejnym dniu, obrady konferencji przeniesione zostaną do zakładu przemysłowego w Dzielnicy Widzew, gdzie uczestnicy wysłuchają dalszych referatów, komunikatów i doniesień, po których przewiduje się dyskusję.

FILM KRÓTKOMETRAŻOWY

XV Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych, zakończony 3 czerwca w Krakowie, stawia omawiającego w przykrej sytuacji — powtarzać wypada rzeczy już dawno stwierdzone przez innych i przy innych okazjach. Ale nie ma na to chyba rady, skoro specyficzny stosunek twórców do uprawianej działalności filmowej znalazł odzwierciedlenie w werdykcie jury. Tendencje występujące od niepamiętnych czasów w filmie krótkometrażowym — te najbardziej dobitne, napotkały na pełną aprobatę ich sędziów. Dobitne — nie znaczy wcale wartościowe. Chodzi tu o tendencje sprawiające, że film dokumentalny staje się narzędziem z jednej strony — rejestracji faktów na użytek dydaktyki, z drugiej zaś — środkiem wyrażającym pewien zakorzeniony w ogólnej świadomości pozytywny stereotyp. W tym ostatnim przypadku mamy do czynienia z tendencją nadrzędną wobec pierwszej — jest to świadomie założony sposób funkcjonowania filmu: to, co przed kamerą, to, co na filmowej taśmie, ma być i jest zazwyczaj skutecznym potwierdzeniem — ilustracją pewnej tezy. Tezy nie wynikającej z krytycznej analizy społecznej mentalności, a tym bardziej nie prowokującej do przemyśleń, nie wywołującej jakiegokolwiek uczucia niezgody, wręcz przeciwnie — tezy mentalności tej schlebiającej, będącej odzwierciedleniem tego, co w mitologii zbiorowej zakorzenione, nierzadko — usypiające i znieczulające, a już zawsze — oczywiste.

I znowu nie da się uniknąć stwierdzeń w gruncie rzeczy banalnych, lecz, jak można po festiwalowych doświadczeniach mniemać, dyskretnie pomijanych w twórczym programowaniu. Dokument filmowy w czasach telewizji sprawdza się już tylko jako narzędzie społecznej analizy, a nie rejestracji dla samej rejestracji. Film taki ma sens wtedy, gdy jest osobistą, artystyczną konkretyzacją świata przepuszczonego przez filtr świadomości twórcy, a nie, gdy jest jedynie odbiciem publicystycznej, powszechnie znanej sztancy — rejestracją potoczności, która, jak mamy wielokrotnie okazję przekonać się, rzadko mówi coś więcej ponad to, co wiadome i zewnętrzne. Taśma filmowa musi dawać, a nie tylko przyjmować. Oczywiste, że najważniejsze jest „co", ale to „co" wynikające z „jak". I nie chodzi tu przecież o względy „formalne", ale o coś daleko ważniejszego: o sposób artystycznego patrzenia na rzeczywistość, o coś tak banalnego w nazwie, jak własne, twórcze widzenie świata. Bo cóż za sens ma film, który, będąc pozornie „mechanicznym" wizerunkiem świata, nie wydobywa z niego tego, co niewidzialne, niezauważalne w jego codziennej obserwacji, nie ukazuje tego, co jest pod zewnętrzną powłoką, a co zarazem dla świata reprezentatywne i ważkie.

Wiele filmów zaprezentowanych na festiwalu — w tym także trzy nagrodzone głównymi nagrodami — nie powstało chyba w błogim przeświadczeniu twórców, że wyszukanie postaci interesujących, może nawet faktycznie niecodziennych, powie coś więcej o naszej rzeczywistości, niż to, czego chcielibyśmy od niej oczekiwać, myśląc kategoriami dydaktycznych stereotypów. Rozbienie filmów dokumentalnych poprzez odnajdywanie i rejestrację niecodzienności zanurzonej w życiu zwyczajnym, nie może wynikać z przekonania, że ta samorzutna deformacja świata zastąpi deformację twórczą, że będzie symptomem podtekstowych jego prawidłowości. I nie takie przecież przekonanie przyświecało twórcom. To zresztą było by jedynie błędem. Ale filmowcy dobrze znają reguły gry. Mamy tu do czynienia z przebiegłością, z pewnym subtelnym wyrafinowaniem. Nie może więc wydawać się w tym kontekście przypadkiem, że jury mogło ogłosić istnienie „klucza" do werdyktu. Tym kluczem było ocenianie filmów jako dzieł przedstawiających ludzkie losy. Różne losy, różnych ludzi. Zawsze myślałem, że na festiwalach nagradza się filmy najlepsze. Tymczasem okazało się, że nagradzane są filmy, do których, uformowanych w zestaw, można dobrać „klucz".

To nie jest zły pomysł. Ale można go realizować jeszcze bardziej dosadnie, ku pożytkowi polskiego filmu. Może jury poda, według jakiego „klucza" będzie oceniało filmy w roku przyszłym. Będzie to gra bardziej fair, a i twórcy wiedząc o co chodzi, nie będą tworzyć po omacku. Komu się „klucz" nie podoba — filmów nie kręci, a więc konkurencja mniejsza, festiwal o dzień krótszy i znaczne zmniejszenie wydatków. Albo odwrotnie, jakkolwiek z takim samym skutkiem: gramy absolutnie „w ciemno", zgłaszamy filmy, „klucze" przechowujemy w zalakowanych kopertach, jedną z nich losuje maszyna wypożyczona z Totolotka, albo opatrznościowa dziewczynka, liczba filmów biorących udział w konkursie spada do kilkunastu — jeden dzień festiwalu, werdykt w zasadzie bezdyskusyjny, bo jakże tu dyskutować, skoro zadecydował ślepy i przez to sprawiedliwy los, ogólna zgoda, no i znów znaczne oszczędności czasu i funduszów.

Ale żartować tu trochę nie wypada, bo nie są to sprawy błahe. Trzy nagrodzone Lajkonikami filmy faktycznie są opisaniem ludzkich losów. Wybitny naukowiec — człowiek bezkompromisowy i zaangażowany; siedmioletni chłopiec — niewiarygodnie samodzielny i już świetnie zapowiadający się sportowiec; sędziwy artysta z Istebnej poświęcający całe życie benedyktyńskiej pracy dla swego regionu. Trzy postaci — trzy wzory. Mówią same o sobie, ale znamy je przecież skądś świetnie. Postaci, które ogląda się z satysfakcją. Jest to satysfakcja człowieka widzącego istniejące realnie własne, stereotypowe wyobrażenia — ku pokrzepieniu serc.

Chciałbym być dobrze zrozumianym — bohaterowie filmów są ludźmi rzeczywiście godnymi podziwu i uznania (w różnym oczywiście stopniu). Ale nie czynią przecież swoimi sylwetkami godnych podziwu filmów. Jest to różnica wcale nie subtelna. Nie neguję również potrzeby przedstawiania takich postaci w filmach, lecz droga do sztuki, od momentu znalezienia interesującego człowieka, jest jeszcze bardzo długa.

Ale można przecież zjawisko powstawania takich filmów uważać za obiektywnie uzasadnione. W fazie rozwoju kina, w której dokument filmowy przestał mieć sens, jako proste utrwalanie na taśmie wyglądów świata, a kiedy zarazem filmowanie stało się wystarczająco dostępne, by sztuka filmowa stworzyła sobie szerokie zaplecze kandydatów do jej świątyni, twórcy, których nie stać na wejście bramą główną — fundują sobie substytut sztuki, wchodząc tylnym wejściem. Nie potrzeba oceniać sprawności warsztatowej, gdy film jest „głęboko humanistyczny" i aż przerażająco słuszny. Oceniania umiejętności podstawowych można uniknąć, gdy sens filmu jest bez zarzutu. I można ogłosić się artystą. Jest to, powtarzam, zjawisko obiektywne. Coraz więcej ludzi bierze do ręki kamerę, coraz większe istnieje niebezpieczeństwo imitatorstwa. Tylko dlaczego zjawisko to ma spotykać się z aplauzem?

Niestety, zarzuty wymienione wyżej odnoszą się do znacznej części filmów krakowskiego festiwalu, a nie w szczególności do nagrodzonych. Filmów festiwalu, których poziom był w tym roku oznaką faktycznego schorzenia twórczości krótkometrażowej. Na tym tle, tym wyraźniej zarysowały się stosunkowo nieliczne, interesujące filmy — przede wszystkim, nagrodzony jedną z nagród głównych i Syrenką Warszawską, film Krzysztofa Kieślowskiego „Życiorys", „Wizyta" Marcela Łozińskiego (również nagroda Klubu Krytyki Filmowej) oraz część filmów z najnowszego dorobku łódzkiej WFO (tu wymienić warto „Sen o Kurozwękach" Stanisława Janickiego i film Wojciech Wiszniewskiego, „Wanda Gościmska — włókniarka"). Filmy łódzkiej wytwórni, jakkolwiek nie pozbawione ułomności, reprezentują jednakże kierunek poszukiwań twórczych, któremu doprawdy nie sposób zarzucić wygodnego nierzadko, jak się okazuje, pójścia na łatwość, na banalizujące uproszczenie. Jeżeli nawet można mówić o niedociągnięciach, to o niedociągnięciach w obrębie prawdziwej sztuki filmowej — i to sztuki z pewnością niekonformistycznej.

I jeszcze jedna istotna sprawa — na konferencji prasowej w ostatnim dniu festiwalu padały głosy ironistów, proponujących przemianowanie krakowskiej imprezy na Festiwal Reportaży Telewizyjnych. Jednocześnie wszyscy twórcy bronią się przed zarzutem „telewizyjności". Ale spójrzmy na dobry film Kieślowskiego — to także prawie reportaż telewizyjny, a przecież mówi on widzowi o wiele więcej o nim samym, niż to, co wynika ze słów padających na ekranie.

W obliczu rzeczywistych wartości myślowych, kwestie „telewizyjności" i „filmowości" okazują się być w rezultacie tylko problemami pozornymi.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

BEZ „KLUCZA" NIE PRZYSTĘPUJ!

MUZYKA

PIERWSZA POTYCZKA Z DIABŁEM

O tym, że nie da się opowiedzieć słowami „treści" utworu muzycznego — wiadomo znawcom i miłośnikom tej sztuki nie od dzisiaj. Jaki bowiem można znaleźć odpowiednik słowny dla sztuki — podobnie jak architektura — asemantycznej, niepojęciowej, której cała zawartość treściowa sprowadza się w najlepszym razie do stanów emocjonalnych kompozytora. Tylko struktura utworu jest obiektywnie uchwytna, tylko forma. Czy to jednak znaczy, że człowiek, który pragnie zawrzeć bliską znajomość z muzyką skazany jest na czytywanie fachowych analiz formalnych (oprócz słuchania muzyki, oczywiście).

W szczególnym przypadku muzykę „opowiadać" należy, wtedy mianowicie, kiedy się chce człowiekowi z nią nieobeznanemu dać „klucz" ułatwiający mu odczucie owej warstwy nastrojowo-emocjonalnej. Wówczas popularyzatorowi wolno — dla wyzwolenia muzycznej wyobraźni słuchacza — odwołać się do pozamuzycznych skojarzeń, uciec się nawet do tworzenia pomocniczych fabuł.

Tak właśnie poczynał sobie na niedawnym koncercie symfonicznym filharmonii, przeznaczonym dla telewizyjnego spożytkowania, Henryk Czyż. Nawet Symfonię „Oksfordzką" Haydna zaprzągł do służebnej roli ilustracji muzycznej, towarzyszącej wyimaginowanym perypetion „rycerza i księżniczki", którym to mianem ochrzcił oba tematy symfonicznego Allegra. Tym większe prawo miał tak postąpić z muzyką programową (bo baletową) do „Ognistego ptaka" Strawińskiego. Ale co znamienne, najsilniejszy oddźwięk u „nowych" słuchaczy i chyba najwyższą aprobatę u wyrobionych melomanów zyskał dyrygent (i narrator w jednej osobie) niezwykle sugestywnym wprowadzeniem w arcytrudne dzieło Pendereckiego „De natura sonoris". Tutaj zderzenie koncepcji dyrygenta z własną wizją słuchacza było po prostu pasjonujące.

I bez względu na to, na jakie argumenty można by się powoływać w obronie „czystości" muzyki przed ingerencją słowa, trzeba uznać, że cykl koncertów pod hasłem „Nie taki diabeł straszny" mający na celu pozyskanie nowego słuchacza dla pięknej, ale i trudnej sztuki muzycznej, zapoczątkował Henryk Czyż w sposób wielce udany. Prowadził swoją gawędę z wielką swadą i przejęciem, które udzieliło się licznemu audytorium. Nie zawiedli też świetnie dysponowani filharmonicy.

Rokuje to powodzenie tej śmiałej akcji popularyzatorskiej, która powinna się „obronić" na telewizyjnym ekranie.

JERZY KWIECIŃSKI

FESTIWAL PIOSENKI RADZIECKIEJ ZAKOŃCZONY

Kolejny, XI Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze dobiegł już końca. 38 piosenkarzy amatorów wykonujących piosenki i pieśni radzieckiej wystąpiło w dwóch koncertach przed ponad czterotysięczną widownią w zielonogórskim amfiteatrze. Ostatnim akordem festiwalu był sobotni koncert laureatów.

Jury XI Festiwalu, pierwszą nagrodę — Złoty Samowar — ufundowaną przez przewodniczącego ZG TPPR przydzieliło 17-letniej uczennicy ze Szczecina, MAŁGORZACIE OSTROWSKIEJ. Dwie drugie nagrody od Ministerstwa Kultury ZSRR i Ministerstwa Kultury i Sztuki PRL, otrzymali: JACEK BORKOWSKI z Warszawy i ILONA KOTABSKA z Gliwic. Nagrodą trzecią uhonorowano duet z Zabrza — TAMARĘ KUCERĘ i PIOTRA STANIENDĘ. Kolejnym laureatom przyznano również cenne nagrody, a ponadto 13 wyróżnień.

Podczas wręczania nagród, serdeczne gratulacje laureatom i wyróżnionym złożył sekretarz KC PZPR — JERZY ŁUKASZEWICZ.

PRASA

„REGIONY" — NOWE PISMO

Niedawno na rynku prasowym ukazał się nowy kwartalni społeczno-kulturalny **„Regiony"**. Pismo jest zresztą „nowe" jako kwartalnik tylko, bowiem wyrosło z czasopisma wydawanego przez wiele lat na wewnętrzny użytek Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Wydawca także się zmienił — poprzednie **„Regiony"** ukazywały się z inicjatywy i staraniem Zarządu Głównego Związku Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej — obecnie firmuje je Młodzieżowa Agencja Wydawnicza.

A zatem zarówno charakter, jak i adresat pozostał ten sam — młodzieżowy. Do tego młodzieżowego, ale o literackich ambicjach — czytelnika odwołują się „Regiony" już w pierwszym numerze, ogłaszając konkurs dla debiutantów na „opowiadanie prawdziwe". **„Zależy nam** — piszą organizatorzy — **przede wszystkim na opowiadaniach opartych na autentycznym wydarzeniu, przeżytym przez autora, bądź zasłyszanym".** W konkursie może uczestniczyć każdy, kto nie para się zawodowo piórem i nie należy do Związku Literatów Polskich czy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Pisząc o awansie młodzieży wiejskiej i całej polskiej wsi, jaki dokonał się w socjaliźmie, redakcja stwierdza: **„Chcielibyśmy, aby „Regiony" jako pismo wyrosłe z tego awansu, utożsamiły się ze społecznymi, kulturowymi i cywilizacyjnymi problemami, które ten awans zrodził. Lecz także, z wszelkimi zjawiskami — tak przeszłymi jak i współczesnymi — wyrastającymi z autentycznego podglebia kultury chłopskiej i robotniczej oraz z tymi różnorodnymi formami i przejawami aktywności kulturotwórczej, które energię swą czerpią z przeobrażeń społecznych naszego kraju".**

Pierwszy numer „Regionów" otwiera szkic **Bronisława Gołębiowskiego** — „Klasa robotnicza a kultura w socjaliźmie". Ponadto znajdujemy tam ciekawą próbę bilansu problematyki nurtu ludowego we współczesnej prozie, pióra **Zygmunta Ziątka**, wywiad z **Władysławem Hasiorem**, reportaże **Czesława Dziekanowskiego** i **Ryszarda Ciemińskiego**, proszę **Tadeusza Nowaka** i **Marka Harnego**, arcyciekawe listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych z końca XIX wieku. Poezję reprezentują — poemat **Tadeusza Kijonki** „Siódma północ" (o zasypanym w kopalni „Rokitnica" górniku Alojzym Piątku) oraz fragment fińskiego eposu narodowego „Kalevala", w przekładzie **Józefa Ozgi Michalskiego.**

„Regiony" redaguje zespół pod kierunkiem **Wiesława Myśliwskiego**, wybitnego pisarza średniego pokolenia, związanego swoją twórczością z chłopskim nurtem współczesnej literatury.

Ponieważ w nocie redakcyjnej zespół „Regionów" zaprasza do współpracy, zainteresowanym podajemy adres. Nakład pisma (5 tysięcy egzemplarzy) być może nie wszędzie jeszcze dotrze, zwłaszcza pierwsze numery. A zatem: **redakcja mieści się przy ul. Idzikowskiego 30, Warszawa 09-944.**

J. WIL.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

ROK 1905

ROK 1905. Groźne wydarzenia w fabrykach, niezadowolenie chłopów, wzrost ruchów narodowowyzwoleńczych — wszystko to wskazywało na przybliżanie się rewolucji. Swoistość wydarzeń polegała głównie na tym, że o sile ruchu, chociaż wysuwano wówczas hasła burżuazyjno-demokratyczne, decydował proletariat. Jednakże proletariat początku XX wieku odróżniał się od swoich poprzedników znacznie wyższą świadomością klasową i stanowczym rewolucyjnym działaniem.

WALERY GOŁOWKIN

WŁADYSŁAW JAWORSKI

AWANGARDA RODZIŁA SIĘ W WALCE

IWANOWO — WOŹNIESIEŃSK

Na początku XX wieku **Iwanowo—Woźniesieńsk** liczyło ponad 100 tys. mieszkańców. W mieście znajdowało się 56 fabryk, w których pracowało prawie 30 tys. ludzi, w tym ponad 11 tys. kobiet. W jednej fabryce włókienniczej pracowało nie mniej niż 1300 osób. Właściciele tych fabryk otrzymywali ogromne dochody.

Miejska Duma składała się wówczas z 40 osób i reprezentowała interesy przemysłowców, kupców, właścicieli domów. W 1905 roku w Iwanowie—Woźniesieńsku prawa wyborcze posiadało tylko 516 osób. Miasto przepełnione było żandarmerią i policją.

Robotnicy mieszkali w okropnych warunkach:

„Hałaśliwe, ciasne osiedla, na które nie rozciągała się ani troska władzy miejskiej, ani archaiczna władza miejska i tylko policja miała bezpośredni dostęp o każdej porze dnia i nocy w te tonące w brudzie ulice z niewielkimi — dosłownie — zabawkowymi domkami. Na całej przestrzeni nie było widać ani jednej drzozy, ani jednego kawałka zieleni. Pył i brud na ulicach, śmieci na podwórkach i nie kończący się huk fabryk, dym i sadze w powietrzu".

Prawo ograniczało dzień roboczy do 11,5 godziny, ale faktycznie trwał on 14 godzin na dobę. Za swoją wymęczającą pracę robotnicy otrzymywali 11—15 rubli miesięcznie, a kobiety 6—10 rubli. Chociaż ceny systematycznie rosły, płaca w 1905 roku pozostawała na poziomie roku 1880.

Leninowska gazeta **„Iskra"** niejednokrotnie zamieszczała korespondencje o niezwykle trudnej sytuacji życiowej iwanowskich robotników. W fabrykach praktycznie nie było żadnej służby medycznej. O stosunku do pracujących najlepiej świadczy fakt, jaki miał miejsce w fabryce Posłuszina. Jedna z robotnic, ciężko chora, niejednokrotnie prosiła o urlop spotykając się jednak ze stałą odmową. Wreszcie zagrożono jej zwolnieniem. Kobieta chwiejnym krokiem opuściła fabrykę i tuż za jej progami zmarła. Wystraszona administracja fabryczna posłużyła się oszukańczym chwytem. Szybko, z wsteczną datą napisano pismo o konieczności leczenia i urlopu, które włożono do kieszeni zmarłej.

ŁÓDŹ

Sytuacja robotnika polskiego niewiele różniła się od sytuacji proletariatu rosyjskiego. Szczególnie ciężkie było położenie robotników przemysłu włókienniczego: **„...15-godzinny dzień roboczy** — donosił inspektor Warszawskiego Okręgu Fabrycznego — **obowiązuje w przędzalniach bawełny i wełny".** Dotyczyło to w pierwszym rzędzie Łodzi jako centrum przemysłu włókienniczego.

W 1903 r. Łódź posiadała 482 fabryki, w których pracowało około 65 tys. robotników. Za 14—15 godzinny dzień roboczy kapitaliści płacili nędzne grosze, które nie wystarczały na utrzymanie rodziny. Zarobek tkaczy wynosił średnio 4 ruble tygodniowo. Kobiety otrzymywały przeciętnie 50—60 proc. zarobków mężczyzn za tę samą pracę, a młodociani 20—30 proc. normalnej płacy.

Niski poziom płac nie zapewniał robotnikom normalnego odżywiania. Niedojadanie, epidemie, nieszczęśliwe wypadki przy pracy powodowały przedwczesną starość i śmierć. Warunki życia robotników pogarszał niezwykle ciężki stan sanitarny miasta. Brak wodociągów i kanalizacji szczególnie silnie dawał się we znaki dzielnicom robotniczym.

Robotnicy byli niemal całkowicie pozbawieni praw politycznych. Władze carskie stały na straży interesów kapitalistów. Administracja carska prześladowała robotników za próby tworzenia swoich organizacji, za wystąpienia przeciw wyzyskiwaczom. Oprócz wyzysku kapitalistów i ucisku społecznego polską klasę robotniczą dławił ucisk narodowy ze strony samowładztwa carskiego, które dążyło do rusyfikacji narodu polskiego.

W Łodzi i Iwanowie—Woźniesieńsku przeciwności klasowe były szczególnie ostre. Obraz przeciwieństw społecznych Łodzi tego okresu uzupełniały takie kontrasty jak wspaniałe domy i wille kapitalisów oraz liczne lepianki, w których gnieździła się proletariacka część ludności. Łódź słynęła z sal koncertowych i pięknych hoteli, ale równocześnie brakowało ochronek dla dzieci, szpitali i szkół podstawowych.

RUCH ROBOTNICZY

Kryzys gospodarczy początku XX wieku i rosyjsko-japońska wojna jeszcze bardziej pogłębiły ciężkie położenie pracujących. Dojrzewa powszechne niezadowolenie. Ruch robotniczy zaczyna przyjmować wyraźne formy organizacyjne.

W Iwanowie—Woźniesieńsku w 1903 roku, według postanowień II Zjazdu Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji (RSDRP), „Północny Związek", który spełniał kierowniczą rolę dla iwanowskich komitetów fabrycznych został przekształcony w północny komitet RSDRP. W tym czasie miejska organizacja partyjna liczyła przeszło 400 członków. Jej charakterystyczną cechą było to, że mieńszewicy i przedstawiciele innych drobnoburżuazyjnych partii praktycznie nie mieli wpływu na ruch robotniczy. Na początku 1905 roku iwanowcy mieli już jedną z najlepiej zbudowanych socjaldemokratycznych organizacji w Rosji. Przewodził jej doświadczony rewolucjonista **F. A. Afanasjew** („Ojciec").

Od 1900 roku nastąpiło również ożywienie ruchu robotniczego **w łódzkim okręgu przemysłowym.** Wznowiła wtedy swoją działalność łódzka organizacja socjaldemokratyczna. Zasługą Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy było przede wszystkim to, że nakreśliła polskiej klasie robotniczej program rewolucyjny, oparty na socjalizmie naukowym.

Rys. Archiwum

SDKPiL pomimo że stanowiła wówczas partię wybitnie kadrową (w styczniu 1905 r. liczyła w Łodzi 120 członków) zdobywała coraz większe wpływy wśród klasy robotniczej. Do wzrostu nastrojów rewolucyjnych wydatnie przyczyniła się również działalność pozostałych partii robotniczych: PPS i Bundu, jakkolwiek prowadzono ją bez wzajemnego porozumienia organizacyjnego.

Rozstrzelanie robotników w Petersburgu przed pałacem cara 22 stycznia 1905 roku („krwawa niedziela") było zwrotnym momentem ruchu rewolucyjnego. O dojrzałości politycznej, rewolucyjności i głębokim internacjonalizmie łódzkiej klasy robotniczej świadczy fakt, że wystarczyło, iż do Łodzi dotarła tylko wiadomość o „krwawej niedzieli" i o wybuchu rewolucji w Rosji, aby 100 tys. włókniarzy łódzkich odpowiedziało powszechnym strajkiem politycznym. Strajk rozpoczął się w Łodzi 26 stycznia i już nazajutrz, rozszerzył się na cały łódzki okręg przemysłowy, trwając do 12—13 lutego. Strajk styczniowo-lutowy stanowił preludium bez mała 3-letnich walk rewolucyjnych w okręgu łódzkim. Władze carskie musiały uznać, że strajk miał charakter polityczny, zwłaszcza, gdy okazało się, że robotnicy nie przerwali strajku mimo, że niektórzy fabrykanci poszli na ustępstwa.

MAJ 1905

Do Iwanowa przybył z Moskiewskiego Komitetu RSDRP aktywny bolszewik, 20-letni **M. W. Frunze.** Mimo młodego wieku dysponował on dużymi umiejętnościami organizacyjnymi, inicjatywą i szybko zdobył sobie zaufanie robotników.

9 maja 1905 r. odbyła się konferencja partyjna z udziałem przedstawicieli kół z wszystkich fabryk. Uchwalono tekst żądań strajkowych i odezwę do robotników. 12 maja rozpoczął się strajk. Na drugi dzień na placu miejskim odbył się wielki mityng, gdzie z przemówieniami wystąpili znani oratorzy: **E. Dunajew, M. Łakin, M. Sarmientowa** i inni. W wystąpieniach tych zawarty był gniew pracującego człowieka, wezwanie do decydującej walki rewolucyjnej. Po mitvngu na ulicach miasta i na brzegu rzeki Talki (miejsce zebrań iwanowskich robotników) zaczęły się wybory do Rady Delegatów Robotniczych. Robotnicy wybierali ze swojego środowiska najbardziej zaufanych ludzi. W ten sposób po raz pierwszy w świecie utworzono ogólnomiejską Radę, która reprezentowała interesy pracujących. Do Rady wybrano 126 mężczyzn i 25 kobiet.

Od pierwszych dni systematycznie rosło w niej znaczenie bolszewików. Około 70 deputowanych było członkami RSDRP. Rada kierowała walką o wypełnienie 26 żądań robotników: zwołanie zgromadzenia ustawodawczego na podstawie ogólnych i bezpośrednich wyborów, wolność słowa, druku itd. Rada była faktycznie czasową miejską władzą — nie tylko prowadziła rozmowy z przedsiębiorcami, ale przejęła w swoje ręce kontrolę nad przedsiębiorstwami. W okresie strajku fabrykanci zmuszeni byli prosić Radę o zgodę na dokończenie obróbki półfabrykatów.

W mieście zamknięto sklepy z winem i piwem. Dyscyplinę utrzymywano przy pomocy specjalnie utworzonej milicji robotniczej. Na ulicach panował porządek jakiego nie było wcześniej. Przeczyło to fałszywym twierdzeniom burżuazji, że dyktaturze proletariatu towarzyszyć musi jakoby tylko krwawy terror, anarchia i bałagan.

BARYKADY

Po krótkim wytchnieniu również polska klasa robotnicza przystąpiła wiosną 1905 roku wraz z proletariatem Rosji do ponownej walki. Wobec zaostrzających się przeciwieństw klasowych, które znalazły wyraz w uporczywej walce strajkowej trwającej przez cały maj, **strajk w Łodzi w czerwcu 1905 roku przemienił się w powstanie zbrojne.**

22 czerwca 1905 r. całe miasto pokryte było barykadami, na których wiele dziesiątków tysięcy ludzi w ciągu dwóch dni prowadziło krwawe boje z regularnym wojskiem carskim. Był to jednak rewolucyjny zryw proletariatu jednego miasta, nie poparty przez zbrojne wystąpienie robotników w innych ośrodkach przemysłowych Królestwa Polskiego. Lenin, wskazując na ten niedostatek powstania łódzkiego, pisał: **„... ich powstanie ma po dawnemu charakter lokalny, pozbawione jest łączności z ruchem ogólnym..."**

Powstanie to miało charakter żywiołowy, pozbawione było organizacji i przygotowania materialno-wojskowego. Rewolucyjny zryw w Łodzi, nie poparty przez cały polski proletariat, bez łączności z ogólnorosyjskim ruchem rewolucyjnym, skazany był na niepowodzenie. Powstanie łódzkie zostało krwawo stłumione.

Jeszcze dymiły barykady w Łodzi, kiedy w **Iwanowie—Woźniesieńsku** na rzece Talce także urządzono krwawą rozprawę z robotnikami. Oceniając polityczną sytuację tych dni, W. I. Lenin pisał 3 lipca 1905 roku:

„Powstanie i walka zbrojna na barykadach Łodzi — masakra w Iwanowie—Woźniesieńsku — strajki powszechne i salwy do robotników w Warszawie i Odessie — ... oto najważniejsze wydarzenia polityczne ubiegłego tygodnia".

Mimo niepowodzeń, wydarzenia te odegrały ogromną rolę w politycznym wychowaniu robotników, przyniosły też pewną poprawę ich warunków materialnych. Miejski komitet RSDRP w Iwanowie—Woźniesieńsku stwierdził w deklaracji:

„Towarzysze! Strajk zakończył się. To nic, że nie wszystkie nasze żądania spełniono. Ale za to niech każdy rozważy, co było do strajku i co jest teraz. Wiele nauczył nas strajk..."

W. I. Lenin, rozpatrując wydarzenia w Polsce, dostrzegał charakterystyczną właściwość wystąpień polskiego proletariatu, spowodowanych nie tylko uciskiem politycznym i ekonomicznym, ale i narodowym.

„W miejscowościach najbardziej rozwiniętych pod względem przemysłowym — pisał — **gdzie robotnicy są najbardziej przygotowani politycznie, gdzie z uciskiem ekonomicznym i ogólnopolitycznym łączy się ucisk narodowy, policja i wojsko carskie działają szczególnie wyzywająco, po prostu prowokują robotników. I robotnicy nawet nie przygotowani do walki, nawet ograniczający się początkowo do obrony, pokazują, na przykładzie proletariatu Łodzi, nie tylko nowe wzory rewolucyjnego entuzjazmu i bohaterstwa, ale i wyższe formy walki... Nowe ofiary carskich pałaszy — w Łodzi zabito i raniono do 2000 ludzi — rozpalają płomienną nienawiść do przeklętego samowładztwa nowe dziesiątki i setki tysięcy obywateli".**

POWSTANIE ZBROJNE W MOSKWIE

Wydarzenia w Łodzi i Iwanowie—Woźniesieńsku były sygnałem do nowego rewolucyjnego nacisku w innych miastach. 25 czerwca, na znak protestu przeciw krwawej rozprawie z powstańcami łódzkimi, rozpoczął się strajk ogólny w Warszawie, gdzie także miały miejsce walki zbrojne. W czerwcowym wezwaniu Moskiewskiego Komitetu RSDRP podkreślono: **„...podtrzymywać naszych towarzyszy w Łodzi, Odessie, Iwanowie—Woźniesieńsku, czas i nam ogłosić strajk ogólny i podnieść się z bronią w ręku do boju z carskim samowładztwem".** Logicznym przedłużeniem tych wydarzeń było listopadowe zbrojne powstanie w Moskwie — szczyt rewolucji 1905 roku.

Wydarzenia w Łodzi, Iwanowie i innych miastach potwierdziły prawidłowość politycznego kursu bolszewików w pierwszej rosyjskiej rewolucji i jednocześnie pokazały bankructwo oportunistycznej taktyki trockistów, mieńszewików i innych drobnoburżuazyjnych partii. Powołując się na doświadczenia burżuazyjnych rewolucji XIX wieku w zachodniej Europie, zaniżali oni rolę klasy robotniczej i przyznawali wiodącą rolę burżuazji. Jednocześnie przywódcy ich całkowicie nie brali pod uwagę faktu, że rewolucja rosyjska odbywała się w innych warunkach historycznych i burżuazja nie mogła już przewodzić ruchowi rewolucyjnemu. **„Klasa robotnicza** — pisał W. I. Lenin — **swoją krwią przelaną na ulicach Petersburga, Rygi, Libawy, Warszawy, Łodzi, Odessy, Baku i wielu innych miast udowodniła swoje prawo do roli awangardy w demokratycznej rewolucji".**

Ofiarna walka robotników Łodzi, Iwanowa—Woźniesieńska i innych miast sprzyjała dalszemu rozwojowi ruchu rewolucyjnego. Rewolucyjne doświadczenie nagromadzone we wspólnej walce robotników rosyjskich, polskich i innych narodowości zostało wykorzystane w przyszłości.

Po lutowej rewolucji 1917 roku w Rosji znowu powstały organa narodowej władzy — robotnicze, żołnierskie i chłopskie Rady Delegatów. Proletariacki internacjonalizm polskich i rosyjskich robotników jeszcze bardziej zahartował się i okrzepł w latach wspólnej walki.

W. GOŁOWKIN — doktor, pracownik Instytutu Komunizmu Naukowego Politechniki Władimirskiej.

W. JAWORSKI — pracownik Międzywydziałowego Studium Nauk Politycznych Uniwersytetu Łódzkiego.

KARTKI Z TAMTYCH DNI

Dalszy ciąg ze str. 1

1905 r., których końcowym efektem były walki barykadowe.

Z telegramu gubernatora piotrkowskiego, Michała Arcimowicza, do gen. gub. warszawskiego — wysłanego 1 czerwca 1905 r.:

„...Z rozmów z dowódcą garnizonu łódzkiego dowiedziałem się, że przybył on do Łodzi równocześnie z podpułkownikiem sztabu gen. baronem Disterio. Dlatego, nie będąc jeszcze obznajomiony ze stanem rzeczy i nastrojem strajkujących robotników i przypuszczając, że nastrój ten się nie zmienił od czasu jego wyjazdu z Łodzi, wyraził przypuszczenie, iż znajdujące się tu wojska są wystarczające i że przysyłanie do Łodzi dodatkowo po jednym pułku kawalerii i piechoty jest zbędne. Obecnie, po bliższym zaznajomieniu, przekonawszy się, że sytuacja w Łodzi rzeczywiście się pogarsza i nastrój robotników staje się coraz bardziej niepokojący, doszedłem do wniosku, iż pozostawienie w Łodzi przysłanych dodatkowo pułków — perejesławskiego dragonów i tomskiego piechoty — jest bezwarunkowo konieczne i że tylko pod tym warunkiem można żywić nadzieję zapobieżenia i położenia kresu obecnym i możliwym w najbliższej przyszłości zakłóceniom porządku przez robotników. Zgodnie z zaleceniami Waszej Ekscelencji przedsięwziąłem wszelkie środki, zapobiegające wystąpieniom robotników".

8 czerwca łódzki korespondent pisma Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, „Z pola walki", donosi:

„Walka staje się coraz zaciętsza: fabrykanci zwracają się do gen. gub. z prośbą o zastosowanie środków „ochrony osób i mienia" czyli z prośbą o więcej wojska. Robotnicy mimo coraz to większych ofiar, mimo co dzień niemal powtarzających się krwawych starć, strajkują z zapałem, z prawdziwym bohaterstwem.

Fabrykanci dla zduszenia oporu uciekają się do słynnego środka z zachodu — zamykania fabryk (lokaut). Robotnicy, by przeszkodzić używaniu łamistrajków do pracy i utrzymać solidarność we własnych szeregach, nie wychodzą wcale z fabryk, tam jedzą, śpią, urządzają wiece.

Wzburzenie wśród ludności jest tak wielkie, że manifestują nawet dzieci. Oto na ulicy Wschodniej garstka dzieci, 20 do 30 chłopaków, manifestowała z czerwonym sztandarem w ręku. Policjant kazał żołnierzowi, idącemu za nim, strzelać do dzieci — żołnierz jednak odmówił. Policjant dał parę strzałów z rewolweru, zabił jednego, dwóch zranił. Pogrzeb bohaterskiego, kilkunastoletniego rewolucjonisty zgromadził następnego dnia przeszło 5 tysięcy robotników".

Z raportu gubernatora piotrkowskiego, Michała Arcimowicza do gen. gub. warszawskiego, Maksymowicza.

„Mam zaszczyt zakomunikować Waszej Ekscelencji, że do wsi Widzew powiatu łódzkiego przybyło 30 felczerów i fryzjerów, którzy zaczęli zrywać szyldy z zakładów fryzjerskich, bić w nich szyby i zmuszać fryzjerów, by przyłączyli się do tłumu strajkujących. Patrol kozacki, wysłany w celu stłumienia zamieszek, rozproszył gromadę awanturników i zatrzymał jednego z winowajców — Sympla, lat 17. W tym czasie robotnicy fabryki Heintzla i Kunitzera, powracający tłumnie z obiadu, w liczbie około dwóch tysięcy, zobaczywszy zatrzymanego, zaczęli żądać jego zwolnienia, kiedy zaś rewirowy widzewski, Martynow, zarządzający fabryką widzewską Winsche i dowódca sotni esauł Ikonnikow tłumaczyli robotnikom, że ich żądania są bezprawne i że powinni rozejść się, z tłumu rzucono w kozaków kamieniem, esaułowi zaś Ikonnikowowi niektórzy robotnicy zaczęli grozić pięściami i wymyślać. Na rozkaz esauła półsotnia kozaków rozproszyła robotników, przy czym ci rozbiegając się, padając i tratując nawzajem, doznali nieznacznych obrażeń. Ucierpiało 18 ludzi. Rozproszeni robotnicy udali się częściowo na swoje miejsca do fabryki, częściowo zaś zebrali się ponownie na podwórzu fabryki i zaczęli żądać zupełnego usunięcia ze wsi Widzew kozaków, grożąc w przeciwnym razie nowymi zaburzeniami. Spostrzegłszy za fabryką Heintzla i Kunitzera kąpiących się w stawie trzech kozaków, rzucili się ku nim z krzykiem i zaczęli obrzucać ich kamieniami. Kozacy wyskoczywszy z wody chwycili leżące na brzegu karabiny i dali trzy strzały, raniąc lekko jednego z robotników. Tłum rozszedł się potem na swoje miejsca w fabryce i po zakończeniu pracy spokojnie opuścił zakład".

Dalszy ciąg na str. 4

KARTKI Z TAMTYCH DNI

Dalszy ciąg ze str. 3

BRONISŁAWA WOJCIECHOWSKA:

„Wyruszaliśmy ulicą Łagiewnicką ze sztandarami i śpiewem w stronę bałuckiego rynku. Pochód szedł spokojnie, aż nagle gdzieś tam od czoła wybuchła strzelanina. Kilku ludzi padło między straganami, bo już dochodziliśmy do rynku. Ja znalazłam dwóch z tych poległych — Władka Żurka i syna Wichrowskiej, naszej sąsiadki, która miała własny domek na Młynarskiej.

Zebraliśmy się koło jej domu — wszyscy mieszkańcy z okolicy i jeszcze sporo ludzi z miasta, żeby razem iść na pogrzeb. Już mieliśmy wyruszać, gdy wtem nadjeżdża oficer z oddziału żołnierzy z resorką (takim małym wózkiem) i każe sobie wydać ciało zabitego chłopca. Myśmy się ścieśnili koło trumny, a matka tak długo po rosyjsku do oficera przemawiała i tak prosiła, aż wreszcie odjechał.

Do rogu Franciszkańskiej i Brzezińskiej doszliśmy spokojnie. Tak się zeszły cztery pogrzeby, idące z różnych stron na cmentarz. Na skrzyżowaniu stało wojsko i nie puszczało dalej. Jeszcze przed naszym przybyciem jeden pogrzeb nahajkami rozpędzili kozacy.

Staliśmy na skrzyżowaniu, czekając, kto pierwej straci cierpliwość — oni czy my. Oficer wezwał do rozejścia się, a widząc, że to nie skutkuje, podał komendę i żołnierze wycelowali w nas karabiny. Tłum zaczął się krok po kroku wycofywać. Nagle do pierwszego szeregu przecisnął się Feliks Dzierżyński, którego wtedy znaliśmy pod pseudonimem Felek. Nie uląkł się on wycelowanych luf. Wskoczył na ramiona jakiemuś rosłemu robotnikowi i zaczął przemawiać do żołnierzy. Przemówienie to widocznie wzruszyło oficera, bo kazał opuścić broń i dał wolną drogę pochodowi".

WŁADYSŁAW KOSSEK:

21 czerwca miał się odbyć pogrzeb robotników, zmarłych w szpitalach. Ale w nocy władze carskie w obawie przed powtórzeniem się manifestacji, wywiozły po kryjomu ciała zabitych i pochowały je na cmentarzu żydowskim. Tymczasem przed szpitalem Poznańskich zebrało się wielu ludzi. Były też dwa sztandary: jeden czerwony, a drugi czarny z trupią czaszką. Na wiadomość, że policja pochowała już zmarłych, postanowiono na znak protestu przejść przez miasto. Pamiętam, była godzina 6 po południu, gdy pochód wszedł na ulicę Piotrkowską.

Byłem wśród tych, którzy szli przed pochodem i wraz z innymi wołałem, aby zdejmować czapki. Z daleka widziałem, jak na skrzyżowaniu ulic Piotrkowskiej i Cegielnianej stoi na środku jezdni policjant. Ciekaw byłem, kto komu ustąpi z drogi. Gdy kolumna demonstrantów zbliżyła się do skrzyżowania, dwóch mężczyzn wyszło z pochodu i ująwszy policjanta pod ręce odprowadziło go na chodnik.

Za pochodem od strony Nowego Rynku jechał szwadron kozaków z oficerem na czele. Posuwali się wolno w odległości około 300 metrów. Po drodze dano nam znać, że przy rogu ulicy Nawrot i Piotrkowskiej pochód się rozdzieli. Rzeczywiście, część ludzi ze sztandarami skręciła w ulicę Nawrot, a część w ulicę Rozwadowską. Gdy jadący na końcu oficer spostrzegł, że demonstranci ze sztandarami skręcają w Nawrot, wydał rozkaz kozakom i szwadron puścił się za nimi galopem. Nim kozacy dopadli pochód, sztandarów już nie było widać. Pozostali tylko ludzie, którzy nie zdążyli się ukryć. Ci padli ofiarą brutalności kozackiej".

FRANCISZEK JOACHIMIAK:

„Spokojną manifestację robotniczą zaatakowali z impetem kozacy oraz piechota. Bez żadnego ostrzeżenia sypnęły się salwy z karabinów. Nie zdążyłem nawet pomyśleć o ucieczce, gdy poczułem potężne uderzenie w środek czoła. Upadłem i tracąc przytomność dostrzegłem jeszcze, że pochyla się nade mną tow. Polak z PPS, z którym cały czas szliśmy w pochodzie. Wyniósł on mnie ze strzelaniny na własnych ramionach. Na ul. Spacerowej złapał dorożkę i zawiózł mnie od razu do szpitala Poznańskich, gdzie ordynował dr Sterling. Znałem go już poprzednio. Był to człowiek bardzo szlachetny. Choć nie należał do partii, sympatyzował z nami i pomagał, gdzie tylko się dało. Tak i teraz wyświadczył mi przysługę, ukrywając mnie w suterenie szpitalnej i nie wciągając do rejestru chorych. Po 3 tygodniach wyszedłem ze szpitala zupełnie wyleczony".

22 czerwca rozpoczęły się pierwsze walki na barykadach łódzkich.

Opracował:
FRANCISZEK LEWANDOWSKI

GRZEGORZ KRÓLIKIEWICZ — **ANDRZEJ LIPIŃSKI**

LOKAUT ŁÓDZKI
(1907)
SCENARIUSZ TELEWIZYJNY

(fragment)

SCENA 9

Plac fabryczny.

Dyrektor stojąc na stopniach, mówi cicho. Zmusza to słuchających do niezwykłego skupienia.

— Staniecie po dziesięciu w rzędzie, w takim porządku jak stoicie u warsztatów. Pierwsi w dziesiątce będą zwiadowcy, a ostatni, w dziesiątym rzędzie stanie pan majster.

W każdej piątej setce ostatnim będzie wielmożny pan obermajster. Odtąd tak będziecie się ustawiać dla każdej potrzeby dyrekcji, dla rozkazu wielmożnych panów obermajstrów i panów majstrów. Wezwaliśmy dziś was po to, by przypomnieć, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie. Choć nie każdy może być w służbie wojskowej, to wszyscy, jak tu stoicie — sercem jesteście z tymi, co walczą. Aby okazać nasze uczucia, na cele wojny każdy z nas ofiaruje 5 rubli, wielmożni obermajstrowie 3 ruble, panowie majstrowie 2 ruble, a czeladź fabryczna 20 kopiejek.

Na chwałę naszych sztandarów, za bliski dzień zwycięstwa — trzykrotne ura!

Twarze majstrów obserwujące „ludzi fabrycznych" wznoszących okrzyki. Twarz milczącego robotnika. Majstrowie wyciągają go z czworoboku.

SCENA 10

Goście przy stole weselnym.

Starosta:
— O, jak łatwo wypił, ani się zakrztusił,
widać dla przyjaźni, bo go nikt nie zmusił.
Starościna:
Stawaj waćpan za kolejką i uważaj, jak ci leją.
Wszyscy:
Pijmy wszyscy zdrowie jego,
bo pan młody godny tego.
Starosta i Starościna:
Kuka sobie kukułeczka, gdzie zielony gaj,
rusz no Maryś się zza stołu, gościom rączkę daj.
Huknij nogą o podłogę, niech chałupa drgnie.
Złamiesz nogę, nic nie szkodzi, masz ich
przecież dwie.

SCENA 11

Panna młoda podaje rękę mężowi, starościna — staroście, druhny — drużbom. Rozpoczyna się polonez „chodzony po famule". Wychodzą na podwórze. Melodia jest przerywana stukotem kopyt o bruk. Orszak weselny spotyka orszak żałobny. Robotnicy niosą rannych. Spotkanie orszaków — weselnego i żałobnego. Z żałobnego padają ciche zdania:
— Grobczyński zabity. Siuda żyje. Szymański też żywy.
W miarowych odstępach czasu słychać z ulicy tętent koni.

SCENA 12

Piwiarnia Straucha, Robotnicy, roznosiciele piwa. Robotnik, szpicel, Mikołaj.

Mikołaj:
— Ludzi wojna potrzebuje, ale i bawełny potrzebuje. Jeszcze trochę i kołnierzyki każdy pokupuje, jak majster.
Robotnik:
— W trumnie prędzej cię położą.
Mikołaj:
— Nie pyskuj, boś nigdy lepiej...
Robotnik:
... — lepiej, jak się szybciej zdycha, bo się wtedy krócej męczy.
Mikołaj:
— Zdechniesz. Zdechniesz.
Robotnik:
— Grobczyńskiemu też tak życzyłeś? Lenartowiczowi i Gundziakowi też?!
Mikołaj:
— I sprawiedliwie.
Robotnik:
— Szpicel!

Mikołaj rzuca się na Robotnika. Ten wykręca mu rękę i odrywa połę marynarki i koszulę. Widać rękojeść pistoletu.

Robotnik:
— Pojutrze pogrzeb Siudy i Grobczyńskiego! Jak się tych szczurów będziemy bać, to wdowy same za trumnami pójdą. Kto się nie boi, niech przyjdzie na cmentarz.

Mikołaj gwiżdże. Wpadają tajniacy. Robotnicy, którzy wstali, by słuchać, przepuszczają Robotnika i zatrzymują szpiclów.

SCENA 13

Manifestacyjny pogrzeb. Odkryte trumny, niesione na ramionach — ulicami. Przed cmentarzem. Robotnik, którego pamiętamy z piwiarni, stoi na murze cmentarnym. Przed nim rzesza manifestantów, bezładna, zbita w gromadę. Przemawia:

— Nie ma potrzeby iść gromadą, bo zdepczemy mogiły. Na cmentarz wejdziemy w porządku fabrycznym. Z każdego szeregu wejdzie tylko dziesięciu. Dla wyróżnienia swojej dziesiątki, każdy dziesiętnik ma czerwoną kokardę. W ostatniej dziesiątce idzie setnik z kokardą przypiętą żałobnym paskiem. W zbiórce pieniędzy na sieroty i wdowy każdy podaje datek sąsiadowi, aż do dziesiętnika. Każdy dziesiętnik jest delegatem. Delegaci podają pieniądze jeden do dwóch, dwóch do czterech, czterech do ośmiu, aż do setnika. On jest oddziałowym. Oddziałowi na rękawach mają czerwone opaski. Oni zaniosą pieniądze komitetowym. Przy grobie komitetowi dadzą pieniądze wdowom.

W takim porządku wrócimy do fabryki. Każdy delegat pamięta swoją dziesiątkę, a każdy z dziesiątki niech zapamięta swego delegata. Porządek taki zachowa każda fabryka, dla łatwiejszego skupienia ludzi.

Zamykane trumny. Przybijane wieka. Nagle — na trumny w grobach wali się ziemia z hukiem — jak by miliony trepów pędziło po „kocich łbach". Trwa ta złowróżbna perkusja... Przy grobach wygłasza przemówienie ten sam robotnik, który uformował szyki:
— Mordują nas bezkarnie. Biją po plecach. Gwałcą nasze córki i żony. Głodem zmuszają do uległości. Strachem do posłuszeństwa. Żeby to się wreszcie skończyło, jutro i przez pięć następnych dni nie pójdziemy do warsztatów. Za każdy nie przepracowany dzień oddziałowy przyniesie należny lon. Musimy wstrzymać się od pracy. Bo nasza praca daje bogactwo fabrykantowi. Musimy odmówić mu tego bogactwa. Upomnijmy się o naszą pracę. Upomnijmy się o życie!

SCENA 14

Syrena. Otwierana brama fabryczna.

W famułach, w robotniczych mieszkaniach — zrywające się z poduszek głowy zaspanych mężczyzn — budzą się w odruchu warunkowym... Famuły stoją naprzeciw fabryki — jak machiny oblężnicze wrogiej armii. W oknie jednego z mieszkań majaczy zarys głowy. Twarz przylgnęła do szyby — patrzy. Pusta ulica.

Dziesiątki twarzy mężczyzn i kobiet przylgnęły do szyb okiennych w swoich mieszkaniach.

Pustą ulicą ktoś kroczy. Łupią echa pojedyńczego kroku. Postać zatrzymuje się na linii bramy. To łamistrajk. Patrzy w czeluść fabrycznego podwórza. Odwraca się. W każdym z okien „famułów" widzi tornetujące go oczy strajkujących. Łamistrajk bardzo wolno cofa się od bramy na „kocie łby" ulicy. A potem rozpoczyna paniczną ucieczkę, której koniec przedłuża echo odgłosów jego pędzących trepów — „piorunów".

I długa cisza.

SCENA 15

Podwórze — studnia famuły. Na podwórzu urzędnik administracji fabrycznej, majstrowie. Majster odlicza okna. Wreszcie gestem wskazuje długo na jedno z nich. Wszyscy wchodzą do klatki schodowej, która prowadzi do wskazanego mieszkania. Z wyznaczonego gestem majstra okna, wypadają po chwili drobne sprzęty. Z klatki schodowej majstrowie wynoszą łóżko, stół.

TO EKSMISJA.

Za nimi schodzi bezradna kobieta w kraciastej chuście, jej stary ojciec, jej mały syn. Przez okna leci — kołdra, poduszki.

Płoszą się gołębie siedzące na dachach komórek...

SCENA 16

Syrena. Wszyscy idą do fabryki. Przed bramą nie ma zawiadowców. Warsztaty stoją. Wejście na salę. Robotnicy w grupach stoją przy maszynach, w przejściach. Rozmawiają. Niektórzy czyszczą maszyny materiałem krojonym z bel bawełny. Inni trzymają w rękach prymitywne instrumenty — organki, butelki, bańki.

Tworzą się samorzutne grupy zabawowe.

Śpiewa Robotnik:

Dlaczego krawiec, co wciąż szyje,
o to najczęściej się pytamy.
Bo cały świat na naszym grzbiecie,
to cały ciężar my dźwigamy! (wszyscy)

Dlaczego ślusarz robi kasy,
których nie może ogień spożyć.
Na nic mu one, bo w te czasy,
na pewno nie ma w nie co włożyć! (wszyscy)

Dlaczego krawiec, co wciąż szyje,
surduty, fraki, modne spodnie.
A jednak wiecznie w nędzy żyje,
nie może się ubrać modnie! (wszyscy)

Dlaczego ten, co nie pracował,
rozbija się w wspaniałym gmachu.
A murarz, który go budował,
często nad głową nie ma dachu! (wszyscy)

SCENA 17

Zamykanie aptek. Eksmisja chorych z fabrycznego szpitala. Jakiś starzec trzyma się prętów łóżka. Majster wykręca mu rękę. Starzec rzuca w niego lekarstwami, niszcząc z furią i brudząc ubranie majstra.

SCENA 18

Kulminacja zabawy w fabryce.

Dziewczyna śpiewa:

Zalecał się kujawiance jeden tłusty szwab.
I dziewuchę za pazuchę z całej siły cap!
Z Kaśki była świarna dziewka i na cały zysk,
jak nie rąbnie szwaba w gębę,
aż mu napuchł pysk!

Chłopak:

Dziewczyno, buziak masz gładki,
daj całusa, daj.
Ślub weźmiemy na ostatki,
toż to będzie raj!

Dziewczyna:

Nie tumań, bajdów nie baj,
jakiż to może być raj!
Po Matce Bożej Gromnicznej
całuj mnie w nosek mój śliczny!

Inna grupa. Dziewczyna śpiewa:

Chciał się Wojtek w pana bawić,
przyjechał do Łodzi.
A że nie jest prostym chłopem
do fabryki chodzi.
Nie jest teraz prostym chłopem,
pije kawę czasem.
Wąsy smaruje pokostem,
a łeb koperwasem.

ROLNICTWO

NIEDALEKO OD PRZEMYSŁU

Przed dwoma laty do Błonia przyłączony został PGR Bzówki, PGR Głaznów, PGR Ostrowy i PGR Skłóty, które zniknęły pod wspólną nazwą PGR Błonie, powodując sporo formalnych nieporozumień. No, cóż, jak by na to nie patrzeć, Błonie — sąsiadujące przez miedzę z Krośniewicami — stanowi centralę gospodarstwa, pozostałe zaś cztery, podlegają jej, choć nie utraciły całkiem autonomii. Niby proste, ale tu i ówdzie — zwłaszcza w urzędach — wciąż się połapać nie mogą do końca, czy pod nazwą Błonie mieści się jedno, czy pięć gospodarstw.

JACEK INDELAK

Dzisiejsze **Błonie** — to tysiąc dziewięćset hektarów powierzchni, pięćdziesiąt milionów złotych wartości rocznej produkcji, dwustu czterdziestu pracowników, połowa produkcji w roślinach, drugie tyle — w zwierzętach, przeciętny stan inwentarza — tysiąc osiemset sztuk bydła, tysiąc sześćset — trzody chlewnej.

Błonie — to jeszcze czterdzieści osiem ciągników, pięć kombajnów zbożowych „Bizon", dwie sieczkarnie samobieżne, trzy radzieckie silosokombajny, cztery sieczkarnie polowe, cztery kosiarki rotacyjne, dwie jugosłowiańskie prasy o wysokim stopniu zgniatania, dwa kombajny do ziemniaków, francuski kambajn do buraków cukrowych „Matrot", sześćdziesiąt przyczep, trzy bazy paliw z dystrybutorami i cała masa pomniejszego sprzętu.

W Błoniu do mechanizacji i motoryzacji są przyzwyczajeni. O pomnażanie dóbr technicznych walczą tu dyrektorzy — **Romuald Majewski i Andrzej Rybczyński**, walcza kierownicy poszczególnych gospodarstw. Kupują, wymieniają na bardziej nowoczesne, ciągle do przodu, ciągle do siebie.

Rezultat — **Błonie jest jednym z najbardziej zmotoryzowanych i zmechanizowanych PGR.** Pod względem wyposażenia technicznego zalicza się do pierwszych „jaskółek", które jednak „wiosnę" muszą uczynić.

Rolnictwo w całym kraju potrzebuje pięćdziesiąt tysięcy nowoczesnych kombajnów zbożowych, w tegorocznych żniwach uczestniczyć ma w sumie dwadzieścia tysięcy kombajnów, w tym niewiele ponad siedem tysięcy nowoczesnych „Bizonów".

Płocka Fabryka Maszyn Żniwnych wyprodukowała w siedemdziesiątym roku dwa tysiące sto trzydzieści „Vistuli", w dwa lata później — tysiąc osiemset „Bizonów", a w zeszłym roku — dwa tysiące dziewięćset „Bizonów-Super". Trwa rozbudowa fabryki, która docelowo produkować ma w ciągu roku osiem tysięcy kombajnów: „Bizonów-Super" i dwukrotnie wydajniejszych „Bizonów-Gigantów". Za parę lat...

A dziś wciąż o sprzęt nie jest łatwo. W Błoniu wyliczają, czego im jeszcze brakuje, chociaż wszyscy mają świadomość wyjątkowo dobrej sytuacji, w jakiej znalazło się gospodarstwo w porównaniu z innymi. Szukać przykładów nie trzeba daleko: dość ich w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

Sprzętu jeszcze brakuje. Tym bardziej więc trzeba dbać o ten, który jest...

Dwa tysiące trzysta dwadzieścia godzin bez kapitalnego remontu. **Andrzej Rybczyński** z satysfakcją poklepuje blachę wysłużonego „Ursusa". Na oko i ucho — nie taki on

Fot. J. MRÓZ

znów wysłużony. A to wszystko bezpośrednia zasługa nie tyle producenta, co użytkownika — kierowcy z prawem jazdy pierwszej kategorii, **Bogdana Walczaka.**

Bogdan Walczak — z ogorzałą twarzą, sumiastymi wąsami — siedzi za kierownicą „Ursusa", na którego przyczepę-roztrząsacz spada zielonka, wyrzucana przez radziecki silosokombajn. Kombajnista jest uderzająco podobny do traktorzysty. Nic dziwnego: to **Kazimierz Walczak**, ojciec Bogdana.

Ojciec jest jednym z najstarszych stażem pracowników PGR. Syn też pracuje już tu od ładnych paru lat. Pracują zresztą zwykle razem, stanowiąc doskonały, rozumiejący się bez słów, duet.

„Ursus" wciąga roztrząsacz z sieczką na zieloną pryzmę na skraju pola. Do kombajnu podjeżdża drugi traktor z roztrząsaczem, prowadzony przez jednego z młodszych kierowców — **Jerzego Piaseckiego.**

Trzeci „Ursus" — ze **Szczepanem Kawalerskim** za sterem — ugniata, kursując w tę i z powrotem po pryzmie, kolejne warstwy zielonki. Traktor ten jeździ bez remontu kapitalnego trzy lata. A w jakim jest stanie! Tylko wymyć, wypucować, na wystawę można stawiać — stwierdza z dumą Andrzej Rybczyński.

To znów zasługa kierowcy. Kierownik gospodarstwa — młody inżynier, **Lech Wiewiórowski**, dumny jest ze swego pracownika. W tym „dumny", nie ma nic z ogromnej referatowej deklaratywności. W Błoniu, Bzówkach, Głaznowie, Ostrowach i Skłótach, co krok to przedstawiać chcą ludzi, w paru zdaniach nakreślić ich zasługi, ich zalety. Po prostu pochwalić się, a jednocześnie zamanifestować: PGR Błonie to nie tylko ziemia, nie tylko sprzęt, ale przede wszystkim — ludzie, bez których psu na budę by się zdała i ziemia, i najnowocześniejszy sprzęt...

O, proszę, tam, między polami jedzie drogą na dwukółce brygadzista, **Stanisław Małolepszy** — znakomity pracownik i fachowiec, ma posłuch wśród podwładnych, chociaż nie jest najbardziej surowy...

Kazimierz Kwiatkowski — to cały rozdział w historii gospodarstwa Ostrowy. Pracuje już w PGR dwadzieścia sześć lat. Główna siła techniczna gospodarstwa — mechanik, kowal, ślusarz — uniwersalna „złota rączka". Cały zresztą sprzęt mechaniczny trzyma tą swoją zdolną i silną ręką.

A Feliks Dumke, jeden z najstarszych wiekiem. Pracuje w kuźni, w gospodarstwie Błonie. Najprawdziwszy zresztą kowal. Przez wiele lat konie tylko podkuwał, teraz potrafi wykuć nawet „palce" do francuskiego kombajnu.

Z PGR związać ludzi nie jest łatwo. Nie tak daleko stąd do miejskiego przemysłu, w którym wciąż rąk do pracy brakuje. Trzeba te miejskie pokusy czymś przelicytować. Technika i nowoczesność — to teraz... ale ludzie nie tylko pracować, ludzie żyć przecież muszą. Z mieszkaniami problem.

W sąsiedztwie zabudowań gospodarczych PGR Błonie rośnie osiedle mieszkaniowe. Niewielkie to — sześć bloków po osiem mieszkań. Ale to tylko początek.

Początek osiedla i początek wielkiej metamorfozy, jaką zapowiada PGR Błonie, jego inwestycyjny program rozwoju Program, który ma kosztować czterysta pięćdziesiąt milionów.

W tym jeszcze roku zacząć się ma budowa obory na przeszło sześćset krów i cielętnika, na dwieście sztuk w Głaznowie. W Bzówkach zaś — jałownika na trzysta sześćdziesiąt stanowisk. W późniejszym terminie — tuczarni przemysłowej, na osiem tysięcy stanowisk o wydajności dwunastu tysięcy kwintali rocznie, a także wielkiej fermy indyczej — o pięciu tysiącach „niosek" rocznie i dwustu tysiącach „jednodniówek". Do tego ogromna suszarnia zielonek i mieszalnia pasz. Mechanizacja, kanalizacja, klimatyzacja itd. itd.

Jakie efekty przyniesie wcielenie w życie tego programu? Potrojenie wartości produkcji, przy niewielkim — o jedną trzecią — wzroście zatrudnienia. Osiągnięcie paru wskaźników, bijących na łeb średnią krajową. Na przykład — osiemdziesiąt trzy duże sztuki bydła na sto hektarów użytków, siedemnastu pracowników na tej samej powierzchni. A także — podkreśla dyrektor Andrzej Rybczyński — uzyskanie trzydziestu dwóch jednostek pociągowych na sto hektarów użytków, co oznacza wkroczenie z tym wskaźnikiem w wiek dwudziesty pierwszy, choć do końca dwudziestego stulecia pozostanie jeszcze ze dwadzieścia lat...

„GŁOS ROBOTNICZY"

„GŁOS ROBOTNICZY" — dziennik PZPR — obchodzi trzydziestolecie swego istnienia. Prezentujemy z tej okazji sylwetki kilku dziennikarzy spośród 44 pracujących w redakcji. Czytelnicy „GR" dobrze znają nazwiska wielu innych, którzy codziennie zapełniają łamy tej popularnej gazety. Uznaliśmy, za wskazane zaprezentować bliżej, między innymi tych, którzy mniej mają czasu na pisanie, a od pracy których zależy codzienny kształt pisma.

HALINA BATOROWICZ

Pracę w dziennikarstwie zaczęła w 1954 roku, a było to w Poznaniu, w „Gazecie Poznańskiej". Po roku przeniosła się do Łodzi i nieprzerwanie pracuje w „Głosie Robotniczym". Zaczęła od działu partyjnego, do którego po krótkiej przerwie powróciła i w którym pracuje nadal. Interesują ją przede wszystkim ludzie i ich trudne losy. Wynajduje sprawy zawikłane, niejednokrotnie bolesne dla ich bohaterów, które umie doprowadzić do końca, broniąc zawsze pokrzywdzonych i wywalczając dla nich sprawiedliwość.

Drugą jej pasją jest młodzież i to wszystko, co z młodzieżą się wiąże.

Od lat zajmuje się na łamach „GR" sprawami młodych, współpracując jednocześnie ze „Sztandarem Młodych". Pisuje nie tylko o pracy organizacji młodzieżowych, ale o tym wszystkim, co ważne jest dla młodych, co im pomaga i służy w kształtowaniu postaw.

Uprawia trudną sztukę reportażu. Specjaliści od tego gatunku dziennikarskiego narzekają na jego kryzys, na brak zainteresowania redakcji reportażem, na brak miejsca na reportaż na łamach codziennych gazet. Halinie Batorowicz mimo tych trudności udaje się nie tylko znaleźć interesujące tematy do reportażu, ale miejsce i przychylność redakcji na jego publikację.

Zajmuje się również publicystyką. Za tę dziedzinę dziennikarskiej twórczości, jak i za reportaże była wielokrotnie wyróżniana i nagradzana. Najbardziej ceni sobie — jak to stale podkreśla — I nagrodę w ogólnopolskim konkursie na publicystykę o problemach młodzieży. Tę nagrodę im. Hanki Sawickiej otrzymała w 1973 roku. Obecnie, z okazji jubileuszu 30-lecia „GR" otrzymała Złoty Krzyż Zasługi.

HENRYK PAWLAK

Przez 5 lat Henryk Pawlak był Prostaczkiem, który pisywał cotygo-

Dalszy ciąg na str. 6

SPRAWY LUDZI

NAJWIĘKSZA GWIAZDA

— Chcę z Tobą rozmawiać o największej gwieździe. Największej z tych, które ludzie dostrzegają przez teleskopy. Ona nazywa się...

— Cicho, cicho, nie wolno wymieniać imienia tej gwiazdy.

— Ależ dlaczego. Wszystko, co my, ludzie, nazwaliśmy, możemy nazywać po imieniu.

— Ne wszystko, nie wszystko. Są rzeczy zbyt wielkie!

— Cóż do tego ma wielkość. Ta gwiazda zresztą jest równie daleka jak wielka. Nigdy jej nie zobaczysz — chyba, że dopuszczą Cię przed największe teleskopy.

— To zamilczenie nazwy nie ma nic wspólnego z jej widokiem. Lęk mnie ogarnia na myśl, że ona istnieje.

— A cóż ma wspólnego jej istnienie z Tobą, ba, z ludzkością. Ona jest niezmiernie wielka,, ale istnieje niezmiernie daleko.

— Zbyt wiele tych bezmierności.

— Tak, ale cóż nas w końcu te biezmierności obchodzą?

— Jeżeli nas te bezmierności nie obchodzą, to dlaczego najmądrzejsi z nas oglądają ją przez teleskop.

— Dla wiedzy, dla wiedzy teoretycznej, czystej.

— Chwilowo teoretycznej i czystej. Ale pewnego dnia, pewnego stulecia ta wiedza skłoni ludzkość do posunięć praktycznych — także w stosunku do tej gwiazdy.

— To znakomicie. Jeżeli nauki i umiejętności rozwiną się tak dalece, że będziemy mogli poczynić kroki praktyczne i w stosunku do tej gwiazdy, to zapewne będziemy do tego znakomicie przysposobieni.

— Tak, tak. Ale czy wiesz coś o rozmiarach tej gwiazdy. Być może jest ona większa od całego wszechświata.

— To wykluczone. Przecież mieści się we wszechświecie — ona i wiele innych gwiazd.

— To myślenie nasze, ziemskie. Ale tam w tym dalekim prawdziwym wszechświecie obowiązują inne prawa przestrzeni i czasu. Podobno jadąc gdzieś, człowiek się odmładza, jadąc gdzieś — postarza. Tam część może być większa od całości, tam chwila przerasta wieczność.

— A gdyby nawet tak było, to dlaczego ma to wzbudzać lęk, a nie odwagę.

— Dlatego, że kiedy my dostaniemy w ręce tę gwiazdę, to przekonamy się, że nie ma gwiazdy bądź że nie ma nas, bądź że nie ma rąk.

— Różne rzeczy mogą się objawić, kiedy dotrzemy do tej gwiazdy — wszystko to nie tłumaczy Twojego lęku.

— Widzisz, ja byłem człowiekiem lękliwym, bałem się niemal wszystkiego, to trwało do chwili, w której przeczytałem o tej gwieździe. Od tego momentu przestałem się obawiać czegokolwiek — bałem się tylko tej gwiazdy — niczego więcej.

— Nie lękasz się nawet samego siebie?

— Nawet samego siebie już się nie lękam.

— No, a teraz powiedz mi co wyprawiasz, daczego włazisz pod stół.

— Cicho, cicho, ja pomyślałem o największej gwieździe...

BERNARD SZTAJNERT

„GŁOS ROBOTNICZY"

Dalszy ciąg ze str. 5

dniowy list do redakcji. Były to „Listy Prostaczka" — stały felieton, jaki ukazywał się na łamach „Głosu Robotniczego" przed kilkoma laty. Ostatnio przez długi czas, w ubiegłym i bieżącym roku, pisał cykl artykułów na tematy kulturalne: „Oblicza kultury".

Henryk Pawlak uważa, że dziennikarz wypowiedziawszy się w jakimś cyklu, felietonowym czy publicystycznym, powinien na pewien czas zrobić przerwę, aby zebrać nowe doświadczenia do nowych przemyśleń. I wierny jest tej zasadzie.

Pracę w „Głosie Robotniczym" zaczął w 1955 roku po ukończeniu studiów polonistycznych. Ukończył je w Łodzi, na Uniwersytecie Łódzkim, a następnie bronił pracy magisterskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Pracę dziennikarską zaczął w dziale listów i korespondentów, kilka miesięcy pracował w dziale partyjnym, aby osiąść na stałe w dziale kulturalnym, którym kieruje od blisko 10 lat.

Na początku zajmował się sprawami upowszechnienia kultury. Przez ostatnich 8 sezonów teatralnych recenzuje wszystkie niemal spektakle, koncentrując poza tym uwagę publicysty kulturalnego przede wszystkim na życiu artystycznym Łodzi.

Wiele czasu poświęca inspirowaniu innych dziennikarzy. O Henryku Pawlaku mówi się w zespole „Głosu Robotniczego", że jest łagodnego usposobienia, ale jednocześnie jest bardzo wymagający, surowy w ocenach, dążący do tego, aby publicystyka kulturalna gazety miała coraz wyższy poziom i dotyczyła najistotniejszych spraw miasta. Z jego inspiracji i pod jego kierownictwem „GR" przeprowadził wiele ciekawych i pożytecznych sondaży, ankiet i plebiscytów.

STEFAN KOTLAREK

Pełni w redakcji „Głosu Robotniczego" najtrudniejszą, najbardziej odpowiedzialną, najwięcej pochłaniającą czasu funkcję. Jest sekretarzem redakcji. Przez jego ręce przechodzą niemal wszystkie materiały redakcyjne: artykuły, reportaże, informacje, sprawozdania. Musi to przeczytać, zaadiustować — czyli przygotować do druku — czasem skrócić, poprawić. Najwcześniej przychodzi do redakcji i najpóźniej z niej wychodzi Do niego kierują się wszystkie pretensje. I te, od Czytelników „GR", i te od dziennikarzy, jeśli w ich artykułach czy informacjach znajdą się błędy popełnione przez drukarzy, a nie wyła-

pane w porę przez korektę.

Stefan Kotlarek lubi swoją pracę. Studiując na Uniwersytecie Warszawskim dziennikarstwo, zaczął współpracować z Polskim Radiem. Po studiach otrzymał nakaz pracy i skierowanie do Łodzi, do „Głosu Robotniczego". Było to 23 lata temu. Najpierw pracował w dziale bytowym, później partyjnym, następnie kierował działem miejskim, wreszcie został kierownikiem działu wojewódzkiego. Przez jakiś czas pełnił funkcję zastępcy sekretarza redakcji, a obecnie jest sekretarzem redakcji.

Jego pasją jest wojsko. Interesuje się problematyką współczesnego wojska, pisuje na ten temat jeśli mu czas tylko pozwoli. Był jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy odwiedzili naszych żołnierzy pełniących służbę w Siłach Zbrojnych ONZ, nad Kanałem Sueskim. Jego relację z tej wizyty publikowaliśmy również na łamach „Odgłosów".

WIESŁAW CYNKIER

Wiesław Cynkier w dziennikarstwie tkwi od dawna — zaczynał od depesz, robił także korektę, potem kierował działem zagranicznym „Głosu Robotniczego". W tej gazecie jest od roku 1954 — czyli ponad 20 lat

Dalszy ciąg na str. 7

HISTORIA OBYCZAJÓW (I)

Dalszy ciąg ze str. 1

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

URODA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

Ileż to znanych książek zostało zadedykowanych żonom pisarzy, ileż to razy małżonki słynnych malarzy były portretowane, malowane jako nimfy czy Madonny, dość przypomnieć tu ślubne towarzyszki życia Rubensa, Rembrandta, naszego Matejki. Nie chcę upraszczać zjawiska, można jednak twierdzić, że uroda i przysłowiowe kwalifikacje alkowiane, w dużej mierze decydowały o tym, iż różne Laury, Saskije i Maryle przeszły do historii.

Do grona wyjątkowo pięknych i atrakcyjnych, nie tylko w skali polskiej, lecz europejskiej kobiet, należy zaliczyć właśnie Barbarę Radziwiłłównę. Jeśli przeszła do historii, jeśli tyle o niej napisano, tyle razy przedstawiano w malarstwie historycznym, to w pierwszym rzędzie zdecydowały o tym walory jej ciała. Na losach hetmańskiej córy zaważyła uroda, która spowodowała, że zwrócił na nią uwagę, a następnie zakochał się w niej i wyniósł nad wszystkie kobiety swego królestwa Zygmunt August. Powszechnie wiadomo, że właśnie wielka miłość tej pary przyniosła Barbarze nieśmiertelną sławę, można być jednak pewnym, iż nie byłoby tej miłości, nie byłoby romansu stulecia, gdyby nasza bohaterka nie posiadała tak świetnej aparycji.

Jaśniała bowiem wielką, przysłowiowo królewską, urodą. Była słusznego wzrostu, smukła, bardzo zgrabna. Jej szczupła talia kontrastowała z szerokimi biodrami. Nie była tęga, ale też nikt nie nazwałby jej chudą, proporcje ciała można u niej uznać za doskonałe. Zachwyty wzbudzało także, a bodaj przede wszystkim, piękne oblicze. Twarz miała owalną, niezbyt wielką, o liniach policzkowych zbiegających się ku brodzie pod kątem ostrym, o nosie dość długim, charakteryzującym się niewielkim garbkiem. Nasadę nosa miała wąską, a sam nos cofnięty w głąb czoła. Twarz tę zdobiła para ciemnych, wielkich, otoczonych gęstymi rzęsami oczu. Nad nimi rysowały się wąskie lecz wyraźne, lekko łukowate brwi. Czoło miała wysokie, nieco wypukłe. Usta niewielkie, o wyraźnie wykrojonych, dość pełnych wargach. Pod nimi kryły się dwa rzędy równych, lśniących bielą zębów. Na podstawie zachowanych portretów możemy prawie na pewno twierdzić, że była blondynką. Posiadała też jasną, przysłowiowo alabastrową cerę, co uważano wówczas za wielką zaletę urody. Nasza pani mogła być też dumna z pięknych, smukłych, o delikatnych palcach dłoni. Piękno jej rąk wzbudzało uznanie ówczesnych koneserów.

Wielbiciele, a i większość opinii, uważała ją wówczas za wielką piękność. W jednej z kronik czytamy: „Barbara, ze składu i twarzy tak piękna, że z zazdrości urody jej niewinności uwłaczano". Porównywano ją z klasycznymi pięknościami, powiadano, iż była „piękna na schwał niby Helena", podkreślano „krasność" jej urody. Tego rodzaju komplementy prawili nie tylko dworzanie czy adoratorzy, wypowiadali je starsi, ostrożni w ferowaniu sądów dyplomaci. Na przykład poseł wenecki uważał, że jej oczy były fascynujące. Poseł króla rzymskiego Jan Lang w swych listach powtarzał, że Barbara „ma jakiś urok w obliczu i w oczach". Znaczyło to, że w jej urodzie tkwi wręcz jakaś moc nieczysta, że rzuca urok czyli czary na otoczenie. Dla ścisłości historycznej trzeba dodać, że spotykało się opinie o jej urodzie także bardziej krytyczne. Pewien dyplomata niemiecki uważał, że miała piękne oczy i ręce, lecz twarz „litewską". Wielkopolscy opozycjoniści, występujący przeciwko małżeństwu Zygmunta Augusta z Barbarą, przebąkiwali, choć jej nie znali, że król mógł sobie znaleźć żonę „piękniejszą".

Opisy krytyczne należy jednak uznać za odosobnione, prawie jednogłośnie mówiono i pisano o niej jako o kobiecie niezwykle urodziwej. Na zachowanych portretach wygląda różnie. Jej portret mankiewiczowski pozwala i dziś uważać ją za piękność. Na innych portretach prezentuje się nieco gorzej, wiemy jednak, że malarze nie zawsze potrafią uchwycić najważniejsze cechy portretowanej osoby. Z drugiej strony, typ piękności kobiecej na przestrzeni wieków, w zależności od czasu i kręgu kulturowego, ulegał zmianom. Nasza Barbara nie przypomina na przykład helleńskich Afrodyt czy rubensowskich nimf. Jest za smukła, nazbyt pastelowa jak na barok czy secesję, znów za pełna, nazbyt „kobieca" i „słodka" jak na gotyk czy ideał piękności lansowany w ostatnich dziesięcioleciach na Zachodzie. W XVI wieku, w jej stuleciu, panowały charakterystyczne dla Odrodzenia wzorce. Nikt nie zwrócił dotąd uwagi, że Barbara przypominała właśnie ideał piękności niewieściej przedstawiony przez znanego pisarza włoskiego z pierwszej połowy tego wieku Firenzuolę. Autor niezwykle wnikliwie i drobiazgowo opisał idealną urodę, kierując się nie lubieżnością, co było w tamtych czasach dość częste, lecz zmysłem piękna. Jeśli chodzi o włosy, to pierwszeństwo przyznawał, jak pisał Burckhardt, „najpiękniejszym i najbardziej naturalnym włosom »biondo«, tyle że u niego oznacza to łagodny kolor złoty z odcieniem brązowym. Poza tym żąda, by włosy były gęste, faliste i długie, czoło pogodne i dwa razy tak szerokie jak wysokie, cera olśniewająco jasna, ale nie martwej białości, brwi ciemne, jedwabiste, najgęstsze w środku i zwężające się w kierunku nosa i uszu, białko oczu lekko błękitne, tęczówka niekoniecznie czarna (...). Oko samo ma być duże i wypukłe, najpiękniejsze są powieki — białe z prawie niewidocznym różowym żyłkowaniem, rzęsy niezbyt gęste, niezbyt długie i niezbyt ciemne. Oczodół powinien mieć tę samą barwę co policzek. Ucho średniej wielkości, jędrne i kształtne (...). Nos, stanowiący o piękności profilu, powinien się łagodnie i równomiernie zwężać ku górze; u nasady chrząstki może być nieco wyższy, ale nie o tyle, by miał rysunek orlego nosa, który się u kobiet nie podoba (...). Usta woli raczej małe, ale nie spiczaste, ani płaskie, wargi niezbyt drobne i ładnie przylegające (...). Zęby powinny być niezbyt drobne, równe, dobrze rozmieszczone, barwy kości słoniowej (...). Broda okrągła nie ścięta ani spiczasta (...). Szyja ma być biała i krągła, raczej długa niż krótka".

Porównując ten opis z wyglądem Barbary nasuwa się refleksja, że nasza bohaterka niemal w pełni odpowiada temu wzorowi. Jej jasna cera, wielkie oczy, nieco wyższy u nasady chrząstki nos, niewielkie, ładnie wykrojone usta, jak i inne cechy, odpowiadają wymogom renesansowego estety. Przypuszczam, że moment ten mógł mieć duży wpływ na uczuciowe zaangażowanie Zygmunta Augusta, który przecież wedle renesansowych gustów kształtował swe upodobania. Podobnie oceniali ją inni, znający wzory zachodnie, współcześni. Można więc twierdzić, że była to piękność w stylu epoki. Wzorujący się na klasycznych teoriach esteci, na litewskich rubieżach spotkali kobietę, która uosabiała gusty zachodnich znawców.

Urodę podkreślała umiejętną kosmetyką. Między innymi stosowała bielidło, czyli staroświecki puder, który wybielał jej i tak jasną cerę. Już jako rezydująca na Wawelu królowa prosiła matkę o przysłanie bielidła z Wilna, widać wileńskie specyfiki kosmetyczne były wówczas lepsze niźli wytwarzane w stołecznym Krakowie. Wydaje się, że specjalne środki stosowała dla uwydatnienia linii brwi i ust. Należy dodać, iż kobiety włoskie czasów Odrodzenia posiadały cały arsenał upiększających płynów, maseczek i szminek, przystosowanych do każdej części twarzy, nawet do powiek i zębów. Kaznodzieje wołali z ambon, że szminka jest oznaką ladacznic, zwalczali wyszukaną kosmetykę, moda nakazywała jednak obnosić umalowane i upiększone oblicza. Zabiegi kosmetyczne Barbary, które przyswoiła sobie pod wpływem litewskiej kultury obyczajowej, były zgodne ze zwyczajami kobiet Zachodu, co znów przyczyniło się do tego, iż uosobiła typ modnej damy europejskiej.

Barbara potrafiła umiejętnie podkreślać, eksponować swe wdzięki. Jej urodę uzupełniała, „oprawiała" wyszukana, wysokiej klasy elegancja. Historycy obyczajów uważają ją za wielką elegantkę i strojnisię swych czasów. Lubowała się w drogich suknach, kosztownościach, ozdobach. Posiadała szaty z drogich materii, jak atłasu, adamaszku, złotogłowiu. Głowę stroiła weneckimi biretami lub sobolowymi czapkami. Zgodnie z wymogami ówczesnej mody ubierała się w kolory kontrastowe, łącznie z bielą i czernią. Pośród szat noszonych w czasach panieństwa spotykamy na przykład suknię z białego adamaszku bramowaną czarnym aksamitem. Przede wszystkim jednak lubiła kolor czerwony. W tym kolorze sprawiała sobie nie tylko suknie i birety, lecz także poduszki, nawet powóz przyozdabiała szkarłatnymi oponami.

Zgodnie także z wymogami mody przyozdabiała się biżuterią. Lubowała się w pierścieniach, których nosiła zawsze kilka. Pozostał po niej między innymi wspaniały, może jej ulubiony, pierścień. Oprawa jego była z inkrustowanego czarną emalią złota, stanowiąca tło dla trzech, wielkości ziarna grochu, kamieni: diamentu, rubinu i szmaragdu. Na szyi zawieszała kunsztownej roboty złote łańcuchy z medalionami. Ulubioną jej ozdobę stanowiły wszakże perły. Już po raz pierwszy idąc za mąż (w 1537 r. za Stanisława Gasztołda), posiadała w swej wyprawie „dziesięć kołnierzów perłowych" i inne dodatki z pereł, którymi zdobiła szaty. Portretowała się chętnie w tych ozdobach, hojnie wieńcząc perłami swe nadobne lica. Można przyjąć, że jako blondynka wyglądała w nich subtelnie a równocześnie bardzo efektownie. Prawdopodobnie kolor pereł dobrze konweniował z jej jasną karnacją ciała. Zachowane portrety świadczą, że ubierała się bardzo kosztownie, jednak z gustem i umiarem, nie przeładowując stroju klejnotami, nie nakładając zbyt wielu pierścieni.

Już jako panna jeździła karetą, zaprzężoną w sześć siwych koni. Można sobie wyobrazić, jak efektownie wyglądała w swym, ciągnionym przez siwki, powozie, strojna w perły i atłasy, w blasku swej niebanalnej, wielkiej urody. Nie było nad nią efektowniejszej kobiety na Litwie, a przekonanie o swej przewadze dodawało jej też bez wątpienia pewności siebie i przyczyniało się do zwycięskiego rywalizowania z innymi paniami Wielkiego Księstwa.

Jest rzeczą oczywistą, iż lubiła prezentować się w swych klejnotach i kreacjach. Satyryk z czasów Zygmunta Augusta piętnował obyczaje pań litewskich, eksponujących właśnie posiadane przez siebie bogactwa; opis ten, późniejszy zresztą, nie mówi wprost o Barbarze, można jednak uważać, że podobnie postępowała nasza bohaterka: „Każda bowiem, ponieważ bogactwa tylko są u nas w cenie, uważa siebie za dosyć uczciwą, kiedy się wspaniałym wozem od wielu koni ciągnionym przejeżdża, albo też kiedy w złoto, szkarłaty i perły wystrojona po wszystkich rynkach i rozstajnych ulicach oczom się ludzkim przedstawia". Satyryk mógł zrzędzić, wiele kobiet bez wątpienia zazdrościło Radziwiłłównie, można jednak być pewnym, że pośród większości czyniła furorę, była jedną z najbardziej znanych postaci w Wilnie i całej Litwie.

Barbara chciała, a co najważniejsze, potrafiła, umiała się podobać. Wykształciła sobie własny styl, który polegał między innymi na pełnym gracji chodzeniu i umiejętności rzucania wymownych spojrzeń. Posiadała łagodny, miły timbr głosu, z czego zdawała sobie sprawę i co potrafiła wykorzystać. Otoczenie zachwycało się też jej „słodyczą wejrzenia, łagodnością mowy, powolnością ruchów". Powiadano, że sam jej wygląd wzbudzał nie tylko podziw, lecz pożądanie i miłość mężczyzn. Wydaje się, iż decydował o tym nie tyle sam wygląd, ile właśnie wdzięk, zalotność, kokieteria. Już staropolskie przysłowia głosiły: „uroda bez przyjemności nie przyciągnie wiele gości", „kobieta bez zalotności, to kwiat bez woni". Radziwiłłówna nie była mizantropką czy skromnisią! Metody, jakie stosowała, nie były bynajmniej niewinne, polegały bodaj na umiejętnym prowokowaniu mężczyzn i wywoływaniu u nich reakcji. W tych grach spontaniczność łączyła się z wyrachowaniem, wrodzona śmiałość z nabytym doświadczeniem. Na ogół nie ukrywała swych uczuć, nie drażniła tajemniczością, niezdecydowaniem. Właśnie to jej swobodne, może nawet nieco wyzywające, uwodzicielskie zachowanie się, pozbawione jednak agresywności, wzbudzało zainteresowanie i powodowało, że stale otoczona była wielbicielami. Konkludując można twierdzić, iż jej łagodność, zalotność i piękność łączyła się z sex appealem. Tkwiła w niej wielka, przysłowiowa kobiecość. Zalet cielesnych i wdzięku miała w sobie wręcz w nadmiarze.

Głoszono, że w nadmiarze występowały też u niej miłosne żądze, które zaspokajała w romansach z licznymi mężczyznami. Sprawy miłości i seksu znalazły silne odbicie w jej osobowości, kierowały zainteresowaniami i upodobaniami. Jestem przekonany, że te bodźce, przemilczane lub nie dostrzegane przez większość dawnych historyków, stanowiły podłoże i motywację jej wielu działań. Ukrywanie czy przemilczanie tego uważam za wypaczanie, przeinaczanie prawdy o Barbarze Radziwiłłównie.

D.c.n.

Rozpoczynamy druk obszernych fragmentów najnowszej książki prof. dra habil. Zbigniewa Kuchowicza „Barbara Radziwiłłówna". Książka ukaże się w przyszłym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Autor tej pracy jest wybitnym znawcą staropolskich obyczajów, historykiem kultury i historykiem medycyny, co dokumentują liczne studia o mało znanych dziedzinach życia w dawnej Polsce, m. in.: **„Leki i gusła dawnej wsi. Stan zdrowotny polskiej wsi pańszczyźnianej w XVII—XVIII w." (1954) „Z dziejów obyczajów polskich w wieku XVII i pierwszej poł. XVIII"** (1957), Warunki zdrowotne wsi i miasteczek województw łęczyckiego i sieradzkiego w XVIII wieku" (1961), **„Anegdoty, facecje i sensacje obyczajowe XVII i pierwszej poł. XVIII wieku"** (1962). **„Wpływ odżywiania na stan zdrowotny społeczeństwa polskiego w XVII wieku"** (1966), **„Z badań nad stanem biologicznym społeczeństwa polskiego od schyłku XVI do końca XVIII wieku"** (1972), **„Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI—XVIII wieku"** (1972).

Kontrowersyjną w historiografii i tradycji literackiej postać Barbary Radziwiłłówny, żony Zygmunta Augusta (ostatniego z władców dynastii jagiellońskiej), Kuchowicz ukazuje w sposób odległy od pospolicie przyjętych konwencji monografistyki naukowej. Obserwacja procesów społecznych i politycznych XVI wieku łączy się w tej pracy z szeroką ekspozycją życia codziennego, spraw zakulisowych, dworskich, rodzinnych, osobistych, w tym także intymnych dążeń i tajemnic pięknej królowej, wyniesionej na tron przy powszechnym oburzeniu opinii publicznej. Gromadząc materiały do wszechstronnej rekonstrukcji biograficznej i argumenty przeciwko stronniczym legendom, związanym z Radziwiłłówną (np. rozważa pytanie, czy została ona otruta?), autor śmiało korzysta z ustaleń wyspecjalizowanych dyscyplin wiedzy lekarskiej: genetyki, onkologii, ginekologii i seksuologii.

Rangę tych informacji tak określa we wstępie do książki:

„W swych rozważaniach w dużym stopniu uwzględniam uwarunkowania biologiczne, rolę podłoża biotycznego, w tym czynnika seksualnego. Odcinam się wszakże od biologizmu. Za zasadniczy klucz do zrozumienia poczynań Barbary za najważniejszy składnik determinujący jej postępowanie, uważam czynniki kulturowe, środowisko społeczne, w którym się wychowała. Warunki społeczne, rytmy kultury, w których żyła Barbara, zdecydowały o formach, w jakich manifestowały się, wzbudzające tyle komentarzy, jej uczucia, przede wszystkim miłość. Starałem się jej postać przedstawić wyraziście, barwnie, plastycznie. Nie uciekam się wszakże do jakichś literackich „wstawek", wyimaginowanych dialogów. Wszystkie przedstawione na kartach tej książki fakty czy teksty są autentyczne. Mówią o nich źródła; jeśli snuję hipotezy, to sprawę tę wyraźnie zaznaczam w tekście. Ponieważ w biografii Barbary występuje silnie czynnik erotyczny, nie mogłem pomijać tych spraw, bowiem w ten sposób zaciemniłbym czy wręcz fałszował zarówno dzieje bohaterki, jak i klimat obyczajowy jej czasów. Zdaję sobie sprawę, że pewne oceny zamieszczone w książce mogą się części czytelników wydać śmiałe, uważam jednak, że rym kulturowy naszych czasów wymaga, byśmy zjawiska obyczajowe przedstawiali i oceniali w inny sposób, niż czynili to autorzy poprzednich generacji".

Prezentacje monografii Kuchowicza rozpoczynamy od rozdziału czwartego **„Uroda i przygody miłosne Barbary Radziwiłłówny"**. W rozdziałach poprzednich zawarta jest charakterystyka rodu Radziwiłłów oraz osobowości Barbary, omówionej na tle stosunków rodzinnych w okresie jej wczesnej młodości i w kontekście litewskich odrębności kulturowych, wyznaczających kobietom inne niż w Polsce wzory obyczajowe i miary moralne. Udostępnimy Czytelnikom te partie książki, które opisują historię romansu i małżeństwa Barbary i Zygmunta Augusta od ich pierwszego spotkania do śmierci Radziwiłłówny. Przedstawimy także poglądy autora na przyczynę zgonu, królowej, która to kwestia od lat jest przedmiotem sporów między badaczami. Lekturę dalszych części monografii Zbigniewa Kuchowicza, traktujących o dziejach sławy i niesławy Radziwiłłówny w kulturze i nauce polskiej w czterech stuleciach, a także o losach motywu Barbary Radziwiłłówny w literaturze i w sztukach plastycznych, odłóżmy więc do momentu, gdy książka ta pojawi się w księgarniach.

REPORTAŻ

Na Zdrowiu — kultura i wypoczynek. Wielka idea PARKU, którą wspieram swoimi skromnymi środkami od kilku już lat, nie przybrała, jak przypuszczałem, znamion euforii społecznej, ale też nie wygasła. Ogród Botaniczny jest już terenem świątecznych spacerów. Wykopy pod baseny pływackie są już bardzo zaawanasowane i pięknie ogrodzone. Imponująco wygląda Pomnik Bohaterów 1905 roku. A więc PARK będzie! Pytanie tylko, kiedy? Za dziesięć lat, czy za dwadzieścia?

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BIAŁE WYGRYWA, CZARNE PRZEGRYWA

Póki co, można tu i ówdzie przeczytać: **BUDUJEMY.** Ten „budujący" i dynamiczny czasownik rozniósł się gromkim echem nie tylko w nieście, ale również hen!, poza jego granicami. No i są już tego skutki...

Nie tylko w wolne soboty i niedziele... W szare, robocze dni tygodnia także zażywają tu wywczasów setki, może nawet tysiące ludzi. Przypływ zaczyna się już o godzinie dziesiątej, a odpływ kończy dopiero po zmierzchu. Pan **Andrzej Sikora,** mieszkający od ćwierćwiecza w ościennym osiedlu Mielczarskiego, powiada:

— Takiego ruchu, to tu jeszcze nie było.

I ma rację.

Kiedyś enklawa rozrywki zawężała się do ZOO i stawu z łódkami, w którym zresztą nie wolno się kąpać. Teraz — stało się jak gdyby bezpieczniej i można spotkać ludzi we wszystkich zakątkach lasu. Już nie tylko dżunglerzy przedzierają się przez krzaki i chaszcze, żeby podejrzeć zakochane pary. Na wszystkich boiskach i placach chłopcy kopią piłkę. Przy marmurowych szachownicach emeryci grają sobie na słoneczku w damkę. Na polanie, obok muszli koncertowej, nauczycielki z wielu różnych szkół wypasają swoje radośnie popiskujące stadka. W ustroniach opalają się dziewczyny, na alejkach i ścieżkach szaleją cykliści. Tramwaj numer „dziewięć" co kilka minut wyrzuca tłumy pasażerów na leśnych przystankach. Co zaś się tyczy przybyszów z innych, pozałódzkich stron, to wystarczy sobie popatrzeć na parking pod Ogrodem Zoologicznym: ciężarówki, autokary i wozy prywatne o przeróżnych rejestracjach. Turyści — bo jak ich nazwać inaczej — indywidualni oraz liczne wycieczki zbiorowe — ze szkół, urzędów, fabryk i spółdzielni z wiosek i miasteczek.

Trzeba zatem powiedzieć, z ręką na sercu, że idea PARKU chwyciła. Trafiła w sam środek zapotrzebowań Łodzi i osiedli satelickich. Rozbudziła nadzieję, że w skwaszone upałem dni będzie tu można nie tylko pooddychać, ale również wykąpać się (poczekajmy), pohasać na karuzeli w Wesołym Miasteczku (za wcześnie), obejrzeć film na świeżym powietrzu, pograć w tenisa, badmintona i siatkówkę (wszystko to zostało nam przyrzeczone, wraz z całym szeregiem innych atrakcji) oraz dobrze wypić i zjeść.

Uczciwość nakazuje, aby wspomnieć, że oprócz jedynej dotąd, ajencyjnej knajpki przy stawie (specjalność: kiełbasa na gorąco i gorzałka) oraz dwóch kiosków w pobliżu ZOO (cukierki, herbatniki, pepsi-cola, chmiel, lody włoskie Capriciani) i dwóch kawiarni; („Bar pod Małpką" wznowił ostatnio działalność, a położony w innej części Ogrodu, nowo wybudowany pawilon gastronomiczny prezentuje się całkiem okazale), na Zdrowiu spotkać można dzisiaj w wolne od pracy południe wiele ruchomych punktów żywnościowych (kuchnie polowe, stoiska z pieczywem, wędliną, masłem, nabiałem; stragany z warzywami i owocami).

Jednym słowem: handel też uwierzył w Park Kultury i Wypoczynku, i we własnym, dobrze pojętym interesie, wyszedł klientowi naprzeciw.

Innym, najbardziej dla mnie przekonywającym, choć złowieszczym dowodem na gwałtowną karierę Parku jest fakt, że za gastronomią, handlem, spacerowiczami i turystami na Zdrowiu coraz liczniej pojawiają się szakale.

Niektórzy szakale (powiedzmy: **szakalątka)** nie wzbudzają we mnie mściwych uczuć. Oto chłopina, z synem nieborakiem, a między nimi blaszany, obrotowy bęben, który ma to do siebie, że przetwarza cukier w watę. Syn nieborak kręci korbką, co i raz zmieniając ręce, a chłopina, wsypując do bębna skąpe racje cukru, owija watę dookoła patyka i sprzedaje po dwa złote od sztuki. Zarobi? Zarobi! Ale się też narobi. Zatem... dajmy mu spokój!

Oto babina, zakutana w chustę (pewnie gdzieś z okolic Konstantynowa) oferuje tłumowi, z bezprzykładną zresztą cierpliwością, nanizane na sznurek precelki. Wyrób własny? Własny! Siły najemnej przy tym nie było? Nie było! No to przestańmy się czepiać.

Oto małżeństwo (a może tylko spółka akcyjna) przy złożonym z desek stole. Czego nie ma na tym stole? Na tym stole nie ma nic za wyjątkiem tandety: pileczki na gumce, medaliki i obraczki z imitującej złoto blaszki, balonowa guma do żucia i lizaki, które zatruwają najmniejszym obywatelom smak dzieciństwa.

Nie podoba mi się ten stragan, albowiem sprowadza on Park Kultury i Wypoczynku do rangi odpustu.

Nie podobają mi się także inne „przejawy" wypoczynku.

Zacznijmy od piwa.

To niemodne czepiać się bez przerwy piwa. Sam nie lubię i nie pijam tego trunku, skoro jednak gustuje w nim większość mężczyzn (w tym także wielu moich znajomych), to coś w tym musi być. Piwosze z kuflami w rękach i dziećmi pomiędzy kolanami obsiadają wszystkie okoliczne ławki. W Parku Kultury jest po prostu raj dla piwoszy: piją, popalają, a dzieciaki kręcą się między nogami. Dość! Jeśli ojciec funduje sobie przed obiadem bombkę chmielu, zamiast kupić dziecinowi loda, jest to w końcu kradzież rodzinna. Nikt nie ma prawa pchać bezpośrednio nosa w te rodzinne sprawy. Natomiast, jeśli do kieszeni dziecka sięgają szakale, a więc — jeżeli stary, pięćdziesięcioletni cwaniak ograbia na oczach tłumu obce sobie dziecko, to ja mam obowiązek napisać o tym kilka słów.

Pytanie: kto ograbia?

Odpowiedź: ci, co ściągają na Zdrowie z tak zwaną loterią fantową.

Pytanie: z jakich to uroczystych okazji ściągają?

Odpowiedź: z takich na przykład, jak Dzień Dziecka.

Na drzewach transparenty: **„Życzymy wiele szczęścia i radości wszystkim dzieciom".** A przy wszystkich trzech loteriach fantowych niebywały tłok. Ponieważ obok stoją dwaj panowie milicjanci i żaden z nich nie wypisuje mandatów, nie ulega kwestii, że szakale działają mniej więcej legalnie.

Pierwszy szakal, bezzębny, zachrypnięty jak nieboskie stworzenie, działa w otoczeniu członków rodziny. Wrzeszczy:

— Białe wygrywa, czarne przegrywa! Odjazd panowie! Za jedyne pięć złoty!

Kręci się koło loterii; szare, drgające piórko częściej zatrzymuje się na polach czarnych, bywa jednak, że wypada również białe. Co wtedy? Wtedy za tych pięć złotych dzieciak — bo grają przede wszystkim dzieci — otrzymuje od szakala dropsy, albo któryś z tych glinianych potworków (a występują tam po równo: pieski, kotki, papużki, koguciki i indyki tak koszmarne i niepodobne do swoich żywych pierwowzorów, że krzywią się na ich widok z niesmakiem nawet najbardziej pozbawieni gustu ludzie). Główna wygrana: jakieś pokaźne, nieokreślonego gatunku prosiaszko, nie ma większej wartości niż dwa złote, a przynieść coś takiego do domu, to ci mama rozbije na głowie.

Jednakże ludzie grają, zaspokajając drzemiące w sobie potrzeby hazardu, łagodząc zawód ostatniej porażki w toto-lotka. Już co drugie dziecko ściska w rączce jakiegoś glinianego, wygranego za trzecim czy czwartym podejściem potworka. Rodzina szakala uzupełnia ogołocone pola na kole loterii, czerpiąc obficie z przepaścistej skrzynki. Szakal pracuje jak w transie: niby nie studiował ekonomii, a wie, że bez reklamy nie ma sukcesu..

— No i już, odjazd! Moja strata! Kto nie ryzykuje, do niczego w życiu nie dojdzie.

No więc ludzie „ryzykują". Już co trzecie dziecko ściska w rączce wygrany rulonik dropsów, których nagle szakalowi zabrakło... Mówi szeptem szakal do żony:

— Rusz się!

A ona, głupia:

— Po co?

A on, tracąc na moment swój zawodowy przyjemny wyraz twarzy:

— Po dropsy, krowo! — I wskazuje głową na kiosk.

Idzie żona do tego kiosku, a ja za nią. Ona kupuje pięćdziesiąt rulonów, a ja jeden. Czytam cenę: 70 (siedemdziesiąt) groszy. W ten sposób każda wygrana jest oczywiście ciężką przegraną. Ale cóż... Dzieci są głupie. Można je łupić bez obawy. Pociućka taki maluch cukiereczka i o pieniążkach zapomni.

Ponieważ w trakcie badania jednej z głośnych, kryminalnych spraw, natknąłem się już parę lat temu na takiego cwaniaka od loterii i ten cwaniak — ku mojemu zdziwieniu — stawiał sobie akurat piętrowy dom, postanowiłem na Zdrowiu sprawdzić, czy to w ogóle możliwe... Z zegarkiem w ręku sprawdzałem, ilu głupich rodziców i naiwnych dzieci potrafi zagrać na loterii w ciągu pięciu minut. Za pierwszym razem naliczyłem dwunastu, za drugim trzynastu, za trzecim tylko dziesięciu grających. Przyjmijmy zatem średnią: dwanaście i pomnóżmy to przez pięć (złotych). Wyjdzie nam sześćdziesiąt (złotych). Teraz te sześćdziesiąt pomnóżmy jeszcze raz przez dwanaście (bo tyle pięciominutówek mieści się w godzinie), a okaże się, że szakal kasuje w ciągu jednej tylko godziny 720 złotych, podczas gdy wartość przegranych przez niego bohomazów waha się w granicach pięćdziesięciu zł. Można żyć? Można! Warto zdzierać gardło? Warto. Bo pomnóżmy teraz te 720 przez 3 albo i 4...

Bardzo przepraszam, ale chyba nie o to nam chodzi w Parku Kultury i Wypoczynku. Ja rozumiem, że szakale też muszą żyć. Ale czy koniecznie kosztem dzieci? Czy akurat tu, w środku milionowego miasta? **A jazda stąd na odpusty i jarmarki!** Raz, że ludzie tracą na rzecz szakali pieniądze, dwa, że do reszty tracą dobry smak...

Przy całym szacunku dla Komitetu Budowy Parku i szczerym przekonaniu, że za dziesięć — dwadzieścia lat będą się tu pysznie bawić moje wnuki, mam jednakże przekorną ochotę troszeczkę pogrymasić.

Panowie! coś to wszystko za wolno idzie, I nie zawsze w odpowiednim kierunku. Nie jestem specem od inwestycji „rozrywkowych" (i nie biorę za to pieniędzy), ale coś mi się zdaje, że tanim kosztem można by tu zrobić w parę miesięcy prawdziwe Eldorado...

Przed paroma dniami wróciłem z bratniej Bułgarii. Nie sądzę, abyśmy przed tym narodem musieli mieć jakiekolwiek kompleksy. A przecież w dziedzinie inwestycji „rozrywkowych" Bułgarzy dystansują nas o kilka długości. No, bo weźmy dla przykładu knajpy... U nas, za ciężkie pieniądze stawia się ciężkie, dość brzydkie gmaszyska, w których człowiek czuje się niewiele lepiej niż na dworcu, tam natomiast — sam nie wiem skąd podłapali ten styl — stawia się z taniego budulca piękne i lekkie budowle: a to gospoda w stylu kaukaskim, a to tawerna meksykańska, tabor cygański... Parę cegieł, trochę desek, drewniane stoliki, szorstkie podłogi...

Zamiast (powiedzmy: obok) piwa, można w każdym, byle jakim kiosku i barze, zamówić kawę. Zamiast loterii jest ruletka (fuuu!). Zamiast ścieżek, polanek, na których rośnie nierówno trawka (podobno w Polsce gleba jest nieprzychylna dla trawy) — altanki, kręgielnie, mini-golfy, go-carty, dziuple dla szczęśliwych nowożeńców i tak dalej.

Panowie — ruszcie wreszcie głowa! Świat się zmienia. W trzydzieści lat po wojnie nie ma sensu hołdować ideałowi nieprzerwanych wyrzeczeń.

* * *

Podchodzę do młodej, tkwiącej od dwudziestu minut na tej samej ławeczce pary.

Pytam:

— Zmieniło się to Zdrowie, co?

— Kim pan jest? — kontruje mnie chłopak.

Mówię.

Wtedy on, z lekkim ożywieniem:

— Nuda.

— Pani też się nudzi? — zwracam się do dziewczyny.

— Też. A pan?

— Ja pracuję.

— Ale tak w ogóle? — podejmuje szyderczo chłopak.

— Co, w ogóle?

— To jak jest, panie dziennikarzu: dobrze czy źle?

— W ogóle to jest dobrze — mówię. — Ale w szczegółach, to można by cokolwiek zmienić.

Fot. Włodzimierz Parys

„GŁOS ROBOTNICZY"

Dalszy ciąg ze str. 6

Obecnie — od kilkunastu lat kieruje działem listów i interwencji „GR". A dział ten, to niemal odrębna instytucja — miejsce, gdzie ludzie skrzywdzeni, zagubieni, bezradni — zawsze znajdą pomoc i poradę. Trudno dziś nawet zliczyć, ile akcji społecznych, sond publicystycznych, konkursów i ankiet na istotne tematy przeprowadził niewielki zespół kierowany i inspirowany przez Wiesława Cynkiera.

M.in. za te społeczne inicjatywy w ramach działalności dziennikarskiej otrzymał Wiesław Cynkier w bieżącym roku Nagrodę Klubu Łączności z Czytelnikami SDP. Ale największą nagrodą jest zawsze zaufanie Czytelników, uznanie dla tej, czasem mało efektownej pracy.

Wyrazem tego zaufania i wiary w skuteczność dziennikarskiej interwencji są setki listów, jakie miesięcznie trafiają na biurka pracowników działu kierowanego przez Wiesława Cynkiera. Wyrazem tego zaufania są wizyty Czytelników szukających tu pomocy lub pragnących podzielić się swoimi refleksjami.

Tak więc „dział Cynkiera" staje się czasem biurem pomocy społecznej,

czasem konfesjonałem, czasem mediatorem w spornych sprawach, a czasem nawet... biurem rzeczy znalezionych. Czego już tu nie przynosili Czytelnicy „GR" — bele towaru, koło od samochodu, żywą gęś...

Drzwi pokoju Wiesława Cynkiera są zawsze otwarte dla ludzi i ludzkich spraw, bez względu na to, czy są to sprawy duże czy małe.

JÓZEF SKONIECZNY

Uprawia specyficzny rodzaj dziennikarstwa. Nie pisze, lecz rysuje — zamiast pióra używa piórka I tak już ponad dwadzieścia lat na łamach „GR" kłuje tym piórkiem, wykpiwa, krytykuje...

Zaraz po studiach w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi — jako 28-letni młodzieniec trafił w 1953 roku do redakcji „Głosu" i już w niej pozostał. Dziś nikt sobie nie potrafi wyobrazić kolumny dodatku bez dowcipów, bez winietek

rysowanych przez „Skonego". Charakterystyczna kreska jego rysunków znana jest zresztą nie tylko Czytelnikom „Głosu Robotniczego".

Józef Skonieczny współpracuje z prasą krajową od wielu lat. Debiutował bowiem w „Rózgach" i „Kocyn-

Dalszy ciąg na str. 10

LITERATURA

Dziesięciolecie Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi. Decennium. Brzmi to uroczyście, tonem jubileuszowym. Ale jubileusz to nie tylko dzień sławy i chwały jubilata — to także dzień jego własnej zadumy nad minionymi latami dążeń i plonów; to próba dokonania w świetle przewodzącej mu idei bilansu osiągnięć i nie-do-osiągnięć mierzonych proporcją własnego trudu do jego społecznej skuteczności; to tym samym coś w rodzaju sprawozdania przed sobą samym i przed forum społecznym.

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

DZIESIĘĆ POETYCKICH FESTIWALI

A takie sprawozdanie ze strony dzisiejszego jubilata, którym jest instytucja Ogólnopolskich Festiwali Poezji w Łodzi, należy się przede wszystkim tak znamiennemu dla naszej rzeczywistości w Polsce Ludowej jej wysokiemu mecenatowi: władzom politycznym i państwowym, a także całemu Związkowi Literatów Polskich, którego Oddział Łódzki ze swymi kolejnymi prezesami: **Marianem Piechalem, Wiesławem Jażdżyńskim, Jerzym Wawrzakiem** był inicjatorem, organizatorem i duszą każdorocznego Święta Poezji.

Wreszcie taki rzut oka wstecz należy się tym ośrodkom naukowym, redakcyjnym, wydawniczym, oświatowo-kulturalnym, związkowym, których pracownicy okazali środowisku łódzkiemu pełne zaufanie, uczestnicząc w składach jury festiwali, podejmując na nich referaty, biorąc udział w dyskusjach i organizowanych w ich ramach spotkaniach.

Trudno tu ewokować całą listę znakomitych poetów, krytyków, znawców współczesnej poezji, nawet samych uczestników jury. Ale nie sposób nie wspomnieć tych spośród nich, którzy w tym czasie odeszli od nas na zawsze: **Juliana Przybosia,** członka kilku pierwszych jury, **Anatola Sterna,** członka również kilku jury, **Stanisława Czernika,** członka jury i laureata Festiwalu IV, którego twórczość ujęli tak głęboko w swym referacie Anna Kamieńska i Kazimierz Świegocki, **Romana Lobody,** członka jury, energicznego organizatora festiwali, redaktora książki „Rzecz poetycka. Festiwale". (1970), ujmującej plon prelekcyjny i dyskusyjny czterech pierwszych festiwali, **Kazimierza Wykę,** członka jury Festiwalu IV z 1969 roku.

Współpraca wybitnych poetów i krytyków z całego kraju w łódzkich festiwalach nie tylko zaświadczyła ich ogólnopolski charakter, przydając im blasku. Także, będąc wyrazem — szczególnie cennym u progu łódzkiej inicjatywy — zaufania do skuteczności porywu Łodzi ku aktywizacji i upowszechnieniu współczesnej poezji przyczyniła się walnie do ostatecznego przezwyciężenia stereotypu myślowego: jak to Łódź robotnicza, miasto kominów fabrycznych, ośrodek przemysłu włókienniczego, jedna z głównych dźwigni naszego życia ekonomicznego — i tak antypodyczna, a wielka sprawa, jak sprawa poezji?

Oczywiście, w tym stereotypie myślowym spotkało się niezrozumienie istotnego — bo poprzez wspólnotę natury twórczej — związku pracy i poezji, związku o którym jeszcze Norwid powiedział:

Pieśń a praktyczność jedno — zaręczone
Jak mąż i dziewka w obliczu wieczności —

z niezrozumieniem samej robotniczej Łodzi; ona to przecież która dała wyraz swej świadomości ideologicznej — klasowej, patriotycznej, rewolucyjnej — jeszcze w XIX wieku i która kartą heroiczną wpisała się w historię roku 1905, dała również wyraz nieodłącznej od niej swojej świadomości humanistycznej i swoim humanistycznym aspiracjom. Zatestował to choćby wkład w literaturę polską i światową synów Łodzi i Ziemi Łódzkiej, że przypomnimy tutaj Władysława Reymonta i jego „Ziemię obiecaną", Juliana Tuwima i jego łódzki epos „Kwiaty" a z licznych — wymienimy tu tylko **Antoniego Kasprowicza** — twórców współczesnych — **Mariana Piechala** i znany nam dotąd tylko we fragmentach jego poemat o Łodzi. Zatestował to fakt, że jeszcze przed pierwszą wojną światową i po niej bywała gniazdem śmiałych poczynań twórczych w dziedzinie teatru, plastyki, literatury, że instytuowała w latach międzywojennych „Muzeum Sztuki Współczesnej" o znaczeniu światowym, że ufundowała wówczas ogólnopolskie nagrody za twórczość naukową i artystyczną.

Tak więc Łódź robotnicza wtedy, gdy lat temu dziesięć porwała się na instytuowanie corocznego Święta Poezji otwartego dla wszystkich nurtów poezji w skali ogólnopolskiej, miała już za sobą historyczne świadectwa swej po temu koncepcji ideowej i własną w tym względzie tradycję, nie wyłączając nawet tradycji poetyckiego konkursu, acz skierowanego głównie do jednego nurtu światopoglądowego poezji, konkursu starszej o parę lat „Wiosny Poetyckiej" — inicjatorskiej zasługi **Józefa Macieja Kononowicza.**

A porwała się skutecznie. Pierwsze już festiwale wykazały atrakcyjność ogłaszanych przez nie konkursów, dla szerokiej rzeszy poetów i aspirantów do rangi poety z całego kraju. Wykazały, iż stały się one właściwym czasem i miejscem zjazdu poetów, krytyków i miłośników poezji wszystkich generacji, platformą ich pełnych troski dyskusji. zarówno o kształt ideowo-artystyczny poezji, jak o jej większą drażność społeczną. Wykazały, iż stanowią szczególną sposobność do nasycenia poezją i teoretyczną refleksją w licznych spotkaniach przeróżne środowiska społeczne — od środowiska studenckiego po rozmaite zakłady pracy.

W rezultacie ogólnopolskie festiwale poezji w Łodzi stały się pierwszym i najważniejszym w całym kraju — jak podnosiła to prasa literacka — Świętem Poezji we wszelkich jej nurtach, a zarazem wzorem takiego święta. Nie bez jego inspiracji skrystalizowały się w całej Polsce liczne inne „Wiosny", „Maje", „Jesienie" i „Róże" poezji. To też instytucja naszych festiwali ma prawo patrzeć na nie, nie jak na konkurentów, lecz okiem rodzicielskim, jak na własne dzieci, ciesząc się ich rozkwitem i licząc, iż z czasem ujmą jej ciężaru prac i odpowiedzialności.

Udatność pierwszych festiwali nie zaciążyła na następnych jakimś skamieniałym modelem. Wręcz przeciwnie: historia ich dziesięciolecia to historia nieustannego poszukiwania coraz doskonalszej ich formuły — a to pod naciskiem zdobywania doświadczenia, coraz głębszego wnikania w postulaty podstawowej idei i w skomplikowany mechanizm twórczości poetyckiej i krytycznej, a przede wszystkim pod naciskiem czujności wobec historycznie zmiennych sytuacji i potrzeb społecznych.

Takie poszukiwania, a więc i innowacje dotyczyły niemal wszystkich pionów i aspektów organizacji festiwali, a więc warunków i charakteru konkursów, miejsca dyskusji, zasięgu spotkań, imprez towarzyszących i partnerskich, tematyki referatów, związku z manifestacjami sztuk innych.

Wierny pozostał, acz nie bez modyfikacji, łódzki festiwal dwom konkursom w trzech rangach, a mianowicie — konkursowi na nie opublikowany utwór wszystkich poetów oraz konkursowi dla poetów przed debiutem książkowym; inspirująca go myśl o odkryciu młodych talentów nie była bez spełnień, aby wymienić tu tylko ze środowiska łódzkiego m. in. **Mieczysława Szargana, Dorotę Chróścielewską, Kazimierza Świegockiego.** Obserwacja jednak przejawiającego się w tym konkursie wyżu ilościowego utworów — ilość ich sięgała ostatnio 3000 — przy obniżeniu ich wartości poetyckiej sprawiła, iż zespolono ze sobą oba dawniejsze konkursy w konkurs jeden, ograniczając dostęp do niego — oczywiście, poza członkami ZLP — do członków kół młodych i członków klubów poetyckich, przy organizacjach twórczych. Festiwal aktywizując twórczość poetycką stanął w ten sposób na straży jej artystycznego autentyzmu. Zrezygnowano z trzeciego w pierwszym festiwalowym pięcioleciu konkursu na wiersz o tematyce łódzkiej, uniwersalizując niejako regionalizm, czego wykładnikiem, na przełomowym pod wielu względami Festiwalu V w 1970 roku, była specjalna nagroda Zarządu Głównego Związku Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego za utwór o tematyce pracy, nagrody która przypadła **Jerzemu Jarmołowskiemu.**

Konkursom tym towarzyszył początkowo konkurs o nagrodę publiczności za jeden z utworów wyznaczonych przez jury festiwali. Niebawem jednak zastąpił go Turniej Jednego Wiersza powiązany z dyskusją, o własnym napływie wierszy i o własnym jury, impreza szczególnie bliska młodzieży o aspiracjach artystycznych.

Dużym krokiem naprzód w spotęgowaniu znaczenia łódzkich festiwali było instytuowanie — po raz pierwszy na Festiwalu III — nagród za wybitny tom poezji i tom esejów z ostatniego okresu międzyfestiwalowego. Sądząc z prasy, opinia literacka uznała wyniki niełatwego zwykle wyboru, za trafne.

W 1968 r. nagroda przypadła **Urszuli Kozioł** za tom poezji „Lista obecności"; w 1969 **Janowi Huszczy** za „Starą pijalnię" i **Aleksandrowi Rymkiewiczowi** za „Dziki powój"; w 1970 **Stanisławowi Grochowiakowi** za tom „Nie było lata" i **Zbigniewowi Herbertowi** za tom „Napis"; w 1971 przedstawicielom młodego pokolenia: **Stanisławowi Barańczakowi** za tom „Jednym tchem" i **Ewie Lipskiej** za „Drugi zbiór poezji"; w 1972 **Wisławie Szymborskiej** za „Wszelki wypadek"; w 1973 **Annie Świrszczyńskiej** i **Tadeuszowi Urgaczowi;** w 1974 roku **Janowi Bolesławowi Ożogowi** za „Wyspę Barbarus". Ostatnim festiwalom przybyła jeszcze nagroda za międzyfestiwalowy debiut poetycki. Tę nagrodę wiary i nadziei otrzymali ostatnio **Marek Jodłowski** za „Osad" i **Franciszek Kawecki** za „Parabole Syzyfa".

W serii esejów nagroda na Festiwalu III przypadła **Andrzejowi Lamowi** za tom „Wyobraźnia ujarzmiona"; w 1969 **Stanisławowi Czernikowi** za „Trzy zorze dziewicze"; w 1971 **Jerzemu Lisowskiemu** za wybór i krytyczną oprawę Tomu II „Antologii poezji francuskiej"; w 1972 **Jackowi Łukasiewiczowi** za „Laur i ciało", a w 1973 **Bogdanowi Ostromęckiemu** za tom „Lirnicy i trubadurzy"; w 1974 **Mieczysławowi Jastrunowi** za tom, w którym znakomity poeta i eseista wystąpił w najszlachetniejszej roli nauczyciela-poety — za tom „Walka o słowo".

Oprócz tych stałych nagród jury festiwali dysponowały dwukrotnie nagrodami szczególnie uroczystymi: nagrodą specjalną Rady Narodowej za tom poezji 25-lecia Polski Ludowej w 1969 roku, która przypadła **Wisławie Szymborskiej** za tom „Sto pociech" i nagrodą 30-lecia w 1974 roku, która przypadła twórczości **Marii Zientara-Malewskiej,** skoncentrowanej niejako w tomie „Pieśni Warmianki".

Festiwal poezji zakorzeniał się z biegiem lat coraz głębiej w glebę społeczną; w spotkaniu brali udział m.in. **Artur Sandauer, Ernest Bryll, Michał Sprusiński, Bohdan Drozdowski, Artur Międzyrzecki, Tadeusz Śliwiak** w spotkaniach, które np. w 1972 r. wyraziły się liczbą 36 w Łodzi i 12 w Ziemi Łódzkiej, objęły rozmaite środowiska od klubów studenckich, bibliotek, czytelni, ośrodków rozpowszechniania kultury po robotnicze ośrodki. Ziemia Łódzka, która gościła uczestników festiwali w zabytkowym Uniejowie i Oporowie, zaprosiła do Kutna robocze obrady festiwalu w 1973 r., a do Piotrkowa Trybunalskiego w roku zeszłym.

Sercem festiwali były owe obrady poetów i krytyków, zapoczątkowane dyskusją wokół referatów na uroczystej pierwszej sesji festiwali, kontynuowane na następnej, czysto roboczej. Były one areną sporów o sens i kształt poezji i jej rezonans społeczny, konfrontacją stanowiska poetów i krytyków pokoleń różnych. Dominującą ich troską była niedostateczna drożność społeczna poezji, określana z pewną przesadą jako jej kryzys. Prowokowało to krytyków do stawiania diagnoz w postaci jej przeglądu, charakterystyki i ocen, nie pozbawionych czasem zastrzeżeń, np. w referacie **Jerzego Kwiatkowskiego,** w wypowiedziach **Jana Błońskiego, Zbigniewa Bieńkowskiego,** a także tonów postulatywnych, jak m.in w wypowiedziach **Ryszarda Matuszewskiego,** a ze szczególną wyrazistością w 1970 r. w referatach **J. Z. Jakubowskiego i M. Piechala,** a w 1972 także **Piotra Kuncewicza.**

Poeci, w świadomości, iż są najbardziej osobistym głosem epoki (m. in. **Krzysztof Gąsiorowski),** przeciwstawiali swoje racje — sekundowani w tym przez młodszych krytyków, jak m. in. **Edward Balcerzan, Michał Sprusiński** — obaj poeci i krytycy, prezentując swoje poetyki w ich horyzontach ideowo-artystycznych; starsze pokolenie eksponowało społeczną głębię doświadczenia poety i humanistyczną funkcję poezji, jak w swych referatach **Bogdan Ostromęcki,** w 1972 **Roman Loboda,** jak w dyskusji **Tadeusz Chróścielewski.** Na tym samym festiwalu, najbardziej może burzliwym obok festiwalu w 1970 r. **Krzysztof Mędrak** rozpatrywał „świadomość poetycką we współczesności", zahaczając o problem jej stosunku do tradycji, a **Zbigniew Jerzyna** w istnym manifeście pokoleniowym mówił o „aktualnych tendencjach w poezji".

Ale jednej z owych tendencji rozwojowych, znamiennej dla współczesności w skali światowej, dał wyraz silniejszy, niż referaty i dyskusje, acz nie bez potrąceń o nie, m. in. **Juliana Rogozińskiego, Jana Koprowskiego,** gest organizatorów festiwali wraz z gestem wszystkich innych środowisk artystycznych. Mowa tu o tendencji w sztukach do obalenia barier pomiędzy sobą, do ich integracji w ramach kultury, do likwidacji ich izolacjonizmu. Wykładnikiem organizacyjnym tej tendencji było instytuowanie w r. 1970 „Łódzkiej Wiosny Artystycznej", której festiwale poezji, począwszy od piątego, stały się naturalnym ośrodkiem. W konsekwencji pewne typy imprez z dotychczas im towarzyszących, stały się ich współpartnerami. Wspomnijmy tu wystawę „25 lat łódzkiej plastyki", „Koncert piosenek łódzkich" w 1970, a w 1972 r. — „Ogólnopolski konkurs grafiki", Spotkania baletowe" z udziałem artystów zagranicznych, i tak bardzo łódzkie „Triennale tkaniny przemysłowej i unikatowej". Nie zapomnijmy o uświetnieniu ostatnich festiwali przez Towarzystwo Przyjaciół Książki; obdarzyło ono ich uczestników bibliofilskimi drukami artystycznymi, w opracowaniu **Michała Kuny,** jeden z nich wiązał utwór Włodzimierza Majakowskiego z nazwiskiem Juliana Tuwima i Witolda Wandurskiego, drugi — przyniósł nie znany wiersz K. I. Gałczyńskiego.

Ale i same festiwale poezji znalazły artystyczny sposób ukazania związków poezji z innymi sztukami, a to w postaci koncertów poetycko-muzycznych, inscenizowanych teatralnie, ujętych w plastykę scenograficzną. Zainaugurował je w 1970 r. koncert: „Wyznania", wzruszający głębią i mądrością współczesnej liryki, z kolei w 1971 r. koncert: „Głosy" ukazujący jej troskę o sprawę ludzką; koncert „Tryptyk", święcący wielkość poezji dawnych epok, odbył się wieczorem w zamku w Oporowie, który piękno swego gotyku włączył w jedność zintegrowanych sztuk. „Estrada Łódzka" w 1974 roku zorganizowała w Piotrkowie Trybunalskim artystyczny koncert: „Laury i wawrzyny" — przegląd utworów nagrodzonych w poprzednich festiwalach.

Dalszy wniosek z pokrewieństwa poezji z innymi sztukami wyprowadzili organizatorzy zeszłorocznego festiwalu, podporządkowując refleksję teoretyczną referatów hasłu: „Relacje i zależności". I tak o związkach poezji z filmem mówił **Bolesław W. Lewicki,** z plastyką **Henryk Anders,** z muzyką **Andrzej Hundziak,** z teatrem **Stanisław Kaszyński,** z prozą **Jerzy Poradecki.**

W sumie: festiwale poezji w Łodzi — przy uwzględnieniu nawet niedoskonałości wszelkiego ludzkiego dzieła w przymiarce do ideału — dobrze zasłużyły się dynamizacji życia literackiego i upowszechnieniu poezji, ujawniając — powtarzamy za prasą literacką — to co w poezji najwartościowsze i czyniąc ją trwałą cząstką społecznej świadomości.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

* * *

Prawie wszystko
przecież jest sporne

ten co niewiele pracował,
do tego zaharowanego
nogą
karkiem
rękami
tak powiedział:
Istnieje taki co nic nie robi
Trzeba by go ująć, zniszczyć
i zostawić życie
tego czasu dla naszego czasu
Nie uniknę powtórzenia —
odnośnie spraw które
nie ja napisałem
W cudzie najnowszej sytuacji
pozostali:
ten zaharowany
stopami
plecami
plecami
i ten
pozbawiony kończyn
z bytem głowy
i wskazującego palca

ROMAN GORZELSKI

DAWNA FOTOGRAFIA

W smaku chleba są korzenie drzew
zapach kwiatów brzęczenie pszczół
i spadanie owoców w słońcu
żegnane zwierzęta ciągną bochny wozów
wiatr kołysze sygnaturką ze srebra
ziemia szczerstwiała już od promieni
wzdycha różowozielona i białociepła
ale w tym wiecznym zapachu
najwięcej jest kroków ciężkich
i zamyślenia nad stołem
bo chwila cudu jest wiecznym błyskiem
jaki przyśpiesza kwitnienie pąków
i tak o świcie wśród gałęzi
kwiat się w jabłko przemienia
grono winem ciecze w smak radości weselnej
w dorzeczach dobrej wody w łożach z tajemnicą
toczącego się księżyca i krążenia w żyłach
życiodajnej czerwieni — i dziś po latach
żując kęs chleba wyrosłego na piaskach
pamiętam tamten smak gdzie zostały korzenie drzew
i zapach wszystkich kwiatów — o czym myślałem wtedy
ja drobna i jasnowłosa kilkuletnia bylina

LITERATURA

Dlaczego skręciłem na drogę do Ostródy? Nic nie wiedzieliśmy o Ostródzie, ani o jeziorach ukrytych tam, między wioskami, otwierających nieoczekiwanie las, niczym kręgi świętych polan. Te jeziora patrzą, jak niebieskie, ludzkie oczy.

Najpierw zobaczyliśmy wieś — ulicówkę, od jakich roi się w Polsce. Zaraz za wsią stał tartak. Tuż za płotem tartacznym wyrastał niebotyczny, prawdziwy las.

O takich lasach opowiadał nam zawsze mój stary, po kielichu. Rosły w nich paprocie, w gęstym poszyciu mchu zielonego, jak rzeżucha na Wielkanoc, chowały się borowiki. Takim borem szło się i szło, upijało się zapachem świerczyny i sosnowej żywicy, aż do zabłąkania, zaduszenia, kompletnego zagubienia drogi. I ta droga, w relacjach mego starego, wcale nie była potrzebna, bo właśnie trzeba się było splątać w jeżynach i krzakach malin, podrzeć portki, podrapać twarz i ocknąć się pacnięciem żołędzia pod kolosalnym dębem przy blasku księżyca. Wtedy — było dobrze, prawdziwie. Wtedy człowiek żył.

Jeżeli tak, to ja nigdy nie żyłem naprawdę, Anabelo, bo nigdy takiego lasu nie widziałem. One kołysały się gdzieś, nad Niemnem, w mitycznej krainie dzieciństwa starego.

Ale gdy spojrzałem nad kierownicą, na ścianę wyrastającą za płotem tartaku, przypomniał mi się las starego, z jego pijanych zwidów. Możliwe, pomyślałaś o tym samym. My często jednocześnie myśleliśmy to samo. Kazałaś mi się zatrzymać, wyskoczyłaś z wozu na zapyloną drogę, na niej stał nasz Kajtek.

Podszedł do ciebie od razu, jakby z tyłu popychała go niewidzialna ręka, całkiem niespeszony nowiutkim fiatem, ani twolmi warszawskimi ciuchami, portkami tak opiętymi na tyłku, że po prostu pękały w szwach.

Mógłbym przysiąc, że spodobały mu się te portki i może byłaś pierwszą kobietą, u której dostrzegł biodra i sklepienie nóg, przypuszczam, że tak właśnie było, bo wsunął rękę w twoją dłoń bez słowa wyjaśnienia.

Zaskoczenie przemknęło przez twoją twarz, a ja się przestraszyłem, pierwszy raz od kiedy cię poznałem, że nie staniesz na wysokości zadania. Widziałem twarz tego chłopca w lusterku, twarz filmową, jakich szukają wszyscy reżyserzy świata, aby je przenosić na ekrany, uchwycić ich zmienność i zarazem typowość, duszę jakiejś ziemi, albo po prostu skrawka wsi, może akurat leśnego jeziora przezierającego przez oczy, ukrytego w złożeniu ust, w kolorycie cery, w uśmiechu, w powadze czoła.

Wstrzymałem na sekundę oddech śledząc w lusterku drgnięcie twojej dłoni, ale ona otoczyła tylko pewniej rękę chłopca.

Chcesz mnie gdzieś zaprowadzić? — zapytałaś.

Mały zaprzeczył bez pośpiechu. Ja chcę z panią chodzić, powiedział, wy tu zostaniecie na wakacjach nad jeziorem, w lesie, prawda?

Nie mieliśmy pojęcia o żadnym jeziorze w tym lesie. Zielonego wyobrażenia, że ono się tam mieści. Jechaliśmy przed siebie, wolni ludzie, szczęśliwi ludzie, jakiegoś lata, jednego z wielu.

Tak, przyjechaliśmy właśnie nad jezioro, tylko zapomnieliśmy już, jak się do niego jedzie.

Uśmiechnąłem się w lusterko, a właściwie do ciebie, Anabelo. Siedziałem nieporuszony, jak skamieniały i zafascynowany, bo robiłaś i mówiłaś zawsze to, co ja bym zrobił i powiedział w podobnych okolicznościach i to było tak rozkoszne i straszne, że zawsze mnie paraliżowało, jakby wąż wypełzał do mnie z mojej własnej głowy i sunąc ku mnie, usypiał, a przecież śledziłem cię nadal czujnie, co to dalej będzie, bo to przecież ja sam rozgrywam tę partię pełną napięcia z nieznanym, spotkanym nagle, ciekawym człowiekiem.

Ja panią poprowadzę, stwierdził mały, nie puszczając twojej dłoni.

A wóz tam przejdzie, zatroskałaś się o naszą Flavię. Trzeci nasz wóz nazwałem Flavią, bo chciałaś zawsze pamiętać kobiecy akt na błękitnozielonym tle, mój włoski miraż twego ciała, a właściwie ciała k o b i e t y. Jeszcze ściślej piękna. Zgodziłaś się chętnie na Flavię, uśmiechnęłaś się tylko kątem warg, w taki sposób, że twoje usta odezwały się we mnie natychmiast skurczem mięśni. Nachyliłem się nad kierownicą, aby zdusić w sobie to podstępne echo, odbicie twej kobiecości, mieszkające we mnie. Kochałem twój refleks w sobie i nienawidziłem go. Nie mógłbym żyć bez tego.

Mały zmarszczył czoło, nie puszczając twojej ręki zaszedł Flavię od bagażnika. On jest niski, ale przejdzie.

To wsiadamy, zaproponowałaś. Mały znów pokręcił głową. Nie, pójdziemy. My dwoje przodem, a wóz za nami. Ja chcę iść z panią przez las, do jeziora.

Cóż to było za diabelskie dziecko, spotkane na byle jakiej drodze koło tartaku, aż dreszcz przeszedł mi po krzyżu. Nie ruszałem się wcale, czekałem aż chłopak wyprowadzi cię przed maskę, aby jak najciszej zapalić silnik i postępować za wami najmniej widzialny i słyszalny. On cię prowadził przez las do jeziora, ja dla niego nie istniałem, razem ze swoim fiatem i zgodziłem się na to. Mój Boże, jakżeż ja go świetnie, doskonale rozumiałem. Musiałem jednak uważać na drogę sękatą, poprzegradzaną starymi konarami, wystającymi z ziemi, bo to był las z majaków starego i rosły w nim paprocie po pas, zakotwiczone nogami w gładkim, ubitym dywanie ciemnego mchu. Pachniały tu grzyby. Flavia zrywna i szybka, dusiła się i parskała spalinami, buntowała się tempem, jakie jej narzucałem. Ona jedna nie chciała podporządkować się chłopcu.

I nagle otwarła się przed nami ta polana, święte, błękitne oko jeziora, na którym pływały czarne łabędzie. Wypuściłem kierownicę z rozklekotanych łap, uwolniona nagle Flavia skoczyła w bok, omal nie rozbiłem sobie łba i samochodu.

Ten diabelski dzieciak przyprowadził cię, zawiódł do jeziora, jakiego nie widziałem w życiu. Ono mi się nawet nie śniło. Zatrzymałem Flavię na polanie, nie wysiadając z wozu, czekałem co będzie dalej. Staneliście oboje nad brzegiem, ręka w rękę, wiatr szedł leciutko; ulotnie górą świerków. Szumiały i nie szumiały, czarne łabędzie kręciły się w miejscu po wodzie, w koło, niezdecydowane, czy mają się przestraszyć i odlecieć, czy zostać.

One tu zawsze będą, powiedział chłopiec w ciszy. — Nie boją się ludzi — zdziwiłaś się Anabelo.

Nie boją, bo tu nikt nie przychodzi, a miejscowi, a my, nikt nie ruszyłby tych łabędzi i wy też nic im nie zrobicie, prawda?

Potrząsnąłem niemo głową. Chłopiec puścił twoją rękę. Wy rozbijecie tu namiot, niech mi pani da pieniędzy, to ja wam przyniosę ze spółdzielni wszystkiego co trzeba, a nocą mój tata zawsze nałowi wam ryb.

A więc widzi mnie jednak, zdecydował się mnie zobaczyć. Wytaszczyłem się z wozu, było gorąco, byłem gruby i spocony, oczy mnie piekły, czułem się zmęczony. Chłopiec zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głowy, uśmiechnął się, i tak zawarliśmy przyjaźń. Na śmierć i życie, jak kiedyś z tobą, Anabelo, miłość.

Przeszło mi nagle zmęczenie, a może wciągnąłem w płuca woń lasu, z majaku mego starego. Poczułem lekki, przyjemny chłodek, ciągnący od wody, i tamten, biegnący górą koronami drzew. Wlazłem z powrotem do Flavii i ustawiłem ją w cieniu, pod drzewami.

Na dźwięk odskakującego w górę bagażnika i klekotania kocherów, łabędzie zaczęły odpływać ku środkowi jeziora. Patrzyłaś za nimi tak, że zrobiło mi się przykro, nie mogłem ich dla ciebie zatrzymać.

To było jednak niepotrzebne. Rankami, gdy wypełzaliśmy z namiotu, kręciły się zawsze przy brzegu, ciekawie wyciągając szyje w naszym kierunku.

Mały śmiał się. Raz tu przyszli jedni, powiedział i musieli odjechać. One pobiły im dziewuchę. „Dziewuchę" powiedział pogardliwie i byliśmy oboje zaraz pewni, że to była taka dziewucha do bicia. Czarne ptaki miały na pewno rację.

Łabędzie mocno biją, wie pani? Mogą i zranić.

Chłopiec, jak łabędzie, śledził już przeważnie nie opodal namiotu, gdyśmy szli o brzasku do jeziora przemyć sobie oczy. Najbardziej lubił dokładać do kochera suche gałki spirytusu i z tobą Anabelo, gotować. Przynosił nam węgorze i wielkie płocie, Warzyliście zupy, duża i mały, ale on smażył dzwonka karpi. Umiał smażyć ryby, piec je na gorących kamieniach, albo na patykach, nad ogniem. Z ogromną uwagą przyglądał się, gdy robiłaś zupę rybną. To był cały rytuał i nic a nic mu się nie dziwiłem. Ja też siadywałem wtedy na trawie, składałem nogi, jak Turek i pykałem swoim Dunhillem, przyglądałem się twojej twarzy nachylonej nad oparami z kociołka. Mlaskałaś, smakując płyn, jeszcze niżej pochylałaś twarz, mniej widoczną, mniej znajomą zza zasłony pary. Odprawiałaś babskie czary. I jak ona smakowała, ta zupa! Trzeba było widzieć minę małego, gdy zanurzał łyżkę w menażce.

Po pewnym czasie, spostrzegłem, zaczął siadać jak ja, a ty, Anabelo przemyśliwałaś, jak by to dziecko zabrać ze sobą do domu. Zapragnęłaś wziąć obce dziecko, adoptować je i czytałem to postanowienie z twojej twarzy.

Milczałem, udawałem, że niczego nie widzę, niczego się nie domyślam. Było mi cię żal. Byłem pewny, że nikt takiego dziecka nie oddaje, choć by mu się nie przelewało i dziesięć gąb miał do wyżywienia.

Co drugi dzień mały przynosił nam w kubełku obiecane ryby, ale nigdy nie widzieliśmy dorosłego mężczyzny, łowiącego na jeziorze.

Ojciec łowi z tamtej strony, mówił chłopiec i zataczał ręką nieokreślony półkrąg, taki, że nie było wiadomo, gdzie tu można było łowić i z której strony jeziora. Domyśliłem się, że stary chłopca kłusuje i także dlatego jest niewidzialny. Aż przyszedł jednego dnia i gdy wypełzłem z namiotu jeszcze nie przetarłszy oczu, zdumiałem się omamem, bo mały siedział na swoim zwykłym miejscu bardzo wielki. Właściwie nad jeziorem czarnych łabędzi wszystko było możliwe, mimo to, chciałem skoczyć w stronę wody, ale stary odezwał się pierwszy — Nie, nie zdaje się panu, to ja, nie Kajtek. Niech no pan się umyje, później pogadamy.

Łabędzie kręciły się koło moich rąk, gdy czerpałem wodę, już nie reagowały nawet na moje poranne ryki i parskanie.

Dorosły mężczyzna śledził każdy mój ruch. — Smakowały wam węgorze, zapytał. Roześmiałem się. Wy niedługo jedziecie i jak pan myśli, co będzie z moim chłopakiem?

Zapomniałem języka w gębie i wtedy Anabelo, wyszłaś mi na ratunek z namiotu.

Ja bym go wzięła, powiedziałaś bez żadnych wstępów, dałabym mu wykształcenie. Ja i Dawid, poprawiłaś się szybko, aby propozycja wypadła poważniej i nawet się nie zająknęłaś, chociaż słowem mi o swoim planie nie pisnęłaś. Wiedziałaś bestio, że ja tego chłopca, tego jednego zniósłbym obok ciebie i Ewki, bo on cię pokochał, jak my. Z miejsca, o nic nie pytając.

Aha, mruknął mężczyzna, a my to co? Znaczy się jego rodzice. Nie wiem, odparłaś lakonicznie.

I pani myśli, że on byłby szczęśliwy, zastanowił się głośno bez gniewu mężczyzna. Pewnie ma pani rację. On chodzi jak chory, jak zaczadziały, i on wam tu więcej ryb nie przyniesie, bo my jesteśmy nieszczęśliwi. Będziemy nieszczęśliwi, gdyby go pani zabrała. Ja wam przyniosę węgorze. Tfu, to jezioro, splunął w kierunku wody, ja mu muszę zakazać siadywać całe lato nad jeziorem i patrzeć na łabędzie. On robi to samo, gdy tu nikogo nie ma.

Niech go pan przyśle na przyszłe wakacje do nas, do Warszawy. Nie będzie siedział i patrzył na łabędzie.

Oo, pani jest chytra, roześmiał się mężczyzna, ale nic z tego. Ja go nie poślę do Warszawy. My go sami wyślemy do technikum, do Ostródy, jak skończy podstawówkę. Podniósł się z trawy. Węgorze wam jutro rano przyniosę. Ostatnie, co? Szykujecie się do odlotu, jak te, tam, skinął głową w stronę ptaków. One też wcześniej gdzieś idą, jak inne. Diabli je wiedzą gdzie.

Są piękne, powiedziałaś Anabelo, bez nich nie byłoby wakacji, nie mielibyśmy z moim mężem takiego urlopu.

Przygarbiony człowiek spojrzał na ciebie uważnie. Ja pracuję w tartaku, poinformował, ale taka tam dniówka. W domu sześcioro dzieci, łowię ryby.

Przyniósł nam jeszcze te węgorze w kubełku po konserwowych ogórkach „Pudliszki", z którym zawsze chodził mały. Nie pożegnaliśmy się z Kajtkiem, ale jego ojciec dał ci fotografię zamyślonego, zagapionego w coś chłopca, stojącego na stercie tartacznych wiórów.

Schowałaś fotografię dziecka za stanik opalacza, jakbyś była wiejską dziewczyną. Robiłaś czasem takie rzeczy, miałaś takie cholerne zagrania.

Stary uśmiechnął się, patrzył tam gdzie ja, na twoje piersi. On panią żegna, mruknął, on powiedział, że jak wyrośnie, to pojedzie do Warszawy. On panią znajdzie.

Ja dam panu swój adres, wykrzyknęłaś z nadzieją.

Nie, nie trzeba, ale na drugiej stronie fotografii jest napisany mój adres. Wy mi przyślecie haczyki na węgorze. Kupicie w Warszawie i przyślecie. Węgorza nie można oszukać, nie można go złowić na byle gwóźdź. Muszę mieć porządne haczyki, a w Ostródzie nie mają.

Wiedziałem, że to on nie ma karty rybackiej i nigdy nie kupi haczyków.

Pamiętasz, Anabelo, nasz kumpel od łowienia szczupaków długich i grubych, jak ręka, nabył dla nas te haczyki. Zrobiliśmy paczkę i to było nasze właściwie pożegnanie z małym.

Fragment powieści „To nieprawda, że umarł Tristan", która ukaże się nakładem „Iskier".

NIE TYLKO HISTORIA

Dni czerwcowe

Po wielkim wybuchu ruchu strajkowego, jaki w styczniu i lutym ogarnął całe miasto, zmuszając przemysłowców i władze do ustępstw na rzecz proletariatu, nastąpił w Łodzi krótkotrwały okres względnego spokoju. Była to jednak cisza przed burzą, bo chociaż wszystko zdawało się wrócić do dawniejszego stanu, przecież raz po raz dochodziły do mieszkańców miast wieści o wydarzeniach, świadczących o rozmiarze społecznego napięcia, akumulującego się w świadomości łódzkiej klasy robotniczej. Strajk styczniowo-lutowy 1905 r. miał bowiem doniosłe znaczenie dla łódzkiego proletariatu nie tylko dlatego, że przyniósł robotnikom doraźne korzyści ekonomiczne, niewielkie skrócenie czasu pracy, nikłą podwyżkę zarobków, ale również z tego powodu, że uświadomił szerokim masom robotniczym ich siłę w zbiorowym wystąpieniu, ugruntował poczucie klasowej więzi proletariatu fabrycznego, oddziałał na dojrzewanie politycznej świadomości ludzi, którzy wzięli czynny udział w ruchu, teraz zaś coraz częściej poczynali zgłaszać swój akces do partii politycznych.

Ożywienie ruchu politycznego w Łodzi nastąpiło bezpośrednio przed świętem 1 Maja. Partie robotnicze kolportowały odezwy i nielegalną literaturę, nasilając swą działalność propagandową, gotowano się do wywołania strajku powszechnego w dniu robotniczego święta. SDKPiL wzywała robotników Łodzi do powszechnego strajku w dniu 1 Maja pod hasłami zwycięstwa rewolucji, ustanowienia ludowej republiki, wprowadzenia krajowego samorządu i zagwarantowania ośmiogodzinnego dnia pracy. Organizacja PPS wzywała do solidarności z rewolucją w Rosji, głosiła hasło „wolnej Polski Ludowej". Sprawdzianem sprawności zakonspirowanej organizacji bojowej były organizowane przez nią zamachy na urzędników aparatu ucisku. Najgłośniejszą z akcji był udany zamach na prystawa (funkcjonariusza policji) Michała Szatałowicza, zabójcę robotnika Tomasza Książczyka podczas demonstracji 15 stycznia 1905 r. Władze wiedziały, że robotnicy pragną pomścić śmierć swojego towarzysza, dlatego też prystawowi towarzyszyła stale ochrona policyjna, mająca zabezpieczyć go przed wypadkiem zamachu. Nie na wiele się to zdało: dnia 1 kwietnia na ulicy Długiej (obecnie ul. Gdańska) dokonano na Szatałowicza zamachu. Wybitny historyk polskiego ruchu robotniczego Adam Próchnik tak opisywał to wydarzenie: Szatałowicz „dochodził do nr 18, zauważył idącego naprzeciw robotnika z wielkim koszykiem. Gdy zrównali się, robotnik wyjął z koszyka bombę i rzucił mu pod nogi. Nastąpił wybuch. Robotnik widząc, że Szatałowicz nie upadł, wyjął z koszyka browning i skierował go ku niemu, ale towarzyszący prystawowi policjant ciął robotnika szablą w głowę. Robotnik upadł na ziemię. Wieczorem zmarł. Szatałowicz usiadł na ziemi i czekał na karetkę pogotowia. Lekarze znaleźli na jego ciele 13 ran, których nie uznali za niebezpieczne. Jednak wbrew tej diagnozie w 6 dni później zmarł". Robotnikiem, który zginął w zamachu na prystawa, był Antoni Szurgot.

Władze z niepokojem obserwowały nastroje łódzkiego proletariatu. Dnia 12 kwietnia policmajster miasta Łodzi I. Chrzanowski donosił gubernatorowi o „...oczekiwanym przez lud powstaniu, o planach organizowania drużyn bojowych", powiadamiał o projektach sprowadzenia przez partie robotnicze uzbrojenia dla planowanej walki, a to „za pieniądze zaoszczędzone wskutek postanowienia niepicia wódki, niepalenia tytoniu, nienoszenia przez robotnice kapeluszy i grzebyków, ubierania się skromnie i w ogóle powstrzymywania się od wszelkich zbytków".

Mimo że w dniach przed świętem majowym doszło do starć między policją a grupami robotników, że doszło w kilku wypadkach do użycia broni, strajk 1 Maja nie przybrał ani tak szerokich rozmiarów, ani tak spontanicznego charakteru jak było to w styczniu i lutym. Wedle obliczeń historyków do pracy w dniu robotniczego święta nie stawiło się ponad 19 tysięcy robotników, podczas dnia przyłączyło się do strajku dalszych około 12 tysięcy. Było to jednak niewiele, w porównaniu z wydarzeniami ze stycznia i lutego, bo około 50 procent wszystkich robotników fabrycznych w mieście. A. Próchnik oblicza ogólną liczbę uczestników strajku 1 Maja 1905 r. na 31 252 robotników. „Co do manifestacyj — pisze wspomniany autor — udało się władzom udaremnić wszystkie planowane zebrania, z wyjątkiem jednego (na ul. Aleksandrowskiej), ale demonstracje odbywały się samorzutnie w całym szeregu innych punktów. Ogółem dnia tego było 20 prób urządzenia pochodów, zgromadzeń i starć z wojskiem i policją". Zginęło ogółem 5 uczestników manifestacji, liczby rannych trudno się doliczyć. Poniosło śmierć 4 funkcjonariuszy policji i wojskowych oraz jedna osoba przypadkowa, kobieta stojąca w oknie w jednym z domów przy ul. Nawrot.

Święto 1 Maja nie przybrało w 1905 r. w Łodzi rozmiarów, które mogłyby obudzić większy niepokój władz. W tym dniu — jak pisał A. Próchnik — „Łódź jeszcze nie przodowała w ruchu rewolucyjnym, a zastosowany środek ochronny w postaci stanu wzmocnionej ochrony wydawał się wystarczający". Władze miały się jednak niebawem przekonać, jak szybko i w jakim rozmiarze sytuacja ta uległa zmianie.

LEKTOR

„GŁOS ROBOTNICZY"

Dalszy ciąg ze str. 7

drze" jeszcze jako student w roku 1947. Aż się wierzyć nie chce — taki młody, a już za dwa lata obchodził będzie trzydziestolecie twórczości satyrycznej!

Gdzie zresztą Skonieczny nie publikował swoich prac! Znali go czytelnicy nie istniejących już „Rózg", „Kocyndra", „Muchy", „Kaktusa"..., znają go czytelnicy „Karuzeli", „Żołnierza Polskiego", „Przyjaźni", „Panoramy Północy"...

Swoje prace graficzne wystawiał w Łodzi, Wrocławiu, Warszawie, a także za granicą — w Moskwie i w Światowym Salonie Humoru w Montrealu. Jest utalentowanym artystą ale pozostał przede wszystkim dziennikarzem.

HENRYK SROCZYŃSKI

Do „Głosu Robotniczego" przyszedł prosto z polonistyki jeszcze w roku 1951. Jak to zwykle bywa, reporterka wciągnęła go bez reszty i do studiów filologicznych stracił ochotę.

Pasjonować go zaczęły sprawy szerokiego świata, w związku z czym podjął studia na geografii. Uganiając się za sprawami dnia codziennego Łodzi, jako reporter działu miejskiego — jednocześnie poznawał problemy geografii ekonomicznej świata.

Niedawno obronił pracę doktorską

nt. „Rozmieszczenia i struktura funkcjonalna miast na Kubie". Właśnie — Kuba! Jedenaście lat temu wyjechał tam po raz pierwszy na zaproszenie Instytutu im. Jose Martina — pięć lat temu odwiedził Kubę ponownie, na zaproszenie Stowarzyszenia Dziennikarzy Kubańskich. Z tych podróży Czytelnicy „Głosu" pamiętają cykl reportaży, pisanych z dużą znajomością rzeczy, rzetelnie i kompetentnie.

Henryk Sroczyński zapisał się w pamięci Czytelników swojej gazety także szeregiem publikacji — reportaży, komentarzy i artykułów publicystycznych — z innych rejonów świata. Ameryka Południowa interesuje go najbardziej ale odwiedził także kraje Europy, był w Afryce, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie...

Na co dzień — już od siedmiu lat — kieruje działem wojewódzkim „Głosu Robotniczego" zajmując się problemami najbliższego regionu. To pozorny paradoks — wielki świat i małe miasteczka — ale w tej dwoistości dziennikarskich pasji Henryka Sroczyńskiego tkwi istota ciekawości ludzi, świata i jego problemów.

EDMUND TULKO

Powiada czasem żartobliwie, że swoją karierę zaczął w „Głosie Ro-

botniczym" i tu skończy, choć to nigdy jeszcze nic nie wiadomo. Zaczął

Dalszy ciąg na str. 12

OBYCZAJE

„Tatusiów
Z grubsza biorąc
Jest ilość ogromna
Więc dobrze się stało, że się w końcu ktoś o nich upomniał..."

Tak napisał Ludwik Jerzy Kern w żartobliwym wierszu pt. **„Dzień Taty"** opublikowanym w zeszłorocznym „Przekroju" nr 1524 w całości poświęconym Dniu Ojca. W tym roku — 23 czerwca — Dzień Ojca w naszym kraju obchodzony będzie po raz dziesiąty.

— Obchodzimy, ku chwale Ojczyzny!, jeden dzień kobiety cały rok mężczyzny... Więc Dzień Ojca będzie ograniczeniem tego święta do jednego dnia. I to chyba jest słuszne — powiedział mi w 1965 roku Jan Sztaudynger, gdy przedstawiłem projekt wprowadzenia, wzorem innych krajów, Dnia Ojca również w Polsce. — **By dzień ten jak najbardziej uczcić** — zaraz dodał najdowcipniejszy z fraszkopisarzy — rzucam hasło: **Kwiaty dla Taty! I to nawet w takim przypadku, gdy: Kto ojcem dziecka? Pomoc sąsiedzka...**

— Co więcej — kontynuował — **na Dzień Ojca proponuję wigilię św. Jana, gdy przypada najkrótsza noc w roku, a więc prawdziwe święto dla ojca! Przy tym możliwość otrzymania w darze nie tylko kwiatów, ale i całego wianka — wianka dla wybranka...**

W **„Chwalipięcie czyli rozmowach z Tatą" Jana Sztaudyngera i Anny Sztaudynger-Kaliszewicz** początki Dnia Ojca tak zostały opisane:

„Kiedyś zwrócił się do mnie dziennikarz Konrad Turowski z zapytaniem, czy popieram inicjatywę desygnowania jakiegoś dnia na Święto Ojca. Przyparty do muru przez redaktora odpowiedziałem:

— Popieram z całego serca, a dzień proponuję 23 czerwca. Jest to plus minus najkrótsza noc roku, ojciec ma labę, więc największe święto..."

— Zaprotestowało **Polskie Towarzystwo Miłośników Astronomii.** Sekretarz zarządu oddziału Towarzystwa w Gliwicach — **Jan Kasza,** nadesłał zestawienie najdłuższych dni za ostatnie ćwierćwiecze. Wynikało z niego, że najdłuższymi dniami w roku są zazwyczaj 21 lub 22 czerwca a nie wigilia św. Jana.

Przeciw wprowadzeniu Dnia Ojca opowiedział się **Horacy Safrin:**

— Moim zdaniem — mówił — **w ogóle mamy już za dużo różnych dni świątecznych.**

Przytłaczająca była jednak większość głosów za Dniem Ojca. I to właśnie 23 czerwca, bez względu na astronomiczną dokładność. Hasło **„Kwiaty dla Taty!"** zyskało sobie szeroką popularność.

— Miałam trzech mężów, więc doskonale potrafię ocenić ich wkład w wychowywanie dzieci i prowadzenie rodziny — argumentowała najstarsza łodzianka, która 1 kwietnia 1965 roku skończyła 104 lata.

— W rodzinie ojciec spełnia równorzędną rolę. Jestem matką syna, który ukończył studia na Politechnice Łódzkiej oraz córki — absolwentki Akademii Medycznej. Bez pomocy męża nie byłabym w stanie wychować i wykształcić dzieci — mówiła Henryka Węgrzyn, Budowniczy Polski Ludowej.

— Naszym naczelnym zadaniem — popierał inicjatywę prof. dr Stefan Bagiński, przewodniczący Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa — **jest propagowanie szczęśliwej rodziny. Oznacza to m. in. pełne równouprawnienie ojca i matki. Skoro mamy Święto Matki, to już choćby dla zachowania równowagi rodzinnej powinno być Święto Ojca...**

„Bądźmy sprawiedliwi wobec ojców" — nawoływał miesięcznik **„Twoje dziecko"** pisząc: **„W ostatnich czasach wiele mówi się o nowej roli mężczyzny w rodzinie. W toku tych dyskusji ujawnia się tendencje do obwiniania ojców za wiele złych rzeczy, które w rodzinie się pojawiają. Czy ojciec jest naprawdę tak bardzo odpowiedzialnym za to, co bywa złe w naszej rodzinie? Odpowiadamy zdecydowanie. — Nie. Ojciec nie odpowiada bardziej niż matka za zło, które wkrada się do rodziny..."**

„Ukoronowaniem akcji nękania kobiet i dzieci stało się wprowadzenie świąt kobiet, matek i dzieci — pisał — Andrzej Zom w „Kurierze Polskim". **— Co tym samym zwalnia społeczeństwo z okazywania im jakichkolwiek względów w pozostałe 364 dni w roku. W ten sposób kobiety, matki i dzieci mamy z głowy. I życie byłoby piękne, gdyby nie fakt, iż wyżej wymienione kategorie ludności zorientowały się, że pozostała jeszcze jedna, nietknięta kategoria, której nikt nie wmawia kompleksów, nikt nie poddaje stresom, nikt nie wytyka upośledzenia, demoralizacji ani frustracji. Jednym słowem kategoria znajdująca się prawem kaduka pod ochroną: mężczyźni.**

Odrabianie zaległości na tym polu postanowiono oczywiście zacząć od ustanowienia odpowiedniego święta. Prasa i telewizja wzięła się do dzieła: 23 czerwca — Dniem Ojca. Żywy niepokój męskiej części społeczeństwa jest jednak nie usprawiedliwiony. Akcja ta jest dla nas niegroźna, śpieszę pocieszyć. W obchodach Dnia Ojca bowiem zaniedbano wiele podstawowych warunków: uroczystych akademii, pochodów ku czci, zasadniczych referatów, dostojnych patronatów, kwesty ulicznej na rzecz oraz innych elementów powodzenia poważnej akcji..."

„Wszystkie Jacki i Agaty popierają Święto Taty!" — agitowali ze szklanych ekranów bohaterowie popularnego programu TV „Na dobranoc".

ctwach kalendarzowych, każdorocznie uzgadniamy z Wydziałami: Organizacyjnym i Ekonomicznym CRZZ. W wykazie CRZZ nie figuruje Święto Ojca (i bardzo dobrze! — K.T.). **Dlatego oraz ponadto ze względu na daleko zaawansowane prace poligraficzne przy naszych podstawowych wydaniach kalendarzy wymienione święto nie będzie mogło być zamieszczone..."**

Mimo pewnych trudności Dzień Ojca krzepnie i obrasta w tradycje z roku na rok. Doczekał się nawet piosenki pt. **„Kwiaty dla Taty!** a znany komik i parodysta cyrkowy **Edward Dworakowski** wprowadził do swego programu zabawną scenkę propagującą Dzień Ojca...

„Nikt kto rozsądny i znający życie nie będzie podważał faktu, że rola współczesnego ojca, a co ważniejsze — jej spełnianie przez bezpośrednich bohaterów, różni się znacznie od tej, którą wyznaczyła nam nasza rodzima kultura i tradycja — napisał w obszernym eseju na temat **Dnia Ojca** publicysta **„Życia Warszawy" Andrzej Świecki. — XIX-wieczne babcie płaczą, gdy wi-**

KONRAD TUROWSKI

KWIATY DLA TATY!

Foto. Archiwum

„Jesteśmy Za!" — od początku twierdził **„Przekrój".** Nawet **„Przyjaciółka"** nie pozostała w tyle opowiadając się po stronie zwolenników Dnia Taty.

Spółdzielnia Pracy Poligraficzno-Wydawnicza „Udziałowa" w Częstochowie, wydająca m. in. kalendarze biurowe w nakładzie ok. stu tys. egzemplarzy rocznie, postanowiła już zawsze zaznaczać, że 23 czerwca przypada Dzień Ojca.

W tym samym czasie jednak dyrektor pewnego poważnego wydawnictwa na propozycję skorzystania z przykładu spółdzielców częstochowskich, z całą powagą odpowiedział w urzędowym piśmie:

„Terminy świąt okolicznościowych, zamieszczane w naszych wydawnidzą w Łazienkach wózki z niemowlętami prowadzone przez samotnych młodych małżonków. I mówią: „Jacy ci mężczyźni opiekuńczy, i jacy są dobrzy, za naszych czasów inaczej bywało..." I jest to spostrzeżenie jak najbardziej słuszne i zasługujące na szeroką popularność, zwłaszcza wśród „emancypantek" dopatrujących się dobra dzieci li tylko w interesie ich matek i opiekunek...

Jako świadek uczestniczyłem w rozprawie rozwodowej. Były dzieci. Młodsze — 4 lata, starsze — dziesięć. Ojciec w wieku trzydziestu lat, posiwiały, mówi, że w domu kłótnie, bo ponoć on źle ubiera dzieci, nie według współczesnej mody, wtrąca się do jakości dziecięcych posiłków. Awanturuje się, gdy żona nie przyszła na noc, a on przecież powinien wiedzieć, co dzieciom podawać, w czasie choroby czy w czasie kiedy Ona chce się rozerwać, a rzadko przecież, bo tylko raz na kwartał, pozwala sobie na takie dziewczęce skądinąd chimery... Sąd był rozsądny. Młodszym dzieckiem ma się opiekować matka, starszym, z uwagi na odpowiedzialność i wagę sprawy... — ojciec. Ot, czasy..."

Dostrzeżono więc w Święcie Ojca głębsze treści, które początkowo tkwiły niejako pod pokrywką humoru i żartu.

Od pięciu lat z okazji 23 czerwca przyznawany jest najzupełniej honorowy tytuł **Ojca Roku.** Nie łączy się nawet z oficjalnym wręczaniem dyplomu. Tylko prasa, radio i telewizja podają kogo spotkało to wyróżnienie. W 1970 roku Ojcem Roku został **Czesław Laskiewicz** z Chrzanowa, ojciec czworaczków, które już chodzą do przedszkola w Krzeszowicach. W rok później honorowy tytuł otrzymał **Bronisław Rychert** — ojciec dziarskich pięcioraczków z Gdańska.

Trzy lata temu Ojcem Roku został **Bolesław Bochniak z Warszawy,** który wraz z żoną wychowuje ośmioro obcych dzieci.

— „Najbardziej ucieszyły się nasze dzieci — napisał mi B. Bochniak — **gdy przeczytały w gazetach i usłyszały przez radio, że zostałem Ojcem Roku 1972. Złożyły gratulacje i życzenia, otrzymałem też kwiaty i wiele serdecznych całusów. Prowadzimy z żoną dom rodzinny sierot społecznych. Wyróżnienie mnie honorowym tytułem przyczyniło się do spopularyzowania tego rodzaju domów rodzinnych. Od tego czasu przybyło już 12 takich domów. Odwiedziło nas kilka delegacji z innych miast wojewódzkich, by skorzystać z naszych doświadczeń."**

W 1973 roku wyróżnienie spotkało **Ignacego Zalewskiego** z Olsztyna, który po śmierci żony sam wychowywał dwie córki — 7-letnią Ewę i 4-letnią Anię. Dziś Ewa jest na trzecim roku Wydz. Budownictwa Lądowego Politechniki Warszawskiej a Ania przygotowuje się do matury. Ponieważ pracował jako zaopatrzeniowiec i wiązało się to z koniecznością częstych wyjazdów, zmienił pracę, by więcej czasu poświęcać córkom, którym musiał zastępować matkę. Wiedzę na temat wychowania dzieci uzupełniał lekturą książek i podręczników pedagogicznych. Po powrocie do domu prał, gotował i wykonywał wszystkie inne czynności przykładnej gospodyni.

W zeszłym roku honorowy tytuł otrzymał **Mieczysław Eski,** kierownik wydziału w Dolnośląskich Zakładach Metalurgicznych w Nowej Soli, laureat ogólnopolskiego plebiscytu na najlepszego mistrza i wychowawcę młodzieży, ojciec dwóch dorosłych synów.

Nadany mi tytuł — napisał do mnie — **stał się przyczyną jeszcze większego scementowania naszej załogi. Stałem się powiernikiem moich podopiecznych we wszystkich sprawach. Przychodzą też ich rodzice i razem zastanawiamy się nad rozwiązywaniem trudnych problemów życiowych. Jestem też zapraszany przez dyrektorów szkół średnich na dyskusje dotyczące form i metod pracy z młodzieżą. Uważam, że uczciwość wymaga ode mnie przekazania młodzieży całej mojej wiedzy zawodowej i życiowej. Młodzi muszą mieć do nas zaufanie i pewność, że zawsze przyjdziemy im z pomocą, że poważnie i rozsądnie potraktujemy każdy ich problem..."**

Dzień Ojca spełnia więc szerokie funkcje społeczne. Dzieje się to w sposób tym bardziej autentyczny i spontaniczny, że wprowadzony został „oddolnie", bez zarządzeń i nakazów. Po prostu okazało się, że jest bardzo potrzebny, bo nie ma tylko niedobrych ojców, tak jak nie ma wyłącznie przykładnych matek, dobrych nauczycieli, górników itp. Są dobrzy, ofiarni i zdolni do poświęceń ojcowie. Nie brak ich w żadnym środowisku. Na pewno każdy może podać przykłady...

By jednak nie kończyć bądź co bądź świątecznego artykułu z okazji obchodzonego po raz dziesiąty Święta Ojca dywagacjami publicystycznymi, wróćmy do zacytowanego na wstępie wiersza **Ludwika Jerzego Kerna:**

„Na co więc mogą liczyć te taty
w Dniu Taty.
Na laurkę,
Na wierszyk,
Na cmok,
Na krawaty,
Na ciastko z truskawkami,
Na szklankę herbaty,
Pod warunkiem, że z pracy wrócą
wprost do chaty."

Wszystkim ojcom radzę to potraktować poważnie. Pamiętajmy, że 23 czerwca nie ma tłumaczenia się zebraniem po pracy czy spotkaniem kolegi z wojska. W domu czeka niespodzianka. Taka na jaką każdy z nas sobie zasłużył...

U PRZYJACIÓŁ

Z inicjatywy pięciu największych bibliotek naukowych Związku Radzieckiego, z Biblioteką im. Lenina na czele, powstaje bibliografia wszystkich źródeł drukowanych, które zawierały opublikowane w swoim czasie pozycje literatury pamiętnikarskiej, odnoszące się do historii Posji z okresu przedrewolucyjnego. Bibliografia będzie nosić tytuł: „Memuary i wspomnienia z dziejów dawnego państwa rosyjskiego od XV wieku do 1917 roku". Tom pierwszy tej publikacji z tysiącem haseł ukaże się w 1976 r., następne tomy składać się mają z kilku ksiąg każdy, a całość bibliografii będzie gotowa w najbliższych latach.

Jakie materiały znajdą się w bibliografii? Przede wszystkim wymienione zostaną źródła najstarsze z pochodzącymi jeszcze z okresu przed wynalezieniem druku pamiętnikami. Aż do XVII wieku włącznie memuary rosyjskie z Rusi Moskiewskiej nie wyodrębniały się jako oddzielny gatunek literacki, nosząc charakter raczej publicystyczny, wzbogacony wspomnieniami osobistymi. Dopiero XVIII i XIX wiek przynoszą wielką ilość pamiętników i wspomnień. Tematy przytoczonych na stronach bibliografii memuarów — to m. in. walka Iwana Groźnego z bojarstwem, bunty chłopskie, rozwój kultury i oświaty w dawnej Rusi i Rosji carskiej od początków XX wieku, polityczne i handlowe kontakty Rosji, jej ludy i miasta.

Do ciekawych wyszperanych przez bibliografów pozycji należą notatki cudzoziemców, którzy zwiedzili Ruś Moskiewską. Następnie bibliografia wymienia po raz pierwszy osiemnastowieczny pamiętnik J. Stehlina, wychowawcy i bibliotekarza Piotra III, wspomnienia siostrzenicy Michała Łomonosowa, dziennik Piotra Ryczkowa, pierwszego krajowego członka-korespondenta Petersburskiej Akademii Nauk, pisany w czasie oblężenia Orenburga przez Pugaczowa, dzienniki uczestników pierwszych ekspedycji naukowo-badawczych, które zwiedziły i sporządziły opisy Syberii, Kaukazu, północy Rosji.

To kapitalne dzieło bibliografów radzieckich wydane zostanie na użytek historyków i historyków literatury, geografów, historyków sztuki. Po zakończeniu pracy nad tomami „Memuarów i wspomnień z dziejów dawnego państwa rosyjskiego od XV w. do 1917 roku" przyjdzie kolej na podobną bibliografię, chronologicznie obejmującą lata po Rewolucji Październikowej, aż do współczesności.

* ☆ *

Największego polskiego kompozytora polskiego los związał wieloma mocnymi niciami z naszymi przyjaciółmi z południa: Czechami i Słowakami. Muzyka Chopina zadomowiła się tam od dziesiątków lat, znajdując — jak zresztą na całym świecie — licznych miłośników i znawców. Mieszkańcy Czechosłowacji z dumą wspominają, że w latach 1829—1830 kompozytor był stałym gościem Złotej Pragi, a najchętniej zatrzymywał się w hotelu „Czarny Koń".

Początków gry na fortepianie uczył Chopina Czech, Wojciech Żywny, który był wykładowcą w warszawskim konserwatorium; młody Fryderyk miał też dwóch innych nauczycieli Czechów: kapelmistrza wiedeńskiego Wacława Wurfla i wirtuoza Józefa Slavika.

W czasie pierwszego pobytu w Pradze w 1829 r. Chopin spotykał się z literatami i muzykami, był także gościem oficyn wydawniczych i księgarń. Zaprzyjaźnił się z bibliotekarzem Muzeum Narodowego — Hankiem, któremu wpisał do pamiętnika swego Mazurka G-dur. Polski gość zawarł również przyjaźń z wykładowcą konserwatorium, dyrygentem Teatru Stavovyskiego, kompozytorem i skrzypkiem Bedrzichem Viliamem Pixisem.

Fryderyk Chopin gościł również m. in. w Duchcowie, Decznie, w Karlovych Varach — tam spotkał się z rodzicami odbywającymi w tym sławnym uzdrowisku kurację. Kilka tygodni spędził w Mariańskich Łaźniach, jako gość zaprzyjaźnionej rodziny Wodzińskich.

Chopin ma kilkanaście pomników wykutych w kamieniu i odlanych w brązie na terenie CSRS. Jest również muzeum jego w Mariańskich Łaźniach, gromadzące dokumenty, fotokopie partytur, dagerotypy i inne eksponaty. Towarzystwo im. Chopina w Mariańskich Łaźniach organizuje od kilku lat festiwale chopinowskie.

USA

MIASTA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Upadek amerykańskich miast nie tylko starych i dużych lecz także nowych jest coraz szybszy. Ekonomiczny spadek i postępująca inflacja pogłębiły chroniczne niedomogi gospodarki miejskiej, które — jak sądzi wielu Amerykanów — stanowią dziś szczególnie groźne niebezpieczeństwo.

Po krótkotrwałym okresie stabilizacji, w wielkich miastach znów, i to bardzo szybko, wzrasta przestępczość. Masowy przepływ ludności do miejscowości podmiejskich, który rozpoczął się po drugiej wojnie światowej, obecnie przybrał na intensywności. Dlatego też i wpływy z podatków lokalnych są coraz mniejsze w większości dużych miast. Średni dochód rodzin zamieszkujących duże miasta także stale maleje.

Niektóre największe miasta USA, pozbawione w znacznym stopniu stałej bazy finansowej, znalazły się u progu bankructwa — pisze publicysta „US News and World Report". Władze miejskie Nowego Jorku musiały zwolnić z pracy tysiące pracowników administracji miejskiej, włącznie z policjantami i strażakami, żeby pokryć deficyt bieżącego roku finansowego oceniany na około 120 milionów dolarów. Władzę San Francisco oczekują, iż w bieżącym roku finansowym budżet miejski zamknie się deficytem rzędu 80 milionów dolarów. W Cleveland, gdzie, jak wynika z ostatnich ocen, ogólna suma dochodów spadła o 10 procent, władze municypalne zwalniają z pracy ponad 1000 robotników i zmniejszają zakres prac w dziedzinie sanitarnej służby miasta. W Los Angeles utrzymuje się nadal bardzo wysoki poziom bezrobocia i nie ma dziś mowy o ruszeniu z miejsca prac związanych z od dawna narastającym problemem zanieczyszczenia środowiska. W Chicago w ciągu ostatniego dziesięciolecia zlikwidowano ponad 211 tysięcy miejsc pracy i rodziny o średnich dochodach zamierzają opuścić miasto.

Dyrektor Centrum Badań Problemów Miast przy uniwersytecie w Stanford, George Sternlib, wyraża opinię, że nastroje w miastach uległy pogorszeniu. Systematyczny upadek miast zaszedł zbyt daleko: nawet restauracje i instytucje kulturalne nieomal masowo przemieszczają się do rejonów podmiejskich. Społeczeństwo amerykańskie — twierdzi Sternlib — doszło widać do wniosku, że taniej je kosztuje pozostawienie starych miast biedakom, wykpiwając się w ten sposób ochłapami na rzecz filantropii.

Co stało się z miliardami dolarów wydanymi w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci na próby zahamowania upadku amerykańskich miast, rozprzestrzeniającego się z szybkością pożaru stepu? Część pieniędzy poszła na budownictwo tanich domów, część na budowę autostrad szybkiego ruchu w intencji przyciągnięcia do rejonów podmiejskich przedsiębiorstw handlowych i ludności z dużych miast. Część środków pochłonęły znacznie zwiększone wydatki miejskie.

Rekonstrukcja miast zmusza biednych ludzi, wbrew ich woli, do wędrówek z jednego miejsca na drugie. W Bostonie głuchy gniew znów ogarnia tysiące rodzin pracujących, wysiedlonych z reprezentacyjnych dzielnic, w których mieszkali od pokoleń, żeby przygotować miejsca pod budowę luksusowych hoteli i kosztownych domów mieszkalnych.

Widocznym symbolem pomyłki popełnionej w ciągu ostatniego ćwierćwiecza jest zupełna ruina zaprojektowanej budowy osiedla mieszkaniowego w mieście Saint Luis. Tutaj właśnie w 1950 roku władze miejskie wybudowały w bezpośrednim sąsiedztwie zapadłego kąta miasta 33 wysokościowe domy mieszkalne kosztem 57 milionów dolarów. Zasiedlono je 10 tysiącami ludzi biednych z myślą oswojenia ich z warunkami życia w domach posiadających kanalizację i inne zdobycze cywilizacyjne. Teraz, kiedy domy zostały zdewastowane i stały się rozsadnikami przestępczości i degradacji, ten masyw mieszkalny jest już prawie całkowicie zrujnowany.

Pogoń za finansowymi wpływami nie przyniosła spodziewanych dochodów municypalnym kasom, które maleją z zastraszającą szybkością. Dyrektor rady merów amerykańskich, John Hanter, jest zdania, że miasta powinny zwiększyć podatki, ale już obecnie podatki od nieruchomości są tak wysokie, że na przykład w mieście Hobocken, w stanie New Jersey, właściciel domu w przeciągu każdych ośmiu lat płaci w sumie tyle podatku ile wart jest jego dom.

W Nowym Jorku wprowadzono takie podwyżki stawek podatkowych od nieruchomości, iż — zdaniem specjalistów — spowoduje to tylko przyśpieczenie „wyprowadzki" z miasta dobytkiem, całymi rodzinami, nieraz autostopem, a często też w wagonach towarowych przemierzają oni cały kraj w poszukiwaniu pracy.

Władze federalne i lokalne przewidują, że ten nieustanny potok ludzi przenoszących się z miejsca na miejsce nabiera dopiero rozpędu. Schroniska „Armii Zbawienia", punkty bezpłatnego żywienia, biura instytucji turystycznych i inne, będące przystanią dla koczujących bezrobotnych, pracują na pełnych obrotach w całym kraju.

Władze miejskie już od dawna, ale na próżno, próbują walczyć o regularne otrzymywanie części dochodów federalnych i zwiększenie wpływów od instytucji państwowych.

Zmieniają się nastroje wśród młodzieży. Wspomniany już John Hanter uważa je za czynnik potencjalnie wybuchowy, ponieważ bezrobocie wśród młodzieży sięga 30 procent, a w niektórych rejonach Stanów Zjednoczonych jest jeszcze większe. „Wielu spośród tych młodych ludzi — mówi Hanter — nie ma żadnej nadziei, nie wierzy w istniejący system i niewiele ryzykuje, jeśli zacznie się buntować".

Jednym z najboleśniejszych objawów kryzysu, który odczuwa teraz wiele miast amerykańskich, jest gwałtowny wzrost przestępczości. Ostatnie dane Federalnego Biura Śledczego opublikowane 31 marca br. wykazują, iż liczba ciężkich przestępstw: zabójstw, gwałtów, grabieży, napadów z bronią w ręku, kradzieży, włamań, kradzieży samochodów itp. — wzrosła od 1973 roku do 1974 o 17 procent. Jest to najwyższy skok od momentu, kiedy FBI zaczęło zbierać w 1930 roku dane w skali ogólnokrajowej.

W miastach z ludnością ponad 25 tysięcy osób przestępczość wzrastała, średnio, w tempie oszałamiającym — 15 procent rocznie. Obecnie daje się także odczuwać wzrost przestępczości w miejscowościach podmiejskich. W minionym roku odnotowano w aglomeracjach wzrost liczby przestępstw, w tym ciężkich, o 20 procent. W 1974 roku w centrach rejonowych USA zarejestrowano wzrost przestępczości o ponad 21 procent.

Ostra inflacja i zastój wyrażają się m. in. podwyższeniem kosztów utrzymania, spadkiem zatrudnienia oraz spadkiem produkcji przemysłowej. Bezrobocie, wzrost cen i w porównaniu z tym pozostające w tyle zarobki pogłębiają niedostatki właśnie wśród tych warstw ludności, które najwięcej tracą na trudnej sytuacji w narodowej gospodarce USA. Swoje potrzeby zaspokajają one drogą grabieży i złodziejstwa.

Gwałtowny wzrost liczby grabieży z bronią w ręku i kradzieży z włamaniem komisarz policji w Bostanie, Robert Gracia, również tłumaczy „warunkami socjalnymi i ekonomicznymi".

Wiele amerykańskich osobistości oficjalnych uważa, iż znaczną część przestępstw z użyciem siły, które stały się plagą narodową, dokonują nieletni. Zastępca inspektora policji w Chicago, John Killacky twierdzi, że „najliczniejszą grupą wśród przestępców naruszających porządek publiczny w Chicago jest młodzież w wieku od 15 do 20 lat, na drugim miejscu umieszcza dzieci w wieku od 10 do 15 lat. Coraz większa liczba chłopców i dziewcząt wychowuje się w rozbitych rodzinach, a na dodatek znajduje się pod nieustanną presją pokazywanych w telewizji i kinie scen obfitujących w bójki na noże, bestialskie mordy, duszenia, strzelaniny, palenie ludzi żywcem i oblewanie ich wrzątkiem.

Głównym powodem zaniepokojenia czynników oficjalnych w USA jest owa niesłychana łatwość, z jaką można się zaopatrzyć w broń palną. Władze policyjne uważają, że powinny skonfiskować rewolwery i karabiny znajdujące się w rękach ludzi do tego nie upoważnionych, tym bardziej, iż rok 1974 pod względem liczby dokonanych zabójstw był, na przykład w Chicago, rokiem rekordowym. Ale w Stanach Zjednoczonych taka konfiskata broni nie jest sprawą prostą. Koła oficjalne są jednomyślne co do jednego: jakiegoś radykalnego rozwiązania problemu miasta w najbliższym czasie nie należy oczekiwać.

JERZY CZECH

■ PREZYDENT FRANCJI W POLSCE

■ NOWA INICJATYWA ZSRR

Wizyta w Polsce prezydenta Francji — Valerego Giscard d'Estaing jest w naszych wzajemnych stosunkach wydarzeniem najwyższej rangi. Po raz drugi szef państwa francuskiego przebywa w Polsce — w 1967 roku taką podróż odbył gen. Charles de Gaulle. Kronika kontaktów polsko-francuskich jest bogato zapisana, szczególnie od roku 1971. Gościliśmy członków rządu, grupy parlamentarne, a także członków Biura Politycznego Francuskiej Partii Komunistycznej. Niezmiernie ważnym etapem w rozwoju stosunków polsko-francuskich **była wizyta we Francji Edwarda Gierka.** I sekretarz KC PZPR złożył ją w październiku 1972 roku na zaproszenie prezydenta Georgesa Pompidou.

Wówczas, w wyniku przeprowadzonych rozmów, podpisane zostały dwa doniosłe dokumenty: Deklaracja o Przyjaźni i Współpracy oraz 10-letni układ o rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej, naukowej i technicznej. Oba wprowadziły nasze stosunki na tory ściślejszej współpracy i mają duże znaczenie dla pogłębienia procesu odprężeniowego. Dlatego paryskie rozmowy E. Gierka i G. Pompidou wzbudziły najwyższe zainteresowanie prasy światowej i stały się wydarzeniem politycznym na ogólniejszą skalę.

W wypracowaniu obecnego poziomu współpracy gospodarczej z Polską ma swój **niemały udział Giscard d'Estaing,** który wtedy był ministrem gospodarki i finansów.

W tym miejscu przypomnijmy, że Valery Giscard d'Estaing został prezydentem po wyborach z 5 i 19 maja 1974 roku, kiedy to odniósł zwycięstwo nad Francoisem Mitterand. Zmienił on znacznie formy sprawowania władzy prezydenckiej i wprowadził pewne reformy — np. obniżył wiek głosowania z 21 na 18 lat. W polityce zagranicznej realizuje linię swych wielkich poprzedników — de Gaulle'a i Pompidou: zachowania dużej samodzielności wobec zachodnich sojuszników Francji i dużej aktywności na polu zapewnienia trwałego pokoju i zbliżenia narodów. Wkład Francji w rozwijanie procesu odprężenia i uczynienia go nieodwracalnym zjednuje jej sympatię i poparcie. Stąd też wynika **specjalny charakter stosunków polsko-francuskich.** Oceniając je min. Sauvagnargues powiedział w czasie swej wizyty w Warszawie, że już teraz **„realizujemy w dwóch to, co ma być rezultatem rokowań wielostronnych 35 państw".** (Chodzi o Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie).

Z tych wszystkich powodów, nie mówiąc już o tradycjach przyjaźni polsko-francuskiej, wizyta Giscard d'Estaing jest wydarzeniem znaczącym w rozwoju naszych stosunków Dla świata jest ona potwierdzeniem, jak **głęboko zapuściła korzenie wola przebudowy stosunków międzynarodowych** i jak blisko mogą współpracować ze sobą państwa o odmiennych ustrojach.

Podkreślmy jeszcze jedno: wizyta Giscarda d'Estaing w Polsce jest **pierwszą próbą jego wizyty w kraju socjalistycznym** — i po grudniowych rozmowach Leonida Breżniewa w Paryżu — kolejnym bezpośrednim kontaktem z przywódcą kraju socjalistycznego.

Wydarzeniem ub. tygodnia było **przemówienie sekretarza generalnego KC KPZR — Leonida Breżniewa** na spotkaniu z wyborcami radzieckimi. Wiele miejsca w nim zajęła ocena aktualnej sytuacji międzynarodowej i na tym tle — możliwości dalszych kroków na drodze pokoju i bezpieczeństwa. Mówca **wysunął propozycję wprowadzenia zakazu produkcji nowych broni masowej zagłady.** Dotychczas temat ten nie był podjęty w żadnym z międzynarodowych porozumień.

Radziecka inicjatywa odbiła się natychmiast wielkim echem w stolicach świata. Wielu komentatorów podkreśla, że Związek Radziecki wciąż zmierza do uzupełnienia odprężenia politycznego militarnym i wyeliminowania największych niebezpieczeństw dla światowego pokoju.

Przegląd aktualności międzynarodowych kończymy odnotowaniem następujących wydarzeń:

— Sekretarz generalny ONZ **Kurt Waldheim ogłosił raport, oceniający sytuację na Cyprze.** Jest ona napięta, potencjalnie wybuchowa i niestabilna. Nie osiągnięto między dwiema społecznościami cypryjskimi zadowalającego postępu w rozmowach. Wciąż mają też miejsce wypadki naruszenia porozumienia o zawieszeniu ognia, a siły pokojowe ONZ nie korzystają z pełnej swobody poruszania się.

— **W Waszyngtonie przebywał premier rządu izraelskiego, — Rabin** który m. in. rozmawiał z prez. Fordem. Tematem rozmów była oczywiście sytuacja bliskowschodnia. Rzecznik Bałego Domu stwierdził, iż Stany Zjednoczone pragną doprowadzić w jak najkrótszym czasie do wznowienia pokojowych negocjacji.

— **Premier W. Brytanii Wilson** natychmiast po referendum, które jak pisaliśmy, przyniosło przegraną przeciwników udziału tego kraju w EWG, **przeorganizował rząd.** Najaktywniejsi z ministrów w kampanii przeciwko udziałowi, a w tej liczbie minister przemysłu, oddali swe resorty.

— Konferencja Krajów Eksportetów Ropy Naftowej **ustaliła od 1 października korektę cen ropy.** Uzasadniono ją postępującą inflacją w krajach zachodnich.

W. SŁAWSKI

„GŁOS ROBOTNICZY"

Dalszy ciąg ze str. 10

pracę w „GR" w 1948 roku jako archiwista. Był wtedy uczniem liceum. Tuż przed maturą z rekomendacji ZMP skierowano go do pracy w „Expressie Ilustrowanym". I tak został dziennikarzem. W 1951 roku skierowano go na studia specjalistyczne do Ośrodka Szkolenia Dziennikarzy SDP w Warszawie. W rok później podjął pracę w „Gazecie Zielonogórskiej". Był tam depeszowcem, sekretarzem redakcji, redaktorem wydania niedzielnego i samodzielnym publicystą, a raczej felietonistą, gdyż pisał wtedy cotygodniowy felieton. W czasie pracy w Zielonej Górze otrzymał nagrodę dziennikarską im. J. Bruna.

W 1958 roku powrócił do Łodzi, ale nie do „GR", gdzie zaczynał swoją karierę, ale do „Dziennika Łódzkiego". Pracował w tej gazecie tylko 10 miesięcy i powrócił do „GR". Najpierw był publicystą „Głosu Robotniczego", później został kierownikiem działu partyjno-ekonomicznego i wreszcie zastępcą redaktora naczelnego. Tę funkcję pełni do dziś.

Przez długie lata „Głos Robotniczy" był gazetą podwójną, ukazującą się pod tym samym tytułem. Wydanie „A", docierające tylko do Łodzi różniło się znacznie od wydania „AB" i licznych jego mutacji, docierających na teren byłego województwa łódzkiego. Właśnie tą „drugą gazetą" kierował przez długie lata Edmund Tuiko, inspirując pracę działów podstawowych, obsługujących oba wydania, jak i tylko tych, które interesowały się przede wszystkim sprawami byłego województwa, a które obecnie będą interesowały się sprawami wielu województw.

WŁADYSŁAW UDALSKI

Zaczynał od poezji, o czym dziś mało kto pamięta, i w latach pięćdziesiątych publikował w krajowej prasie proste i autentyczne wiersze ożywione pasją tamtych czasów. Studiował filologię polską, co mu nie przeszkadzało zagłębić się w język i literaturę francuską. W związku z tym odbył szereg podróży dziennikarskich do Francji, skąd przywoził oszczędne, ale pełne wrażliwości i znajomości rzeczy reportaże.

Władysław Udalski — jeden z dłużej pracujących w „Głosie" dziennikarzy — od lat pasjonuje się tematyką rolną. Od wielu lat kieruje działem rolnym gazety; choć sam się do tego nie przyzna — wychował paru dobrych dziennikarzy, a publikacje działu rolnego zyskały sobie uznanie określonego kręgu Czytelników. Udalski zna wieś doskonale, problemy rolnictwa nie są dla niego egzotyką, stąd pewno uznanie i autorytet dla problematyki i sposobu jej podejmowania przez dział rolny „Głosu Robotniczego".

Władysław Udalski prezentuje styl pracy znany w historii dziennikarstwa choć sam pisze mało — jego rola inspiratora i styl organizowania materiałów przywodzą na myśl najlepsze wzory żurnalistyki. Dlatego też cieszy się dużym autorytetem wśród kolegów i współpracowników — aktualnie pełni w „Głosie Robotniczym" funkcję pierwszego sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR.

WATERGATE (II)

Początkowo wydawało się, że sprawa włamania do kwatery głównej komitetu wyborczego demokratów „umrze niebawem śmiercią naturalną". W połowie września 1972 roku prokurator wniósł wprawdzie akt oskarżenia przeciwko pięciu włamywaczom oraz Huntowi i Liddy'emu, ale postępowanie przeciw nim zostało odroczone do stycznia 1973 roku. W kołach oficjalnych starano się zlekceważyć cały incydent, jako trzeciorzędną aferę kryminalną, która nie powinna rzucać ani odrobiny cienia na przebieg prezydenckiej kampanii wyborczej. Wszystko zatem wskazywało, iż afera pójdzie rychło w zupełne zapomnienie, tym bardziej, że partia demokratyczna nie zamierzała wyciągać z niej żadnej bezpośredniej korzyści.

Ale był to tylko pozorny spokój. Od dnia, w którym pojawiły się pierwsze wiadomości o aferze, na polecenie sztabu redakcyjnego **„Washington Post"** dwaj dziennikarze: **Carl Bernstein** i **Bob Woodward** zaczęli odwijać nitkę, która miała ich niebawem zaprowadzić do kłębka — źródła afery. Uzyskane przez nich informacje wskazywały na udział w aferze wielu osób ściśle powiązanych z komitetem wyborczym republikanów oraz z Białym Domem.

W świetle dochodzeń prowadzonych później przez Kongres, Sąd Najwyższy i specjalnego prokuratora do sprawy Watergate, okazało się, iż cały przebieg kampanii wyborczej 1972 r. był jednym wielkim pasmem intryg. Celem ich zaś byli potencjalni kontrkandydaci prezydenta Nixona. Najpopularniejszym z nich był przez długi czas senator Muskie. Jego szanse w nadchodzących wyborach stale rosły, zdobywał pierwsze miejsca w ankietach popularności przeprowadzanych przez instytuty badania opinii publicznej Gallupa czy Harrisa. I właśnie wówczas fala jego popularności zaczęła gwałtownie opadać.

Osoby wspierające finansowo kampanię wyborczą Muskiego zaczęły nagle otrzymywać listy bądź telefony, w których senator zawiadamiał, iż nie potrzebuje już dalszych dotacji pieniężnych. W prasie zaczęły się ukazywać listy senatora, w których niepochlebnie wyrażał się na przykład o grupach narodowościowych, zamieszkujących Stany Zjednoczone. Szczególnie głośna była sprawa tzw. listu o Canuckach", który to incydent w znacznej mierze przyczynił się do utrącenia kandydatury Muskiego w kampanii prezydenckiej 1972 roku. Oto bowiem pewien prawicowy dziennik w stanie New Hampshire opublikował rzekomy list senatora, w którym miał on się posłużyć obelżywym określeniem „Canucks" w stosunku do licznych w tym stanie obywateli pochodzenia francusko-kanadyjskiego. Wyprowadzony z równowagi tymi oszczerstwami, Muskie załamał się i rozpłakał publicznie, co uznano za zachowanie się niedopuszczalne dla kandydata prezydenckiego.

Zarówno wspomniane wyżej listy i telefony, jak i ów list były sfałszowane. Autorem zaś tego ostatniego był, jak ustaliła jedna z dziennikarek **„Washington Post"**, **Clawson**, zastępca szefa łączności w Białym Domu, były dziennikarz. Woodward ustalił z kolei, iż co najmniej pięćdziesiąt osób zatrudnionych było przez Biały Dom i komitet wyborczy w celach uprawiania różnych tricków, szpiegostwa i sabotażu. Jednakże zasięg ich działalności przy instalowaniu podsłuchów, śledzeniu, fałszywych przeciekach prasowych, fałszowaniu listów, odwoływaniu wieców wyborczych przeciwników, kradzieży dokumentów i przemówień kontr-

kandydatów, przy wysyłaniu szpiegów do obozu przeciwnika i posługiwaniu się prowokatorami do organizowania demonstracji politycznych — świadczył o tym, iż musiało być ich znacznie więcej niż pięćdziesięciu.

Zdarzało się, a miało to również miejsce w przypadku Muskiego, iż podrzucano sfałszowany plan podróży w kampanii wyborczej, wskutek czego tam, gdzie miał przybyć, oczekiwano go daremnie, podczas gdy on sam zastawał puste sale zupełnie gdzie indziej. W prasie ukazywały się podobizny listów Muskiego, w których oskarżał on swojego konkurenta z partii demokratycznej, Huberta Humphreya, o uczestniczenie w orgiach seksualnych. To również było dziełem fałszerzy. Kiedy **George McGovern** wygrał konwencję swej partii, on z kolei znalazł się w centrum „uwagi" ludzi Nixona. Przysyłano mu na wiece grupy młodych ludzi, których zadaniem było szerzenie zamętu, przeszkadzanie w przemówieniach przywódców partii demokratycznej. Niektórzy z nich, niosąc transparenty z napisami: **„HOMOSEKSUALNY FRONT WYZWOLENIA"**, wznosili okrzyki: „To jest nasz człowiek. Wszyscy homoseksualiści głosują na McGoverna". Ponieważ takie metody były dobre jedynie przez krótki okres czasu, starano się o organizowanie afer, w których zaangażowanych byłoby wielu czołowych przedstawicieli partii demokratycznej. Jedną z głośniejszych była afera z senatorem Eagletonem.

Senator Thomas Eagleton był kandydatem na urząd wiceprezydenta. Oskarżono go więc o to, iż po pijanemu prowadził samochód oraz, że leczył się u psychiatry. Zmusiło to następnie McGoverna do wycofania nominacji Eagletona na kandydata wiceprezydenckiego. Miał zamiar zaproponować na jego miejsce Sargenta Shrivera, szwagra obu zamordowanych braci Kennedy, ale ten był już wówczas „człowiekiem skończonym". Sztab Nixona działał sprawnie i skutecznie. Jeden z funkcjonariuszy, mający dostęp zarówno do komitetu na rzecz reelekcji, jak i do Białego Domu, powiedział Woodwardowi i Bernsteinowi, iż zarówno w sprawę włamania do Watergate i jak i w inne nielegalne akcje byli wmieszani ludzie na wysokich stanowiskach. Jego zdaniem wśród nich byli na pewno Mitchell, Haldeman oraz Ehrlichmann (doradca Nixona do spraw wewnętrznych).

Wszystkie te nielegalne akcje były częścią jednego planu określonego kryptonimem „Pieprzenie szczurów" (!),

SZTAB DZIAŁAŁ SPRAWNIE

a który oznaczał używanie podstępów, zaś w ustach ludzi Nixona dotyczył infiltracji w szeregi partii demokratycznej. Jeśli chodzi o Mitchella, to, jak już wspomniano, w kilka dni po włamaniu do Watergate dowiedział się o wielu sprawach i wpadł w panikę. Zdał sobie sprawę, że jeśli wszystko zostanie ujawnione, doprowadzi to do ruiny administracji, a na pewno do ruiny jego osobistej kariery.

Tajnymi operacjami zajmowały się w Białym Domu i w komitecie wyborczym cztery grupy; jedna z nich prowadziła kampanię propagandową komitetu wyborczego, druga zbierała materiały wywiadowcze i planowała akcje sabotażowe na okres konwencji wyborczych obu partii. Z kolei trzecia grupa robiła to samo w okresie wyborów wstępnych i wreszcie czwarta grupa, kierowana przez Howarda Hunta, zajmowała się najbrudniejszymi operacjami. Nadzór nad tą grupą sprawował Colson (specjalny doradca prezydenta). Jedną z form działalności tej grupy było sterowanie przeciekami do prasy i dostarczanie jej sfabrykowanych informacji takich, jak wyżej wspomniane. Informacji tych dostarczano wszystkim czołowym gazetom i czołowym publicystom.

Stało się więc dla wszystkich jasne, iż włamanie do Watergate to tylko jedna z wielu akcji sponsorowanych przez Biały Dom. W prasie pojawiło się w związku z tym szereg artykułów, w których pisano o roli odegranej przez Clawsona oraz o szpiegowsko-sabotażowej działalności innego ze współpracowników komitetu wyborczego — Segrettiego, o masowej kampanii politycznego szpiegostwa wymierzonej przeciwko wszystkim głównym kandydatom prezydenckim partii demokratycznej i stanowiących podstawową strategię kampanii wyborczej Nixona. Chociaż wspomniane artykuły spotkały się ze stanowczym dementi ze strony rzecznika Białego Domu, Ziegiera, wywołały one jednak w kołach rządowych poważne zaniepokojenie dalszym rozwojem afery. Zaczęto usilnie zastanawiać się, jak zniszczyć kompromitujące dowody. Było ich przecież tak wiele, iż tylko niewielka ich część wystarczała do wytoczenia wszystkim odpowiedzialnym poważnych procesów. Jednym z takich kompromitujących dowodów była sprawa tajemniczego wypadku, jakiemu uległ w 1969 roku samochód prowadzony przez senatora Edwarda Kennedy'ego, najpoważniejszego z konkurentów Nixona w walce o fotel prezydencki. Sprawa ta, do dziś jeszcze nie wyjaśniona do końca, nabrała zupełnie nowego zabarwienia w świetle afery Watergate, z którą, jak się okaże, miała bardzo ścisły związek.

ANDRZEJ BLAJER

HIPOTEZY (XV)

ERICH von DÄNIKEN

„KABAŁA"

Rewelacje zawarte w Mahabharacie (patrz poprzedni odcinek), w dalszym ciągu pozostają nie rozwiązanymi zagadkami przeszłości, nawet w Indiach, gdzie wszystkie stare teksty poddaje się bardzo dokładnym, wprost pedantycznym badaniom naukowym.

Od czasu, gdy człowiek nauczył się myśleć i używać języka, zaczął tworzyć mity i legendy, które najpierw istniały przez tysiąclecia w przekazach ustnych, a potem dopiero zostały zapisane. Pozostaje zagadka, dlaczego niektóre z tych starych przekazów zamieniły się w religie lub przyczyniły się do powstania podstawowych zasad filozoficznych, rządzących zachowaniem się ludzi a inne zostały odrzucone i nie daje się zaobserwować ich wpływu. Wspólną cechą wszystkich starych przekazów jest to, że prawdziwości ich treści nie da się udowodnić, jak i to, że w przypadku przekazów podniesionych do rangi religii, wierzy się w ich treść. Kiedy staramy się obecnie interpretować stare teksty z nowych punktów widzenia, nie możemy naszych opinii podbudować żadnymi nowymi przekazami, lecz musimy polegać zarówno na przekazach religijnych jak i tych odrzuconych. Pomimo tego, jesteśmy w stanie znaleźć w nich dużo niezwykłych i niepokojących informacji. Oczywiście, nie robimy tego w celu kwestionowania powszechnie przyjętych dogmatów religijnych, ani też w celu przedstawienia mitycznych opowieści jako rzeczywistych faktów.

W bibliotece paryskiej Sorbony utonąłem w czytaniu pełnej, siedmiotomowej edycji „Kabały". Zanim opiszę owoce mej lektury, pragnę stwierdzić, że „Kabała" jest z pewnością najogólniejszą i najbardziej zagadkową doktryną tajemną na świecie. Przypuszcza się, że zaczęto ją spisywać około 1200 roku naszej ery. Twierdzi się także, że powstała ona jako reakcja na realizm i materializm „Talmudu".

„Kabała" tłumaczy tajemnicze stwierdzenia „Starego Testamentu" i komentuje dla kręgu wtajemniczonych zakodowane w starych prawach żydowskich informacje. Kabaliści uważają, że księga została napisana na rozkaz Boga. Zawiera ona tajemne znaki ,symbole i formuły matematyczne oraz łączy wszystkie dane okultystyczne z mistyczną mocą różnych bóstw. Uważa się, że ci, którzy należą do wąskiego grona wtajemniczonych i znają wszystkie tajemnice „Kabały" posiadają moc czynienia cudów.

Podobnie jak w wypadku innych starych tekstów, które mam zwyczaj uważać za opisy rzeczywistych wydarzeń, myślę, że „Kabała" jest również opisem faktów, które miały kiedyś miejsce. Podejście to jest jedynym sposobem, przy pomocy którego można przedrzeć się przez okultystyczną zasłonę „Kabały" i znaleźć rzeczywisty ślad, który poprowadzi nas od naszej Ziemi do „bogów".

Szczegółowo i w wielu miejscach opisanych jest w „Kabale" „Siedem innych kwiatów". Oto kilka wyjątków, w których starałem się przekazać ich ogólny sens.

„Mieszkańcy świata Geh sieją i sadzą drzewa, jedzą wszystko, co pochodzi z drzew, ale nie znają pszenicy, ani innego zboża. Ich świat jest mroczny i żyje w nim wiele dużych zwierząt.

Mieszkańcy świata Nesziah jedzą krzewy i rośliny, których nie muszą siać. Są oni niewielkiego wzrostu i zamiast nosa mają dwa otwory w głowie, którymi oddychają. Są bardzo roztargnieni i często nie pamiętają dlaczego rozpoczęli jakąś pracę. W ich świecie widać czerwone słońce.

Mieszkańcom świata Tziah nie wolno jeść tego, co jedzą inne istoty. Poszukują oni stale podziemnych rzek. Mają bardzo jasne twarze. W ich świecie jest mnóstwo rzeczy drogocennych i dużo pięknych budowli. Ziemia jest sucha i widać dwa słońca.

Mieszkańcy świata Thebel jedzą wszystko z wody. Stoją oni dużo wyżej niż inne istoty, a ich świat jest podzielony na strefy, których mieszkańcy różnią się wyglądem twarzy i kolorem skóry. Wskrzeszają oni swoich zmarłych. Świat ten jest oddalony od słońca.

Mieszkańcy świata Erez są potomkami Adama.

Mieszkańcy Adamah również są potomkami Adama, ponieważ nie podobał mu się ponury świat Erez. Uprawiają oni ziemię i żywią się roślinami, zwierzętami i chlebem. Są przeważnie smutni i często prowadzą wojny. W pewne dni widoczne są w tym świecie zgrupowania gwiazdozbiorów. W przeszłości, mieszkańców tego świata często odwiedzali mieszkańcy świata Themel, lecz na Adamah przybysze cierpieli na zanik pamięci i zapominali skąd przybyli.

Mieszkańcy świata Arqa sieją i zbierają plony. Ich twarze są inne niż nasze. Odwiedzają oni wszystkie światy i mówią wszystkimi językami'.'

I znowu nasuwa się znane nam pytanie, skąd wiedzieli autorzy „Kabały", że istoty żyjące w siedmiu innych światach wyglądają inaczej niż mieszkańcy Ziemi? Skąd wiedzieli, że jadają inne pożywienie i że świecą im inne słońca.

Warto również wspomnieć o stwierdzeniu znajdującym się w „Kabale", które mówi, że początkowo, w czasie stosunku płciowego ludzie nie widzieli swoich twarzy i że zapłodnienie odbywało się w ciele pojedyńczego osobnika. Nowocześni kabaliści twierdzą, że przed Adamem Bóg stworzył inną istotę, która była tylko mężczyzną (co jednakże nie stało jej na przeszkodzie w rodzeniu dzieci), i która później spółkowała z wężem.

Zasadnicza część „Kabały" — księga Zohar, napisana jest po aramejsku i tłumaczy ona Pięcioksiąg z punktu widzenia kabalistycznego pojęcia Boga. Uważa się, że księga „Zohar" jest dziełem rabina Simona bar Yochai (130—170 rok naszej ery), lecz została prawopodobnie spisana w Hiszpanii dopiero pod koniec trzynastego wieku a wydrukowana w roku 1558.

Księga „Zohar" przytacza — to jest zdumiewające — rozmowę mieszkańca Ziemi z rozbitkiem ze świata Arqa. Dowiadujemy się z dialogu, że po wielkim pożarze na Ziemi, grupa ocalałych z katastrofy ludzi pod przewodnictwem rabina Yosse spotkała dziwnego człowieka „z inną twarzą", który nagle wynurzył się z rozpadliny skalnej. Rabin Yosse podszedł do nieznajomego i zapytał go skąd pochodzi. Przybysz odrzekł:

— Jestem mieszkańcem Arqa.

Rabin zdziwił się.

— To znaczy, że na Arqa są żywe istoty?

— Tak — odrzekł nieznajomy. — Kiedy zobaczyłem, że nadchodzicie, wyszedłem, aby się od was dowiedzieć nazwy świata, na który przybyłem.

Następnie nieznajomy opowiedział, że w jego świecie pory roku są inne niż na Ziemi, że u nich sieje się i zbiera plony w odstępie kilku lat, że gwiazdozbiory wyglądają inaczej niż na Ziemi...

Prawie 1800 lat ustnej tradycji stoi za tą relacją, która została zapisana dopiero 700 lat temu, a wydrukowana po raz pierwszy tylko 400 lat temu. Zastanawiam się jednak ciągle nad tym, jakie to dawne informacje kryją się za tymi słowami.

Naturalnie, że nieznajomy, który odwiedził Ziemię, oglądał gwiazdozbiory z innego miejsca niż to, do którego był przyzwyczajony na swej rodzimej planecie. Również pory roku mogły różnić się od ziemskich.

Wynika z tego jednak fakt, że stwierdzenia te są zbyt realistyczne, aby można było je odrzucić jako czczą fantazję.

Opracował: B. KRAKOWIAN

MUZYKA

„MIKADO"

Przed kilku miesiącami (12. IV. 75) opublikowano w „Odgłosach" wywiad z kierownikiem artystycznym Teatru Muzycznego Czesławem Jarosiewiczem. Jednym z głównych wątków rozmowy były trudności repertuarowe teatru. Nie może on bazować na operetce klasycznej, z której ocalało „8 lub w najlepszym wypadku 15 utworów". Niezbędne jest tworzenie nowego repertuaru. Obecny okres jest etapem poszukiwań. Spośród utworów „formułujących kształt nowego teatru muzycznego" wymieniono w pierwszym rzędzie trzy pozycje Jana Tomaszewskiego m.in. „Noc nad Gopłem" do libretta Jacka Kasprowego i Stanisława Dejczara. Wprawdzie nie zachwycam się twórczością Jana Tomaszewskiego, podzielam jednak pogląd, że należy popierać i rozwijać tworzenie rozrywkowych widowisk muzyczno-teatralnych. Nie mogę natomiast zgodzić się z opinią, że repertuar operetki klasycznej jest tak ubogi; wystarczy tylko rozejrzeć się po bogatym dorobku 150-letniej historii operetki, by znaleźć wiele utworów ciekawych, wystarczy je nieco odkurzyć, podretuszować i wystawić w sposób nowoczesny, by zajaśniały znowu pełnym blaskiem.

Że na tej drodze można osiągnąć prawdziwe sukcesy artystyczne, nie gubiąc niczego z rozrywkowych walorów, przekonała nas premiera operetki „Mikado" Artura Sullivana w Teatrze Muzycznym, zrealizowana wespół z Wydziałem Wokalno-Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Tak się złożyło, że odbyła się ona w tym samym tygodniu, w którym ukazał się omawiany wywiad z dyr. Jarosiewiczem. Był on zresztą jednym z inspiratorów tego przedsięwzięcia. Chciałbym tu jednak przypomnieć, że „Mikado" jest jedną z dwudziestu operetek Sullivana, z których co najmniej kilka — jeśli wierzyć Bernardowi Grunowi („Dzieje operetki", PWM 1974) — posiada dużą wartość artystyczną i weszło do repertuaru wielu scen operetkowych.

Warto poświęcić kilka słów tej premierze, która jest wynikiem pięknie owocującej współpracy PWSM i dyrekcji Teatru Muzycznego, wykazującej wiele zrozumienia dla potrzeb szkoły i problemu kształcenia nowej kadry.

Głównym walorem tego przedstawienia jest styl i poziom wykonawczy, który uznać można za wzorowy. Spektakl jest zrealizowany niezwykle precyzyjnie, klarownie i czysto pod względem muzycznym i aktorskim, a cechą szczególną inscenizacji tej sztuki jest jedność reżyserii i ruchu scenicznego — wspólne dzieło Barbary Jaklicz i Włodzimierza Traczewskiego. Obydwa te elementy harmonijnie współgrają z udaną scenografią Barbary Michiewicz-Szrajber, która swą uwagę zwróciła na projekty wyjątkowo pięknych kostiumów, tylko szkicowo traktując dekoracje o minimalnej ilości rekwizytów. Dzięki temu uzyskano dużo miejsca dla działań scenicznych. Są one prowadzone bardzo logicznie, dialogi są żywe i podane z doskonałą dykcją (dobry, ale nieco przestarzały przekład Marii Stromengerowej uwspółcześniła B. Jalicz), całość zaś przepojona jest pomysłowo opracowanym ruchem scenicznym. Włodzimierz Traczewski zrezygnował z wprowadzenia odrębnych wstawek baletowych. Tańczą na scenie wszyscy. Pantomima, ruch sceniczny i taniec ma w tym spektaklu uzasadniony sens dramatyczny, stając się organiczną częścią inscenizacji. Walorem dodatkowym tego spektaklu jest emanujący ze sceny urok i wdzięk młodości.

Libretto „Mikada" jest wprawdzie banalne, ale bardzo zabawne i nie pozbawione satyrycznych akcentów, za to muzykę Sullivana charakteryzuje płynna, niewymuszana inwencja melodyczna, poczucie formy i dobre rzemiosło kompozytorskie. Nie ma w niej wprawdzie olśniewających arii, są jednak liczne udane partie solowe i chóralne, wdzięczne ensamble i świetne sceny zespołowe.

Sukces „Mikada" jest przede wszystkim wynikiem pracy zespołowej, zarówno solistów jak i chóru i orkiestry Teatru Muzycznego. Do wykonania dziewięciu ról solowych przygotowano aż 25 studentów. Wszystkie obsady reprezentują dziś wyrównany poziom, choć są oczywiście między wykonawcami pewne indywidualne różnice, wynikające z pewnych osobowych predyspozycji jak i stopnia nabytych umiejętności. W tzw. premierze prasowej występowali: Wiesław Łągiewka (Mikado), Piotr Bednarski (Ko-Ko), Elżbieta Ptak—Araszkiewicz (Yum-Yum), Jerzy Wolniak (Nanki-Poo), Antoni Kłopocki (Poop-Bo), Michał Kuleczka (Pisz-tusz), Krystyna Rorbach (Katischa), Ewa Radzikowska (Pepp-Bo) i Hanna Matyskiewicz (Pitti-Sing). Przygotowaniami muzycznymi i całym spektaklem kierował bardzo sprawnie Mieczysław Wojciechowski. Kierownictwo chóru spoczywało w rękach Romana Paniuty, zeszłorocznego absolwenta Wydziału Wychowania Muzycznego PWSM w Łodzi. Wysoki poziom produkcji chóralnych w „Mikadzie", daje pośrednie świadectwo o wynikach pracy także i tego wydziału Uczelni.

„Mikado" zapewne nie zamieściłby się w żelaznym repertuarze owych 8 czy 15 klasycznych operetek, ale w takiej postaci, w jakiej został wystawiony w Teatrze Muzycznym podobać się może każdemu.

ZYGMUNT GAZELLA

TEATR STUDENCKI

NIE TEN „PSTRĄG"

Bohaterami tego niespełna godzinnego widowiska są młodzi ludzie, maturzyści i studenci, którzy marzą o szkole teatralnej, „nie maszerują w pochodzie pierwszomajowym, bo nie lubią szablonowych demonstracji", gardzą „nadgorliwcami i pracusiami". Znerwicowani kolekcjonerzy podpisów w indeksach.

Ale kiedy zostają sami, odchorowują brak twarzy i natrętnie żądają, byśmy im współczuli. Wsłuchują się w siebie wówczas, lecz pod presją i przymusem świateł wypuszczanych z cudzych latarek. Na tle ścian, na których zostawili swoje twarze, na tle własnych fotografii, wykonanych na szarym papierze. Nie usiłują ich zdjąć, przywrócić sobie. Co gorsze gładzą je, nieomal ze czcią i zachwytem.

Wrzaskiem, tupotem nóg, światłem latarki, zbolałym głosem wywołują z siebie rozczarowane życiem konstatacje, projekcje idealnych tęsknot. Z miejsc, w których powinny znaleźć się ich czoła i oczy dobywają się odgłosy histeryczne i mętne, często w byle jakiej formułowane polszczyźnie, które my — widzowie — i ich rówieśnicy, mamy przyjąć jako swoje. Ale co mamy przyjąć jako swoje — brak poczucia sensu, niejasność kierunków, „absolutnie nic" w myślach i czynach?

Spowiadają się nam, bo sądzą, że tu, w teatrze, w i c h teatrze mogą sobie na to pozwolić, że mają prawo. Tu w e ś nie, wśród takich jak oni sami. Podejrzana to wspólnota. Jeśli mówią „my". Kto — „my"? „My" — kolega reżyser, kolega aktor, jeden, drugi kolega wokalista z taśmy odtwarzany? Więc „my" — pokolenie może? „My" — dwudziestoletni?

Nie wierzą w słowo. Od słowa w złym teatrze amatorskim ucieka się w „wieloznaczność" scenicznego ruchu, nieokreśloność „plastycznego gestu". Wierzą we własne, młode ciała. To jedyna domena, która daje im smak intensywnego, autentycznego przeżycia, odczuwania. „Dzięki niemu — powiada jedna z dziewczyn — poznałam swoje ciało".

Jaźni, samoświadomości — przeciwstawiają instynkt. Pragnieniu odrębności — zewnątrzsterowność, racje wygodnego miejsca w tłumie. Nawet płacz i wycie jest tu zbiorowe. Płacz i wycie — jako znak rozpoznawczy pokolenia?

Otacza ich świat ciemnych, pstrych koszulek. To jedyna ważna dekoracja na scenie. Tymi koszulkami właśnie oddzielają się. Ta zewnętrzna pstrokatość jest kolorem ochronnym, to uniform młodzieżowca? Wszystkie koszulki mają krótkie rękawy i wszystkim brak kołnierzyka. Widać wyraźnie, gdzie się kończy c i a ł o, a zaczyna g ł o w a. I mózg.

Zakładają nieprzenikalność, obcość świata. Interesujący rekwizyt: materace „bufory" i „gruboskórność", materace „ochronne", którymi opasani, bezsilnie tłuką sobą o ściany. „W szamotaniu nakazów i skrępowań" — „niemożność dogadania się". Męka samotności wśród ludzi. Wszelkie próby zbliżenia się do drugiego człowieka muszą być nieudane. Aktorzy podchodzą do widzów, stają nad ich głowami, nagle uciekają w popłochu. Stają pod ścianami, jakby już gotowi do „rozstrzelania". Mówią o sobie: „jeszcześmy się nie urodzili". Brak tożsamości. Te fotografie, twarze odwieszone — na ścianie, w dowodach osobistych, a ciała p o d ścianą. W szeregu. Na początku i końcu widowiska — w szeregu.

„O sobie graj, o sobie śpiewaj, sobą omdlewaj" — apelują. Mają pragnienie autentyczności i bycia sobą, do czego droga przez oczyszczenie — symboliczne gesty „ścierania" niewidzialnego „brudu" z rąk.

Ten teatr nie przynosi filozofii, nie pomaga, nie radzi. Odsłania lęki i kompleksy. Rozjątrza tylko. Młodzi ludzie na widowni słuchają uważnie. Klaszczą niechętnie. Nie aprobują tego świata, nie przyznają się do tego, co tu nagle w negliżu, płytkie i histeryczne? Nie identyfikują się? Jakiż to więc teatr — głos pokolenia, teatr „nasz", „młody", „studencki"?

Młodzi ludzie na scenie grają tak, jak by jedynym ich celem było wreszcie „wypocić się" po godzinach przesiedzianych za biurkiem, „zapomnieć się w krzyku", bo takim środkiem ten świat — belkotliwy i chaotyczny — ze sceny najczęściej wyrażają. Część tekstów piosenek zaś nie dociera. Ze względu na poziom nagrania, odtwarzania, dykcję wokalisty. Wśród dekoracji i takie, których nie dało się upchnąć w poprzednich przedstawieniach; widz się głowi i gubi w dociekaniach: co może znaczyć w inscenizacji ten, wreszcie „upłynniony" tu, fragment jakiejś innej wizji, innej całości, innego pomysłu? Część tekstów aktorzy improwizują, to najsłabsze, banalne myśli. Odwołują się do potocznego języka, przy czym widz nie jest poinformowany, że źródłem tej słabości jest fakt, iż aktor wygłasza właśnie kwestię „z kapelusza". Widz jest w ogóle zresztą niedoinformowany (brak programu). Tymczasem minęło dwadzieścia lat, i w teatrze, który swym stażem może dorównać wielu teatrom zawodowym, taki brak troski o „czystość i nienaruszalność przekazu" nie powinien już chyba, jak mi się wydaje, mieć miejsca.

TOMASZ SOLDENHOFF

„Jaźnia parowa". ST. „Pstrąg", reż. A. Bańkowski, K. Kopa—Rutkowski, muz. B. Dowlasz, A. Bańkowski, J. Wesołek, konsult. plast. T. Bańkowski, teksty: m.in. J. Cortazar, Z. Krasiński, C. K. Norwid i własne.

KSIĄŻKA

OPOWIADANIA BIAŁORUSKIE

Bezpośrednie sąsiedztwo, a także wspólne doświadczenia historyczne Polaków i Białorusinów znalazły swój wyraz także w literaturze obu narodów, gdzie nietrudno wskazać wzajemne wpływy, inspiracje, a nawet pewne urzeczenia. Mimo to znajomość literatury białoruskiej w naszym kraju była przez długie lata niewystarczająca i trochę fragmentaryczna, a najwybitniejsze utwory naszych sąsiadów czekały dopiero na spolszczenie. Trzeba stwierdzić, że dzięki inicjatywie edytorskiej Wydawnictwa Łódzkiego w ostatnich sezonach sytuacja zmieniła się na korzyść. Momentem niejako przełomowym i znamiennym było ukazanie się „Wierszy białoruskich", pionierskiej antologii poezji narodu, który zrodził tak interesujące zajwiska literackie, jak twórczość Janki Kupały, Jakuba Kołasa czy Maksima Tanka.

Z tą książką, symbolizującą przełom, zrosło się na trwałe nazwisko Jana Huszczy, inicjatora i redaktora edycji, a także tłumacza znacznej części zamieszczonych w niej utworów. W momencie przystępowania do pracy nad „Wierszami białoruskim", Huszcza miał już poważne doświadczenie translatorskie w zakresie przekładów poezji rosyjskiej, ale zadanie, które miał teraz wykonać, było przecież pionierskie. Wywiązał się z niego nad podziw, co zgodnie stwierdziła krytyka w Polsce i na Białorusi, gdzie znajomość języka polskiego jest dosyć częsta. W osobie Huszczy, literatura białoruska zyskała sobie nie tylko doskonałego tłumacza; zyskała sobie zarazem energicznego ambasadora białoruskiej kultury, propagatora jej osiągnięć. Jednorazowa przygoda translatorska przerodziła się w pogłębione, trwałe zainteresowanie.

Potwierdzeniem tego jest opublikowany ostatnio nakładem wydawnictwa Łódzkiego, obszerny tom pt. „Moje niedźwiedzie i inne opowiadania białoruskie" w wyborze i przekładach Jana Huszczy. Gdyby nie poczynione przez autora we wstępie do książki zastrzeżenie, nazwałbym ją antologią współczesnej białoruskiej prozy, przynosi bowiem bogaty, panoramiczny obraz jej zainteresowań i dokonań, a zarazem reprezentatywny przegląd nazwisk od urodzonego w roku 1882 i nieżyjącego już Jakuba Kołasa, po Alesia Żuka, rocznik 1947. Ale szanując wolę tłumacza, zgódźmy się, że jego książka jest zaledwie próbą poszerzenia listy znanych już polskiemu czytelnikowi autorów białoruskich o kilkanaście nowych nazwisk (tom zawiera utwory dwudziestu prozaików, niektórzy z nich wszakże, jak choćby Janka Bryl czy Wasil Bykaw, znani są już w naszym kraju z licznych przekładów).

Zresztą układanie antologii nie jest zadaniem najwdzięczniejszym dla pisarza, rezygnować bowiem wówczas musi ze swych osobistych upodobań i sympatii, na rzecz pseudoobiektywizmu i ustalonych z góry hierarchii. Antologie są najczęściej martwymi książkami, bardziej rejestrem ustaleń historyczno-literackich niż lekturą do czytania, która potrafi poruszyć umysły i serca. Na szczęście Huszcza, rezygnując z autonomiczności poszczególnych zjawisk literackich, oparł architekturę swego tomu przekładów na innych założeniach. Stara się, aby książka funkcjonowała jako całość powiązana raczej tkanką spraw charakterystycznych dla doli białoruskiego narodu niż ustaleniami krytyków i historyków. I jeśli literatura potrafi być zwierciadłem życia, w którym odbijają się splątania, niepokoje, troski i nadzieje epoki, to „Moje niedźwiedzie" mogą pretendować do takiego miana, tym bardziej, że Huszcza świadomie rezygnuje również z tego, co nazywa się czystością gatunkową. Obok klasycznych utworów nowelistycznych, włączył przecież do swego tomu zapiski autobiograficzne, prozę poetycką, reportaż literacki, a nawet cykle luźnych migawek i miniatur, uważając nie bez słuszności, że wyrażą one pełniej poszukiwania współczesnej prozy białoruskiej, że lepiej oddadzą bogactwo podejmowanych przez nią spraw i problemów. Innymi słowy, Huszcza rezygnując z kryteriów formalnych (czy raczej obchodząc je) całą swoją uwagę skierował na treści, przybliżając w ten sposób obraz sąsiadującego i powiązanego z nami rozmaitymi więzami narodu białoruskiego.

Jeden z utworów, pióra Uładimira Karatkiewicza, wzruszył mnie szczególnie. Klasyczna w swej konstrukcji, turgieniewowska niemal nowela „Prom na wzburzonej rzece" przedstawia bowiem dramatyczny epizod z czasów Powstania Styczniowego i poświadcza wspólnotę doświadczeń historycznych Polaków i Białorusinów. A jest ta nowela o tyle jeszcze ciekawa, że autor do romantycznej postawy swego bohatera, przykłada głęboko humanistyczne miary. Takim samym humanizmem przepojone jest opowiadanie tytułowe „Moje niedźwiedzie", tego samego autora i jestem wdzięczny Huszczy, że poszerzył moją znajomość prozy białoruskiej o nazwisko Karatkiewicza, z którym zetknąłem się po raz pierwszy. Takich przyjemnych niespodzianek jest zresztą w tej książce więcej, spotykamy tam bowiem zaskakujące miniatury epickie w rodzaju „Mięt przed oknem" Aleksieja Kułakowskiego, czy subtelny portret psychologiczny, jak w noweli Janki Skryhana „Kuglarz Hijuma". Nie sposób tu zresztą scharakteryzować książkę, która aż tyle nam proponuje i to w przekładach (tylko w dwóch przypadkach zetknąłem się, że świadomie zresztą wprowadzonymi przez Huszczę rutenizmami, które wydały mi się zbędne, jak ów „kipiątek", mający przecież swój pełny ekwiwalent znaczeniowy w polskim „wrzątku"). Kończąc więc dodajmy, że obok wstępu Huszczy przynosi ona także sporządzone przez niego z dużą starannością noty bio-bibliograficzne. Także edytor stanął na wysokości zadania. Książka otrzymała nadzwyczaj staranną i pomysłową szatę graficzną zaprojektowaną przez Andrzeja Kabałę, który na specjalnych wklejkach spożytkował wzory ludowych haftów białoruskich, unaoczniając nam w ten sposób także poszukiwania plastyczne naszych sąsiadów.

KONRAD FREJDLICH

Moje niedźwiedzie i inne opowiadania białoruskie". Wybrał, przełożył i wstępem opatrzył Jan Huszcza; Wydawnictwo Łódzkie 1974, str. 444. Cena zł 40.—

SPORT

„PIĘKNIE WYPROWADZIŁ CIOS"

XXI Mistrzostwa Europy w boksie mamy już za sobą, a dwaj nasi finaliści wpisali się na listę złotych medalistów. Skończyły się emocje i przyszedł czas na refleksje. Specjaliści chwalą za złoto, ale nie szczędzą nagan za wszelkie wady i braki naszego boksu. I słusznie. Po emocjach bokserskich eliminacji i finałów, po konfrontacji naszych bokserów i ich przygotowania z przygotowaniem rywali można spokojnie ocenić nasze braki i niedociągnięcia.

A były to emocje zaskakujące. Każdego następnego dnia, moi jakże łagodni i dobroduszni koledzy, którym ręka drży, gdy mają kogoś skrytykować lub zabić muchę, zasiadali do omawiania walk z poprzedniego dnia i budził się w nich kwiożerczy lew. Podobnie działo się z niektórymi sprawozdawcami, co to zachwycali się nad tym, jak to „pięknie cios wyprowadził", choć przeciwnikowi głowa latała jak piłeczka na gumce. Najbardziej podobały mi się rady telewizyjnych sprawozdawców, które dawali bokserom walczącym w ringu. Przede wszystkim oczywiście naszym, boć to byłoby niepatriotycznie „pomagać" innym, którzy okazali się nawet lepszymi bokserami.

Mnie najbardziej podobali się bokserzy pomagający sprawozdawcom komentować to, co działo się na ringu. Leszek Drogosz, Henryk Kukier, Józef Grudzień czy Zbigniew Pietrzykowski nie zastanawiali się nad pięknymi ciosami, mówili prosto i oszczędnie o tym co dzieje się przed telewizyjnymi kamerami, wyjaśniali przebieg walki. Czasem zdarzało się, że sędziowie byli innego zdania i choć wszystkim zdawało się, że wygrał „czerwony", to zwycięstwo przyznawali „niebieskiemu". Albo odwrotnie. W każdym razie inaczej niż się wszystkim zdawało.

Najbardziej podobał mi się jednak Janusz Gortat, który z całym poświęceniem wystawiał się na ciosy przeciwnika, wykazując tym wielki humanizm i dobroć serca. Dlatego nie bardzo rozumiem, skąd u telewizyjnych sprawozdawców tyle pretensji pod jego adresem. Przyznam się, że dla mnie Janusz Gortat jest bokserem godnym podziwu najwyższego. Jest to na pewno niezbyt męskie uczucie, ale żal mi czasem tych bitych bokserów. Wyobrażam sobie, jak to musi być nieprzyjemnie dostawać tak po buzi i po przeponie. A Janusz Gortat nic tylko wystawiał się do bicia, nie zważając nawet na liczne dyskusje o szkodliwości boksu.

W komentarzach po XXI Mistrzostwach Europy w boksie mówi się przede wszystkim o niedostatkach naszej drużyny. Po nokautach Andrzeja Biegalskiego byłoby niezręcznie przypominać, że najtęższe głowy medycyny i sportu mają na temat boksu inne zdanie. To tak, jakby się w domu powieszonego mówiło o sznurze. Nawet któryś z komentatorów patrząc na leżącego nieprzytomnie na ringu Hussinga, powiedział: „Ten już prędko nie powróci do siebie po tym ciosie..." — i po chwili, jakby usprawiedliwiając tę opinię, dodał — „...psychicznie". Myślę, że fizycznie cios Andrzeja Biegalskiego pozostawi Hussingowi „pamiątkę".

Ireneusz Malarecki w książce „Zarys fizjologii wysiłku i treningu sportowego" (Wyd. „Sport i Turystyka", Warszawa 1973) przytacza wyniki badań przyczyny śmierci na ringu 77 bokserów. Otóż 52 z nich zmarło na uraz mózgu, 13 — na uraz serca, a 6 na uraz brzucha. Ireneusz Malarecki pisze poza tym:

„Jeśli nawet nie dochodzi do tak dramatycznego skutku walki bokserskiej (do knock-out — przyp. B. M.), trzeba przyjąć, że każdy cios w żuchwę i inne okolice głowy wywołuje podprogowy wstrząs mózgu, tj. taki, który nie prowadzi do utraty przytomności i innych objawów nokautu".

Ale też i nie pozostaje bez śladu. Przypominam o tym jednak nie dlatego, aby przekornie psuć świąteczny nastrój. Czynią to skutecznie inni, wypominając świętującym ich braki i wady. Przypominam z zupełnie innego powodu.

Kilka miesięcy temu „Głos Pracy" pisał o rękawicach bokserskich dr Wiktora Nowaka. Przypomnę fragment tamtego artykułu:

„Walka w rękawicach z włosia może rzeczywiście powodować kontuzję, może powodować poważne urazy po otrzymaniu silnego ciosu. Rękawica z pianki uniemożliwia niemal zupełnie kontuzję ręki i zadawanie ciężkich ciosów. Zapewnia niemal całkowite bezpieczeństwo".

Bydgoski „Polsport" miał wyprodukować serię stu par takich rękawic, aby można było je przedstawić na kongresie EABA, jaki przy okazji mistrzostw odbył się w Katowicach. Prasa sportowa doniosła tylko, że kongres obradował w Kamieniu koło Rybnika i wybrano nowego prezesa, którym został Hans Hofmann. O rękawicach dr W. Nowaka jakoś cicho. A wydawało się, że gra warta świeczki.

Tak więc spełniwszy przyrzeczenie dane w poprzednim felietonie i napisawszy to, co mi nasunęło się w czasie pilnego śledzenia przebiegu bokserskich zmagań, będę mogła spokojnie powrócić do umiłowanej piłki nożnej, jako że tu dziać się będą rzeczy równie interesujące. ŁKS po klęsce w Dortmundzie z tamtejszą Borussią będzie walczył niewątpliwie o pozostanie w pierwszej lidze, a Widzew powinien wytrwale bić się o awans. Zobaczymy.

BOGDA MADEJ

PLASTYKA

TYDZIEŃ PLASTYKI I CO DALEJ?

ANDRZEJ GRUN

Tegoroczna, VII Łódzka Wiosna Artystyczna, działa się pod znakiem plastyki. Zorganizowany staraniem Okręgu Łódzkiego ZPAP, Tydzień Plastyki nadawał ton całej wiośnie, a w każdym razie, biorąc pod uwagę ilość i różnorodność imprez, miał wszelkie dane, aby zadecydować rzeczywiście o jej charakterze. Bezpośrednim celem Tygodnia była możliwie (w warunkach łódzkich) najszersza i najwszechstronniejsza prezentacja twórczości artystycznej łódzkiego środowiska plastycznego, z uwzględnieniem (o ile to było możliwe) aktualnych tendencji, które w twórczości łódzkich plastyków znajdują swój poważny wyraz. Celem pośrednim była chęć przedstawienia społeczeństwu miasta pewnych wybranych problemów, związanych z „obecnością sztuki w środowisku człowieka", co wynika z faktu, że Łódź jest największym w kraju skupiskiem plastyków pracujących w różnych dziedzinach sztuki użytkowej.

W swojej wypowiedzi prezes Zarządu Okręgu ZPAP, **Wiesław Garboliński**, stwierdził:

„Właśnie w tych innych dziedzinach, jak na przykład projektowaniu przemysłowym, czy w zakresie architektury wnętrz mamy sporo sukcesów, ale odnoszą się one najczęściej do jednostkowych rozwiązań. W naszym odczuciu jest to niewystarczające. Chcielibyśmy, aby ta działalność miała charakter ingerencji w kształtowanie całego środowiska człowieka, by miała ona charakter celowej i zaplanowanej formy aktywności twórczej. Wiąże się z tym problemem cały zespół zagadnień. Zaczynać trzeba od samego stosunku twórców do tego społecznego zadania, od charakteru ich myślenia i propozycji estetycznych, później trzeba rozwiązać kwestię wychowania estetycznego poprzez popularyzowanie m. in. zagadnień racjonalnego i estetycznego urządzania mieszkań, kultury ubioru. Dalej — zapewnić artystom plastykom współuczestnictwo w tworzeniu naszej architektury, ich udział w kształtowaniu przestrzeni, otaczającej nasze mieszkanie, miejsce pracy czy rekreacji. Nasza ingerencja powinna sięgać także do warsztatu pracy. Ład plastyczny, racjonalnie z punktu widzenia funkcji i estetyki zaprojektowana maszyna czy narzędzie, sensownie opracowany system informacji wizualnej, odpowiednio do przesłanek psychologicznych zaprojektowana kolorystyka wnętrz, oto czynniki wyznaczające humanistyczne i społeczne cele twórczości plastycznej. Na ten właśnie zespół zagadnień chcemy zwrócić uwagę w Tygodniu Plastyki Łódzkiej.... Dlatego też usilnie dążymy do stworzenia centrum wzornictwa przemysłowego, zarówno w sensie koncentracji, potencjału twórczego, jak i instytucjonalnego".

Czy zamierzenia te zostały i zostaną spełnione? Na to pytanie na podstawie imprez, które odbyły się w Tygodniu Plastyki, nie odpowiem. Nie przypuszczam też, aby w tej chwili mogli na nie odpowiedzieć również sami organizatorzy. Tego rodzaju spraw nie realizuje się z dnia na dzień. Musi upłynąć pewien czas, abyśmy mogli przekonać się naocznie, czy rzucone ziarno zakiełkuje i jakimi owocami obrodzi. Samo zorganizowanie jakiejś tam ilości wystaw naraz, czy napisanie takich czy innych artykułów, czy wreszcie jakaś ilość spotkań i dyskusji, które się odbyły i odbędą, nie stanowi gwarancji pozytywnego efektu. Uświadomić sobie trzeba bardzo dobitnie, że Tydzień Plastyki się skończył, a problemy pozostały.

Święto świętem, lecz najważniejszy jest dzień roboczy i przede wszystkim z dni roboczych składać się będzie każdy tydzień, który jest przed nami. Środowisko łódzkich plastyków wystąpiło (nie po raz pierwszy zresztą) z konkretnymi propozycjami, zademonstrowało próbki swoich możliwości i ambicji — teraz należałoby się spodziewać konkretnych ofert i propozycji. Czy zaistnieją i jakiej będą natury, to się okaże. Wydaje mi się, że środowisko łódzkie odpowiedziało wyraźnie i jednoznacznie na hasło „żyć lepiej, piękniej i mądrzej". Dało (i dawało je przedtem niejednokrotnie) dowody nie tylko gotowości podjęcia każdych zadań artystycznych, jakie stawić może przed nimi nasza aktualna rzeczywistość, ale także wykazało swą dojrzałość obywatelską, taką: jakiej należało oczekiwać od środowiska twórczego, od ludzi, którzy tworzą wartości równie istotne jak węgiel, stal, okręty, mieszkania, chleb...

Wstrzymam się zatem od pośpiesznych ocen; nie będę też recenzował kolejno licznych wystaw malarstwa, grafiki, rzeźby, jakie zmieścił w sobie Tydzień Plastyki. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na pewne sprawy, które wydają mi się istotne, a które ujawniły się szczególnie wyraziście na tle programu Tygodnia i w niektórych wypowiedziach, zamieszczonych z racji jego trwania w łódzkiej prasie. Nie są to sprawy bagatelne i dlatego nie można ich pominąć milczeniem.

Chodzi mi mianowicie o wywiad z naczelnym plastykiem miasta, który zamieścił w swoim artykule **„Plastyka a pejzaż miasta" Stanisław Cuchra-Cukrowski** („Głos Robotniczy" nr 119 — 26. V. br.), a który to wywiad przytoczę poniżej w całości, aby nie być posądzonym o tendencyjny, wygodny mi dobór cytatów.

„W Łodzi powołany został Urząd Naczelnego Plastyka, którego zadaniem najogólniej biorąc jest czuwanie nad szeregiem problemów dotyczących estetyki miasta. Powołanie tego urzędu wyniknęło z potrzeb i z konieczności szerokiego zakresu spraw, które muszą być koordynowane, a wreszcie programowane. Rozmawiam z naczelnym plastykiem m. Łodzi, panem Zbigniewem Władyką.

— Proszę powiedzieć, jakie są cele i zadania urzędu?

Z. Władyka: — Ustalenie kierunków i zasad kształtowania, zagospodarowania plastycznego miasta. Programowanie prac projektowych i realizacyjnych w zakresie estetyki miasta. Podejmowanie inicjatyw w tym kierunku — opiniowanie.

— Ponieważ jest to bardzo wiele spraw, które trudno pokrótce wytłumaczyć, proszę o odpowiedź, jakie środki wyrazu mieszczą się w tych działaniach?

— Z.W.: — Kolor — elewacje, wnętrza użyteczności publicznej, reklama, oświetlenie, propaganda wizualna. Układy żieleni i miejsc rekreacji.

— W najbliższym okresie?

— Konieczność badań, inwentaryzacja i klasyfikacja wartości krajobrazowych istniejącej zabudowy i elementów plastycznych. Programowanie i badanie nowego otoczenia w kontekście wartości istniejących (skala, forma, barwa). Przeciwdziałanie uniformizacji środowiska. Są podstawy prawne do realizacji tych zadań.

— Czy zaistnieją niebawem fakty, które będą wyraźnie zauważalne?

— Z.W.: — Iluminacja miasta, zrealizowano iluminację Radogoszcza, w trakcie realizacji — plac Wolności, a następnie ulica Piotrkowska, tzw. wjazdy do miasta. W opracowaniu koncepcja podniesienia standardu osiedli mieszkaniowych. Na Dąbrowie i Zarzewie zrealizuje się ścieżki zdrowia, place zabaw, elementy plastyczne w postaci rzeźb itp".

Można by właściwie na tym poprzestać, tak jak poprzestano swego czasu na powołaniu Urzędu Naczelnego Plastyka i na mianowaniu na to stanowisko człowieka, który się na to pierwszy zgodził.

Działalność plastyka miasta, który za ukoronowanie swojej kilkuletniej pracy uważa iluminację ulicy Piotrkowskiej kolorowymi żarówkami na sznurkach oraz budowę ścieżek zdrowia musi budzić w każdym logicznie myślącym człowieku poważne wątpliwości. Po pierwsze — Piotrkowska to nie remiza strażacka na czas sobotniej zabawy. Po drugie — do iluminacji potrzebny jest elektryk, a nie naczelny plastyk. Po trzecie — studia, jak powinna wyglądać dobrze urządzona ścieżka zdrowia wykonano już w Szwecji, Stanach Zjednoczonych, a także i na AWF w Warszawie. Po czwarte — co plastyk miasta rozumie (w kontekście tego, co robić powinien i co robi) pod określeniami: „programować", „badanie"; co w jego pojęciu znaczy: „ustalenie kierunków i zasad kształtowania, zagospodarowania miasta"; co to znaczy z pozycji jego stanowiska, a także jego kompetencji zawodowych; „programowanie prac projektowych"? Po piąte — jak rozumieć należy gotowość do podejmowania „inicjatywy w kierunku — opiniowania?"

Nie byłoby tych pytań, gdyby kilkuletnia działalność naczelnego plastyka przyniosła rzeczywiste, realne wyniki, a nie tylko kolorowe żarówki na Piotrkowskiej. Mogłyby to być efekty dyskusyjne, ale niech by one były. Tymczasem zapanowała u nas przedziwna moda na „studiowanie", „badanie", „programowanie". Każdy prowadzi jakieś „studia" nad czymś i „bada" coś. Z reguły zresztą prowadzi się „studia" nad tym, co już na świecie przestudiowane i wystudiowane; z reguły „bada" się tu coś, co już dawno, gdzie indziej zbadano od początku do końca. Tam, gdzie istnieje niechęć do konkretnej roboty lub niemożność jej wykonania z racji własnych niekompetencji, mowa jest zwykle o „badaniach" i „studiach".

Sprawy, którymi zajmować się winien plastyk miasta, zwłaszcza tak skomplikowanego miasta, jakim jest Łódź, wymagają przecież ogromnej wiedzy, doświadczenia i przygotowania teoretycznego i praktycznego.

Tam, gdzie bój idzie o nowoczesność, nie może być mowy o chałupnictwie. Zdaję sobie sprawę, że takie stawianie sprawy jest przykre dla wielu, ale uważam, że jest konieczne. Chodzi przecież o miasto, o jego wygląd, o sprawy dla jego mieszkańców ważne.

Fot. Archiwum

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

TADEUSZ PAPIER

Fot. Włodzimierz Parys

Tadeusz Papier urodził się 9 lipca 1914 roku w Busku-Zdroju. Studiował polonistykę w Uniersytecie Warszawskim. W 1938 roku pracował jako sekretarz redakcji czasopisma „Orka na Ugorze". Podczas okupacji uczył na tajnych kompletach. Po wyzwoleniu zamieszkał w Łodzi, dokąd przybył z Lublina w lutym 1945 roku. Był sekretarzem redakcji i redaktorem technicznym „Wsi", sekretarzem technicznym „Łodzi Teatralnej" (1949), pracował w Wytwórni Filmów Fabularnych (1950—1955), dalej w kolejności związany był z redakcjami: „Łodzi Literackiej" (1954), „Kroniki" (1955—1958), „Odgłosów" (1958—1964). W latach 1966—1967 pełnił funkcję sekretarza redakcji kwartalnika literackiego „Osnowa", a następnie kierował redakcją społeczno-polityczną Wydawnictwa Łódzkiego.

Debiutował w roku 1945 monografią „Gmina Kamień" na łamach „Wsi", a następnie wydał tomy opowiadań: „Morga ziemi" (1952), „Kowale" (1953), „Swaty" (1954), „Dwa wygnania" (1961), „Magdalena w nocy" (1962, wyd. drugie zmienione jako powieść — 1971); powieści: „Nowe skiby" (1954), „Diabeł w Żywocicach" (1955), „Powtórna śmierć Boryny" (1965), „Dziadek i Róża" (1965), „Narodziny Gerty" (1969), „Diablica z Mediolanu" (1973) oraz zbiory publicystyczne: „Zielony szlak" (1960) i „Z zapisków kronikarza" (1969).

Jako prozaik i publicysta Papier zajmuje się wyłącznie tematyką życia wsi, podejmuje zagadnienia współczesne, jedne z najtrudniejszych dla pisarza. Wieś polska jest przecie terenem ciągłych przemian społecznych, obyczajowych, ekonomicznych i kulturalnych. Dla wielu autorów uchwycenie tych złożonych procesów jest sprawą wiedzy, studiów i wyobraźni w związku z fragmentaryczną i pośrednią znajomością wsi. W przypadku Tadeusza Papiera mamy do czynienia z odwrotnym zjawiskiem. Temat wsi jest dla niego wciąż żywy, wsparty autopsją, więzami rodzinnymi, rodowodem społecznym. Nic więc dziwnego, że wśród pokaźnego dorobku literackiego pisarza niewiele można znaleźć takich pozycji, które nie dotyczą tych problemów. Odszukać je można bez trudu nawet w wyborze szkiców i esejów „Z zapisków kronikarza", traktujących o relacjach pisarz — książka — czytelnik, a szczególnie o oddziaływaniu literatury w środowisku wiejskim.

Proza Papiera ukazuje ciągłość przemian wsi, jej rozwój zarówno pod względem gospodarczym, jak i politycznym. Pisarz widzi wieś nie statycznie i nie jednostronnie, ale w ustawicznym ruchu, w grze przeciwnych stanowisk („Morga ziemi", „Kowale"). Patrzy na te przeobrażenia bez żadnych złudzeń, potrafi je ocenić. Tak jak i wielu jego bohaterów, zdaje sobie sprawę, że wszystko co nowe wyrasta na gruncie panujących dotychczas wartości.

Pierwsze opowiadania Papiera dotyczą aktualnej problematyki lat 1950—1960. Zajął się w nich z jednej strony typowym jeszcze dla stosunków kapitalistycznych na wsi zagadnieniem tzw. prawa spadkowego („Wróblowie"), z drugiej zaś — problemem przechodzenia na inną formę gospodarki i powstawaniem spółdzielni produkcyjnych („Kowale", powieść „Nowe skiby").

Rozszerzenie i pogłębienie tego obrazu przynoszą późniejsze teksty Papiera, wśród których na specjalną uwagę zasługuje zbiór reportaży „Zielony szlak". Książka ta jest nie tylko ciekawą fotografią prowincji od gminy po powiat, ale jest też próbą prześledzenia i skonfrontowania nowych osiągnięć wsi z przeszłością. Sięga tu Papier do wspomnień starych działaczy ludowych, do dokumentów historycznych ukazujących w różnych przejawach życia walkę „nowego" ze „starym".

O tym, jak bardzo jest bliska Papierowi forma reportażu, świadczy fakt, że często nawet utwory beletrystyczne buduje według wzoru reportażowego („Przełomowy dzień Piotra Gwiazdy" ze zbioru „Kowale" czy „Dwa wygnania"). Stosowanie „małej formy" pozwala (wskazują już na to wzory opowiadań realistów XX wieku) na rezygnację ze studiowania wielu typów bohaterów (na co może pozwolić sobie pisarz w powieści), na korzyść przedstawienia postaci głównej. Wtedy, gdy czytelnik poznaje w miarę dokładnie przeżycia, charakter, psychikę, ambicję jest skłonny podzielać z bohaterem jego sprawy. I tak np. w opowiadaniu o Orliku („Nowator") widzimy, jak pisarz stopniowo i wnikliwie rozwija i wzbogaca świadomość chłopa; każdy jego krok i posunięcie jest umotywowane i zrozumiałe. Dowodzi to nam, że głównym zamierzeniem autora jest ukazanie wszelkich zmian w obliczu wsi poprzez przemiany i przeżycia w świadomości człowieka. Otrzymujemy dość ciekawie przedstawiony świat autentyczny, widziany od wewnątrz, oczami mieszkańca wsi.

Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na kreację bohaterów książek Papiera. Niejednokrotnie ma się wrażenie, że czytamy pamiętnik autora, w którym ożywają wspomnienia i bliscy mu ludzie. Nic w tym dziwnego, bo rzeczywiście wiele wydarzeń i postaci jest autentycznych, zaczerpniętych z własnej biografii pisarza, z historii i życia wsi rodzinnej(chociażby Melania i jej synowie z „Powtórnej śmierci Boryny" czy Stryjna z „Dziadka i Róży"). Jest w tym „pamiętniku" coś ciekawego; mianowicie pozbawiony został w większości z sentymentalizmu, z subiektywnego spojrzenia i oceny. Autor starał się usunąć z pola widzenia siebie — obserwatora zdającego tylko relację. Unikając komentarza, podkreśla jednocześnie swoje przywiązanie i szacunek dla tych ludzi i spraw, którymi oni żyją. Przykładem takiej postawy pisarza są „Narodziny Gerty", książka poświęcona polskości i drodze do polskości. Problem postawiony w niej przez Papiera jest problemem psychologicznym (repolonizacja Gerty, pochodzącej z częściowo zgermanizowanej rodziny), mimo że duchowego wnętrza tytułowej bohaterki nie znamy właściwie wcale. „Organizowanie świadomości" Gerty to zadanie dla otaczającego ją środowiska i najbliższej rodziny. Powieść ta pisana jest techniką rekonstruowania przeszłości (dzieje dwóch rodów) na podstawie starych fotografii, listów i wspomnień z nimi związanych. Technikę tę zastosował Papier już we wcześniej wydanej powieści „Powtórna śmierć Boryny".

Książkę tę dedykował „Lipcom — wsi Reymonta, Janinie — wsi Ojca". Sam tytuł jak i dedykacja sugerują nawiązanie do tradycji epopei chłopskiej. Powieść jest bardzo ciekawie zrealizowanym pomysłem — refleksje nad rodzinnymi pamiątkami i fotografiami, wspomnienia. Oczywiście nie jest to nowy chwyt w literaturze, ale dzięki prostej formie narracji wszystkie opisywane zdarzenia i wypadki przemawiają z wielką ekspresją.

Postaci jest wiele, a każde zdjęcie to jeden moment z ich życia: doznania osobiste czterech pokoleń rodziny, obrazy wielkich i małych przeobrażeń wsi. Łącznikiem między przeszłością i teraźniejszością jest ciotka Melania — uosobienie dobroci, rozsądku i doświadczenia życiowego. Zwracając się do narratora książki słowami: „Ty żyjesz w mieście, ale tęsknisz do naszej Wsi i musisz przyjechać do niej chociażby raz do roku. Przez to, że tęsknisz, tak jak w tym, co mówisz o niej i o nas, upiększasz" — podkreśla związek ze wsią, umiłowanie życia i tych ludzi.

Obok znanych motywów z życia wsi pojawiają się w twórczości T. Papiera także i inne tematy. Wspomnieć chociażby „Diablicę z Mediolanu" (próba powieści szpiegowskiej) „Magdalenę w nocy" (problematyka środowiska młodzieżowego) czy przywołany już wcześniej cykl „Z zapisków kronikarza".

Osobną grupę stanowią scenariusze filmów dokumentalnych i oświatowych, słuchowiska radiowe i przeróbki teatralne („Młodość Jana Kunefała" — widowisko telewizyjne według powieści Stanisława Piętaka, „Wesele Boryny" — widowisko teatralne według powieści Reymonta i zapisów folklorystycznych).

JADWIGA KUCZYŃSKA

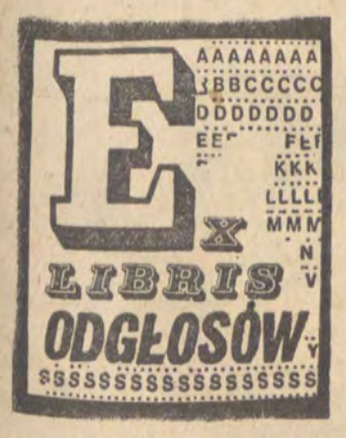

WIADUKT

Już po raz trzeci na przestrzeni ostatnich lat ukazuje się almanach Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy „Wiadukt" przy Zarządzie Wojewódzkim ZSMW w Łodzi. Rzecz ukazała się pod redakcją Tadeusza Daszkiewicza i Marka Złocha, nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

We wstępie do publikacji czytamy: „Potrzebne jest nam połączenie wysiłków, scalenie ich, współnota, a nie rozbicie, nie tworzenie mikroświatów (...). Wierzę głęboko w to, że pisarze i krytycy rozpoczną dialog, w którym nie będzie miejsca na metafizykę" — kończy przedmowę Marek Złoch. Oczywiście w tej deklaracji chodzi o potrzebę dzieł literackich, które będą skutecznym narzędziem w walce o nowy kształt naszego kraju.

Czy te postulaty spełniają utwory publikowane w almanachu? Najogólniej biorąc, chyba tak, choć trudno tu o jednoznaczną ocenę. W „Wiadukcie-3" publikuje około czterdziestu autorów, poziom ich jest różny i choć intencje na pewno chwalebne.

Jeśli chodzi o krytykę, najciekawsze są prace Stefana Melkowskiego „Pisarz w społeczeństwie" i Grzegorza Sztabińskiego „Literatura a plastyka". Interesujące są fragmenty prozy Andrzeja Gerłowskiego i Zygmunta Wójcika, ciekawe wiersze Krystyny Wiśniewskiej, Wandy Mandzlik, Stanisława Srokowskiego.

Tom „Wiadukt-3" jest jeszcze jednym potwierdzeniem aktywności młodego środowiska literackiego spod znaku KKMP.

„Wiadukt-3" Wyd. Łódzkie, cena 17 zł.

FRASZKI POLSKIE

Tuwimowskie dzieło „Cztery wieki fraszki polskiej" doczekało się potomka. Oto Wiesław Brudziński opracował i wydał prozą urocza antologię „Piąty wiek fraszki polskiej". I oczywiście — jako, że u nas uwielbia się polemiki i spory w sprawach błahych, rozpętała się dyskusja na temat... tytułu. Czy to istotnie „piąty wiek" — a może jeszcze dalszy ciąg czwartego?

Dalibóg, nie wiem i nie zastanawiałem się nad tym. Wiem tyle, że antologia Brudzińskiego jest ciekawą i dowcipną książką do czytania. Rzecz prosta, jak w wypadku każdej antologii można by się spierać, kogo w niej pominięto, a kogo uhonorowano ponad miarę. I na pewno takie zarzuty padną i na pewno niektóre nawet nie będą pozbawione racji. Ale tak czy owak mamy całkiem udany wybór fraszek z okresu trzydziestu lat Polski Ludowej.

Trudno zliczyć utwory — są ich dziesiątki, równo sześćdziesięciu autorów. A wśród nich tacy mistrzowie fraszki, jak Jan Sztaudynger, Stanisław Jerzy Lec, Ildefons Gałczyński... Są oczywiście także łodzianie — Czarny, Giegier, Huszcza, Safrin: są byli łodzianie, jak Piechal. Groński: jest garść epigramów prof. Tadeusza Kotarbińskiego... Słowem ciekawa książka do czytania, a jednocześnie specyficzny rozdział współczesnej poezji trzydziestolecia.

„Piąty wiek fraszki polskiej". Wybór Wiesława Brudzińskiego. Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 22 zł.

OKRUCHY WSPOMNIEŃ

Są autorzy, którzy jedną i tę samą książkę wydają dwukrotnie pod różnymi tytułami. Wiktor Frantz — krakowski bibliofil i wydawca, postąpił odwrotnie. Dwie różne książki wydał pod tym samym tytułem. Tyle, że kolor obwoluty zmieniono na zielony, bo nawet graficzny obraz okładki jest taki sam.

Wiktor Frantz mógł sobie na ten figiel pozwolić bez szkody dla kolegów księgarzy. Ta książka leżeć w witrynach długo nie będzie, bo każdy, kto pamięta poprzednie „Odłamki wspomnień" po tę urokliwą książkę sięgnie.

Autor który czterdzieści lat bez mała przepracował w wydawnictwach — od przedwojennego Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych, na obecnym Wydawnictwie Literackim kończąc — tak pisze: „Praca nad książką nigdy nie była dla mnie pańszczyzną, zawsze sprawiała mi przyjemność, mimo różnych krótkich spięć i przykrych niespodzianek...". Można temu wyznaniu wierzyć czytając te wspomnienia pełne miłości do ludzi i książek, nasycone wiedzą i humorem. Jest to jeszcze jedna z wielu publikacji Wydawnictwa Literackiego, przeznaczona dla tych, co kochają książki. A tych jest w Polsce daleko więcej niż pięć tysięcy — jakby można przypuszczać patrząc na nakład uwidoczniony w edytorskiej „stopce".

„Odłamki wspomnień Wiktora Frantza", Wyd. Literackie, cena 25 zł.

CENA WOLNOŚCI

Wspomnienia Tadeusza Fedorowicza dotyczą lat tragicznych i obfitujących w bolesne dla narodu wydarzenia. Oczywiście chodzi o wojnę. Zresztą i przed wojną Fedorowicz zajmował się walką z hitlerowcami, tropił „piątą kolumnę".

Potem Fedorowicz brał udział w kampanii wrześniowej, był kilkakrotnie ranny, potem podjął działalność konspiracyjną, tworząc organizację wojskową, która włączyła się następnie do AK. Szeroki zasięg działalności konspiracyjnej autora „Ceny wolności" obejmuje m. in. powiązania z warszawskim ruchem podziemnym. Kilkakrotnie aresztowany, Fedorowicz przeszedł ciężkie śledztwa gestapo w Warszawie i Krakowie, a potem wędrówkę poprzez obozy koncentracyjne w Gross-Rosen, Fünfteichen i Mauthausen.

Swoim bojowym konspiracyjnym i obozowym życiorysem mógłby Fedorowicz obdzielić kilka osób — tyle w życiu przeszedł i tyle zdziałał.

Wydana w Krakowie księga, jego wspomnień otrzymała nagrodę na konkursie ZBoWiD w Nowej Hucie. Na tym samym konkursie otrzymał nagrodę pamiętnik jednego z podkomendnych Tadeusza Fedorowicza — Antoni Roczmierowski. Także i jego książka pt. „Krzyżackie widmo" ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Ciekawym zbiegiem okoliczności w partiach dotyczących działalności konspiracyjnej na terenie Krakowskiego relacje obu tych książek wzajemnie się dopełniają, co daje rzadko spotykany w literaturze pamiętnikarskiej efekt wynikający z wielostronnego oświetlenia tych samych faktów.

Tadeusz Fedorowicz „Cena wolności", Wyd. Literackie, cena 45 zł.

TAMTEN BRZEG

Janina Broniewska najpierw napisała słynny „Notatnik korespondenta wojennego", dokonując w tej wspomnieniowej książce niezwykle cennego zapisu lat wojny i działania polskiej lewicy w Kraju Rad. Zachęcona powodzeniem „Notatnika" wróciła następnie do lat międzywojennych, aby przekazać osobistą i bardzo wzruszającą relację wspomnieniową.

Tak więc powstało „Dziesięć serc czerwiennych" w roku 1961 — potem w roku 1964 — „Maje i listopady", aby wreszcie zakończyć trylogię międzywojenną na klęsce wrześniowej w pamiętniku „Tamten brzeg mych lat".

Razem z „Notatnikiem", te cztery książki pisarki, związanej silnie z polską lewicą, układają się w piękny i cenny poznawczo cykl. Ponieważ wszystkie pozycje ukazywały się na przestrzeni wielu lat, myślę że warto, by je wydać razem.

Janina Broniewska, „Tamten brzeg mych lat". Książka i Wiedza, cena 35 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

SZARGANIE ŚWIĘTOŚCI

Ludzie są dziwni. Wystarczyło, że dwa tygodnie temu opublikowałem w tym miejscu frywolny wierszyk Adama Mickiewicza, a już usłyszałem wiele przykrych słów na mój temat. Że szargam świętość narodową, że wywlekam jakieś wierszydła, o których autentyczności, nikt, nic pewnego powiedzieć nie może, że lepiej bym się zajął opiewaniem „Pana Tadeusza" na przykład, zamiast szukać wątpliwych sensacji...

Po pierwsze — co do autentyczności. Ów frywolny wierszyk opublikowano w trzecim tomie korespondencji filomatów w roku 1913, i to opublikowano z autografu wieszcza.

Po drugie — co do „Pana Tadeusza". Owszem, to monumentalne dzieło w najszej literaturze, ale tak się nim dogłębnie zachłyśnięto, że młodzież woli „bryki" niż czytać poemat. A dorośli już potem nie czytają.

Lecz przecież jest to poemat pełen do dziś urokliwych tajemnic. Ale pokażcie mi polonistę, który wprzęgnie uczniów do detektywistyczny poszukiwań w tekście „Pana Tadeusza". Niestety — odklepuje się te wszystkie „opisy przyrody", „sceny rodzajowe", „zachody słońca"... A można inaczej? Można.

Julian Przyboś, który przecież żywił ogromny kult dla Mickiewicza, tak pisał: **„Obrazy przyrody w „Panu Tadeuszu" są zaiste jakby wyjęte z raju wymarzonego przez realistę. W raju tym jednocześnie kwitną kwiaty wiosenne i dojrzewają owoce jesieni. W tym samym czasie fiołki i astry zdobią jakiś idealny sezon, w którym mak mami źrenice wielością farb żywych, różnych i w którym dojrzewa harbuz, żniwiarze kończą żniwa i kosi się trawę, a święto Matki Boskiej Zielnej, przypada na Niedzielę Palmową...".**

Rzeczywiście tak jest w „Panu Tadeuszu"! Więc może zamiast dukać o sztampowym „pięknie przyrody" warto poczytać poemat pod tym kątem? Jestem pewien, że taka znajomość poematu zostanie trwałą wartością poznawczą, estetyczną i intelektualną — a na pewno nie pozostawi uczucia nudy.

Uwagi na podobny temat zgłaszał i profesor Kazimierz Wyka, twierdząc, że poeta nie zwracał uwagi na kalendarz. Oto, co pisze Wyka: **„Kapusta jest dojrzała, zawiązana w wielkie łby, a zatem jest to kapusta jesienna; równocześnie kwitnie bób (..) słowem, mieszają się pory roku".**

Czy to dziwne? Nie, nic dziwne. Mickiewicz pisząc „Pana Tadeusza" w obcym Paryżu, uciekał w „kraj lat dziecinnych" — mieszały mu się więc barwy lata i jesieni, mieszały się obrazy i wspomnienia, mieszały się pory roku.

Pisał przecie:

„...w świecie nieproszonych gości
W całej przeszłości i całej przyszłości
Jedna już tylko jest kraina taka
W której jest trochę szczęścia dla Polaka:
Kraj lat dziecinnych!"

No, właśnie. Tam, na paryskim bruku, tworzył Mickiewicz swój pamiętnik artysty, w którym Zosia myli się z Marylą Wereszczakówną, Soplicowo z Tuchanowiczami... Tam powstała owa wizja szczęśliwego kraju i szczęśliwych lat o której potem Przyboś napisze, że są „rajem wymarzonym przez realistę".

Bo tak przecież było. Mickiewicz tworzył swój rzeczywisty — nierzeczywisty kraj. I te wszystkie pomyłki, niekonsekwencje, te wszystkie tajemnice tekstu stają się jasne, oczywiste. I już wiemy, dlaczego tak ich wiele.

Czy ta świadomość oddali od nas piękno poematu? Czy go pomniejszy? Nie, pozwoli natomiast zrozumieć „Pana Tadeusza" i jego twórcę.

Niestety. W tysiącach szkół klepie się gombrowiczowskie **„albowiem wielkim poetą był!".** I nikt nie chce czytać Pana Tadeusza — Mickiewicz ma za to cały legion obrońców, których mu wcale nie trzeba.

WIDOK

LEWYM OKIEM

ŚCIANA PŁACZU

Na bardzo ruchliwym dworcu kolejowym, w jednym z wielkich naszych miast jest szalet męski, a w nim urzęduje sprytna staruszka. Szalet — jak prawie wszystkie tego rodzaju przybytki — dzieli się na parę kabinek i na „ścianę płaczu", której użytkowanie przez panów nigdzie na świecie nie wymaga opłaty. Staruszka jednak musi wykonać swój plan obrotów, a w ogóle to chciałaby zarobić, ludzka rzecz. Przeciąga więc sznurek od okna do drzwi i zagradza nim drogę do „ściany płaczu", zmuszając każdego klienta do korzystania z kabiny — oczywiście za przepisową opłatą. „Przychodzą tu i leją za darmo, a ja muszę sprzątać!" — mruczy za mną, wyciągając ręce po myto. Wcale zresztą nie sprząta i po odstaniu ładnych paru minut w kolejce wchodzi się prosto do...

Nie powiem, gdzie to się dzieje, bo droga często mi tamtędy wypada i boję się, że mnie w ogóle nie wpuszczą.

W pewnej uzdrowiskowej miejscowości jest jedna kawiarnia z dancingiem, a blisko dwa tysiące kuracjuszy nie mających co zrobić z czasem. Kawiarnia mieści sto osób. Portier ma jedną rękę, ale sprawną. Nigdy mi się nie zdarzyło usłyszeć, że są na wieczór wolne stoliki. Portier stwierdza po prostu, że „na dziś wykupiła „Sasanka", dziś bawi się „Bławatek", dziś zajmuje salę „Dyrdymałka". Karty wstępu są jednak u niego w kieszeni, po cenie zależnej od popytu. Nie powiem, gdzie to jest, bo w tym roku też pewnie będę tam spędzał urlop i nie chciałbym być skazany na numerus clausus z owej kawiarni.

Mechanizm zdobywania dodatkowych dochodów jest nader prosty: stwarza się świadomie specjalne trudności, aby potem żądać zapłaty za ich usuwanie. Czasem nawet nie potrzeba stwarzać tych trudności. Wystarczy o nich mówić. Hydraulik wygarnie ci całą litanię niezmiernych przeszkód, które będzie musiał zwalczyć przy zakładaniu uszczelki. Oszołomiony ulacisz, a potem uszczelkę zakłada się w pięć minut. Mówię również i teraz z własnego doświadczenia, ale nie powiem co to za hydraulik, bo może będę jeszcze potrzebował jego pomocy.

Jak widzicie — niniejszy felieton poświęcony jest granicom krytyki prasowej. Granice te pokrywają się z granicami bytowych zainteresowań piszącego. To śmieszny paradoks, ale naprawdę krytycznie, w sposób zdecydowany, ostro, a więc z szansą na skuteczność, jesteśmy w stanie pisać tylko o sprawach, które nas nie osobiście nie obchodzą i o ludziach, jak najdalej od nas działających, jak najmniej nam znanych. Gdybym napisał, że w naszym najbliższym sklepie nie doważa się szynki, dolewa wody do mleka i dokłada cebuli do śledzi — nigdy bym nie dostał w tymże sklepie świeżej angielki i nic bym na to nie poradził. Wolę więc pisać o sklepach w dalekich miastach, albo o sklepach w ogóle, czyli o żadnych. Z tych samych powodów klienci bardziej stali nigdy, przenigdy nie proszą o książkę zażaleń — nie, przepraszam: o książkę uwag i wniosków. Tak się teraz nazywa to, czego zresztą i pod nowym imieniem nigdzie nie znajdziesz i nie otrzymasz. Podkreślam nigdzie, a to znaczy, że nie mówię o naszej przemiłej spółdzielni, ani o naszej pralni, ani o naszej piekarni. Gdzież bym ta śmiał...!

Niechęć do jakichkolwiek konfliktów z ludźmi, umiłowanie świętego spokoju powoduje często, że ów zaczarowany krąg własnych bytowych interesów, w którym lepiej nie dostrzegać ani belki ani źdźbła w niczyim oku, poszerzany bywa przez niektórych o dodatkowy promień strefy zainteresowań ewentualnych, i jeszcze o dodatkowy — strefy zainteresowań nie wykluczonych, i jeszcze... Aż wreszcie zaczyna się bardzo śmiesznie i bardzo inteligentnie mówić o sprawach całkiem jakby nie z tego świata, albo i w ogóle nic nie mających wspólnego z jakimkolwiek światem. Rodzi się humor abstrakcyjny, przezywany przez niektórych wciąż jeszcze satyrą. Są takie „satyryczne' audycje w radio, niezmiernie nowoczesne, świetne, arcydowcipne, podawane przez świetnych aktorów. Słucham ich z całą przyjemnością, ale po imieniu nie nazwę — zgodnie z głoszonym tu prawem. Słucham i myślę cichutko: czemuż w tej satyrze coraz mniejsze „S", co ona chce osiągnąć oprócz przelotnego uśmieszku, o co jej właściwie chodzi? A może satyra — ta satyra, tradycyjna, zaangażowana — staje się gatunkiem wymierającym, przegrywa z nowym czasem, więdnie jak lasy zatruwane oddechem wielkiej chemii?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

SKARBY NA ŚMIETNIKU

Swego czasu obliczono, że mieszkaniec Warszawy tworzy dziennie 3,2 litra różnych odpadów. Czterosobowa warszawska rodzina daje w ciągu roku około tony śmieci. Ile tego „produkuje" łodzianin? Można podejrzewać, że tyle samo, albo i więcej, gdyż ilość śmieci, jakie musi pozostawiać po sobie człowiek, rośnie z roku na rok. Zmienia się też nieustannie jakość tych śmieci. Coraz szersze wprowadzanie tworzyw sztucznych do wytwarzania opakowań czyni niektóre z odpadów niezniszczalnymi.

Każdy z nas jednakże, „produkując" śmieci, „produkuje" również surowce wtórne. Jest to prawda znana od dawna, z którą u nas nie wiadomo, co zrobić. Posiadamy nawet CENTRALĘ SUROWCÓW WTÓRNYCH, która w czasie swego istnienia zmieniła już 9 mocodawców. Obecnie podlega Państwowej Radzie Gospodarki Materiałowej i to może wreszcie rozsądna decyzja, gdyż mocodawcę CSW interesować będą wszystkie surowce wtórne, a nie tylko szmaty, albo metale, albo kości, albo coś jeszcze, na zasadzie wyboru i prymatu.

Jednakże podległość to tylko połowa sprawy, to tylko właściwe ustawienie — jak to się ładnie mówi — profilu przedsiębiorstwa. Cała reszta sprawy śmieci znajduje się — niestety — na śmietniku. I to bez przenośni. Dosłownie.

Oto przed kilku dniami CENTRALA SUROWCÓW WTÓRNYCH rozesłała do 47 redakcji gazet, czasopism, radia i TV specjalne pismo, w którym „zwraca się ponownie z prośbą o podjęcie przez Waszą Redakcję akcji propagandowej w sprawie intensyfikacji zbiórki surowców wtórnych, a w szczególności makulatury".

Dlaczego nagle CSW zainteresowała się zbiórką makulatury, którą „produkujemy" od dawna i od dawna nie wiadomo, co z nią robić? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w piśmie CSW:

„W ostatnim czasie dały się zauważyć trudności w przemyśle papierniczym, spowodowane wielokrotną podwyżką cen celulozy, importowanej z krajów kapitalistycznych, a także awarią celulozowni w największych Zakładach Cel-Papierniczych w Świeciu n/Wisłą"

Przypomniano więc sobie, że tona makulatury zastępuje 650 kg celulozy, a tona szmat — przeszło 400 kg celulozy. Przypomniano sobie również, że:

„Istotny kierunek w dziedzinie surowców zastępczych stanowi zastosowanie w produkcji surowców wtórnych, w których nasz przemysł pozostaje daleko w tyle za wysoko rozwiniętym i nowoczesnym przemysłem krajów kapitalistycznych".

Do tej pory byliśmy uprzejmi sprzedawać surowce wtórne tym właśnie krajom, wychodząc widać z założenia, że jesteśmy zbyt bogaci, aby zajmować się przetwarzaniem śmieci. I dlatego zaniedbaliśmy dokładnie tworzenie systemu skupu surowców wtórnych i zaniechaliśmy sposobów pozyskiwania skarbów, jakie walają się po śmietnikach. Ale CSW jest innego zdania. Uważa ona, że „...istnieje potrzeba wytworzenia społecznej akceptacji dla sprawy gromadzenia i zbiórki surowców wtórnych, a w szczególności makulatury. Tego nawyku, jak dotąd, w społeczeństwie polskim brak. Jest to wynikiem braku szerokiej, prawidłowej i wyczerpującej informacji w tej dziedzinie życia gospodarczego". I **choć nie powiedziano tego dosłownie, to łatwo można domyślić się, że znów zawiniła prasa, radio i telewizja.**

Pozwolę sobie być jednak odmiennego zdania. Uważam, że niezbędną świadomość to my mamy, tylko nie bardzo mamy co robić ze śmieciami. Marnotrawstwo śmieci polega na tym, że wszystko — od suchego chleba po stary regał — wyrzuca się na jeden śmietnik. I nie będzie inaczej, jeśli zbieracze śmieci nie zaczną zaglądać do naszych mieszkań, pytać nas, czy nie mamy czegoś starego do wyrzucenia. Na razie udało mi się podpatrzeć kilku staruszków, którzy grzebią w śmietnikach i zabierają stamtąd skarby, które później niosą do składnic złomu i punktów skupu.

Specjaliści od zbiórki złomu, butelek, szmat i makulatury czekają aż my przyjdziemy do nich z tym wszystkim. Dla bardzo wielu z nas jest to może i patriotyczny obowiązek, ale w skali innych naszych zawodowych i społecznych obowiązków liczący się najmniej. Innym to się po prostu nie opłaca. Łatwiej wyrzucić na śmietnik starą kurtkę niż biegać z nią po punktach skupu. Wiadomo przecież, że różne punkty w różnym czasie ograniczają skupowanie tych lub innych surowców wtórnych. A więc drodzy panowie z CSW nie MY do was, a WY do nas powinniście docierać. Do nas — producentów surowców wtórnych. I to nie tylko w mieście. Również na wsi, gdzie leżą na śmietnikach, strychach i w komorach nieprzebrane skarby surowców wtórnych. Ale oczywiście GS liczy na to, że rolnik zostawi siewy, żniwa, prace polne, prace budowlane, inne zajęcia gospodarskie, załaduje wóz makulaturą, szmatami i innym wtórnym dobrem i pojedzie do magazynu, aby się wiedzieć się, że akurat jest przyjęcie towaru.

Myślę, że nie tędy droga. Sądzę również, że różne — niewątpliwie pożyteczne akcje społeczne — też nie zastąpią racjonalnie zorganizowanego systemu pozyskiwania surowców wtórnych. Ale o takim systemie jakoś cicho. Oczekuję więc za kilka miesięcy następnego pisma CSW, w którym będzie się prosić o popularyzację zbierania metali kolorowych.

MARCIN RODAK

MAGAZYN

ODGŁOSY

Fot. Mircea Albu

LUCY UDZIELA WYWIADU

Tim Gill zajrzał przez okienko do pokoju, w którym przebywa szympans Leo. Widząc go małpa pobiegła w róg pokoju, gdzie znajduje się pulpit komputera i nacisnęła kilka guzików oznaczonych symbolami. W innym pokoju maszyna do pisania włączona do komputera, wystukała odczyt symbolu: „Proszę, Tim, wejdź".

Gill po odczytaniu „listu", nacisnął na swoim pulpicie guzik oznaczający: „Tak". Symbol „tak" błysnął światłem na pulpicie Leo i małpa niezwłocznie podbiegła do drzwi.

Tim Gill, pracownik naukowy Centrum Badań Doświadczalnych w Atlancie i „najlepszy przyjaciel" Leo, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Małpa wzięła gościa za rękę i zaprowadziła go do pulpitu komputera, który jest ich pośrednikiem w „rozmowie". Gill nacisnął kilka guzików, a Leo z uwagą śledził ekran przekaźnika, starając się zrozumieć co on „mówi". Automatyczna maszyna pisząca rejestrowała ich rozmowę:

— Leo, proszę cię, zajmij się Timem.

— Tak — odpowiedział szympans — i natychmiast zaczął „przeszukiwać" głowę uczonego, wyrażając tą czynnością, właściwą w świecie małp, swoją sympatię dla rozmówcy.

Dwadzieścia lat temu uczeni zrezygnowali z prób nauczenia małp „mowy dźwiękowej". Jednakże w ciągu ostatnich pięciu lat, przy pomocy nowych metod i urządzeń udało się uczonym wykazać, że małpy są zdolne do nauczenia się setek słów i układania ich w elementarne zdania mające sens. Pierwszy sukces w końcu lat sześćdziesiątych odniósł psycholog, Allan Gardner, z uniwersytetu Nevada, kiedy spróbował wykorzystać do tego celu alfabet głuchoniemych i stwierdził, że jego podopieczny szympans John, „chwyta" alfabet bardzo szybko. John nauczył się języka gestów na tyle dobrze, że głuchoniemi mogli rozumieć małpę, a ona ich. Pierwsze słowa, których nauczył się John były: „Przyjdź, daj, jeszcze, do góry, słodko, idź, słuchaj, szczotka do zębów, pospiesz się, wyjdź, śmieszne, pić, przepraszam, proszę, jedzenie, kwiat, kołdra, ty, wewnątrz".

Później nauczył Gardner niektóre małpy operowania bardziej złożonymi elementami mowy — na przykład zasadami gramatyki, i zaczęły one wyraźnie rozumieć niektóre słowa, oznaczające pojęcia abstrakcyjne. Te i inne osiągnięcia ostatnich lat pozwalają przypuszczać, że często za śmiesznymi grymasami szympansów kryją się niepospolite zdolności.

Ośmioletnia szympansica Lucy zna już 93 słowa i uczy się nowych, po dwa, trzy w ciągu tygodnia, nieraz po pięciu minutach nauki. Niedawno Lucy udzieliła swego pierwszego wywiadu reporterowi z paryskiego wydania „International Herald Tribune", znającemu język gestów. Wprawdzie spotkanie nie było długie i jego rozmówczyni nie mogła usiedzieć na miejscu. Skakała, chodziła, biegała, tarzała się po podłodze. Niemniej poświęciła reporterowi wystarczająco dużo uwagi, żeby mógł z nią „rozmawiać":

REPORTER (pokazując klucz): Co to jest?

LUCY: Klucz.

REPORTER (pokazując grzebień): Co to jest?

LUCY: Grzebień (bierze go i zaczyna czesać reportera, po czym oddaje mu grzebień). Uczesz mnie.

REPORTER: Dobrze (czesze Lucy).

Najdłuższa rozmowa reportera z Lucy brzmiała tak:

REPORTER: Lucy, chcesz wyjść na ulicę?

LUCY: Na ulicę, nie. Chcę zjeść jabłko.

REPORTER: Nie mam jedzenia, wybacz...

Rozmowa nie była z pewnością „mądra", ale nie ulega wątpliwości, że nastąpiła wymiana zdań, że istniał kontakt. Po każdej wymianie „replik", Lucy i reporter patrzyli sobie w oczy przez kilka sekund. Nie wiadomo, co odczuwała małpa, ale reporter był zdenerwowany.

Obok języka gestów, kontakt między małpą i człowiekiem jest możliwy za pośrednictwem „maszynowego języka" komputera. Małpę uczy teraz tego języka dr Rambo z uniwersytetu stanowego Georgia. Ma on nadzieję, iż przy jego pomocy Lucy nauczy się używać elementarnych „prawideł" składniowych, których brak mowie gestów. Być może, już niezadługo Lucy będzie pomagać dr Rambo w „kształceniu" innych szympansów.

(c)

WENUS - 75

Fot. MIRCEA ALBU

POWIĘKSZENIA

OGŁOSZONKO

„Życie Warszawy" zamieszcza inserat: „sprzedam pół bliźniaka w Gołąbkach". Brzmi to nieco makabrycznie. Coś jakby „sprzedam siostrę w potrawce".

(ROG) O SOBIE

„Przekrój" przypomina film „Sentymentalny pan", do którego scenariusz napisał Zbigniew K. Rogowski. W tym samym numerze informacja, że (rog) zna angielski, rosyjski i niemiecki oraz, że przed laty rozmawiał z Jacquesem Duclos...

Nietrudno zgadnąć, że autorem tych rewelacji jest autor podpisujący się skromnie literkami (rog).

TEMPO

Numer miesięcznika „Poezja" poświęcony trzydziestej rocznicy zwycięstwa — 9 maja 1975, ukazał się w kioskach już około 9 czerwca 1975 r.

Redakcja czasopisma mieści się w Warszawie, drukarnia — w Łodzi. Nie wiadomo więc komu zawdzięczać to zawrotne tempo. Być może zresztą pociągi na trasie Łódź—Warszawa jeżdżą nieregularnie.

LIST Z KSIĘŻYCA

W „Perspektywach" p. Alicja Boniecka z Łodzi pisze, że „dotychczas odczuwała niedosyt materiałów w prasie na temat rodzinnego miasta". Pani B. spisała te uwagi na marginesie artykułu prof. Kalabińskiego, który pisze o roku 1905 w Łodzi.

Aż trudno uwierzyć, że p. Alicja B. jest rzeczywiście — jak pisze — „z Łodzi". Raczej skłonni jesteśmy sądzić, że mieszka gdzieś na Alasce O powstaniu łódzkim napisano w Łodzi i wydano parę książek i opublikowano parę setek artykułów. Głównie na łamach łódzkiej prasy.

Po cóż więc — chwaląc istotnie ciekawy artykuł prof. Kalabińskiego (nota bene publikował też w „Odgłosach") — jednocześnie informować bałamutnie redakcję „Perspektyw", że „dotychczas nie spotkała takiej publikacji".

Czasem, żeby spotkać trzeba szukać. Najprościej w księgarniach. Wtedy listy z Łodzi nie będą listami z Alaski. Albo z księżyca.

20 MILIONÓW OKUPU!

Kidnaping we Włoszech przybiera coraz większe rozmiary. Jest to dziś jedyny kwitnący biznes w tym kraju. W ubiegłym roku porwano 42 osoby, a od początku lat sześćdziesiątych do dnia dzisiejszego „ukradziono" ogółem 350 osób. Suma wypłaconych okupów sięga około 20 milionów funtów szterlingów.

Obecny boom kindnapingu wyjaśniają fachowcy względami czysto praktycznymi. Porywacze ponoszą minimalne ryzyko, a ciągną maksymalne dochody. Wiedzą doskonale, że policja z reguły idzie na rękę żądaniom rodzin i przede wszystkim troszczy się o bezpieczeństwo poszkodowanego. Policja zazwyczaj nie wtrąca się do kontaktów między porywaczami i rodziną, a częstokroć nie rozpoczyna nawet śledztwa aż do chwili wypłacenia okupu.

Komisarz Fernando Masone, naczelnik operacyjnej grupy policji rzymskiej, który kierował poszukiwaniami Paula Getty, wnuka amerykańskiego miliardera, jest zdania, że we Włoszech działa kilka band porywaczy, ale najbardziej obrotne jest niewątpliwie „konsorcjum" mafii sycylijskiej i kalabryjskiej, znane pod pseudonimem „Anonimowi porywacze". Wykryto ją przypadkiem w marcu ub. roku.

Policja przeprowadziła szereg aresztowań i koniec końców wpadł w jej ręce Luciano Ligio, znany morderca mafijny. Zamiast tradycyjnej na Sycylii metody ukrywania porywanych ludzi w potajemnych kryjówkach górskich, banda Ligio posługiwała się odosobnionymi domami farmerów, w których budowała w piwnicach prawdziwe więzienia. Ich pojemność wskazuje na działanie w skali hurtu. Nawiasem mówiąc, Ligio specjalizuje się w porywaniu członków arystokratycznych rodzin włoskich. Takie ma hobby.

Wielkim popytem cieszą się obecnie psy obronne, szczególnie owczarki i dobermany. Obroty hodowców psów wzrosły o 100 procent. Wiele osób kupuje od razu po dwa i nawet trzy psy. Ostatnio ceny na psy gwałtownie wzrosły. Szkolony pies obronny kosztuje dwa tysiące funtów szterlingów. Niektóre rodziny włoskie podejmują jeszcze dalej idące środki ostrożności: umieszczają dzieci w zagranicznych internatach. Ta zataczająca coraz szersze kręgi „ucieczka przed strachem", jak również masowo stosowana praktyka wynajmowania „goryli" do ochrony przed porywaczami, są dziś nieomal jednynm tematem rozmów w tzw. wyższych sferach Włoch. W Mediolanie, w Turynie i Genui ponad 300 zamożnych rodzin wynajęło do własnej ochrony prywatnych detektywów lub byłych bokserów. Ci, których nie stać na taki luksus, postępują tak, jak mieszkańcy Savony: organizują własne „oddziały bezpieczeństwa" patrolujące przez okrągłą dobę ulice oraz szkoły, w których uczą się ich dzieci.

(c)

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ: JACEK BROMSKI

AUTOBUS

W ostatniej chwili dopadłam ruszającego autobusu i z pomocą pasażerów dostałam się do wnętrza.

— Czy ten autobus jedzie do Nakła? — upewniałam się.

— Przepraszam bardzo, ale muszę uściślić — rzekł młody człowiek patrząc na mnie z uwielbieniem — on nie jedzie.

— Jak to?

— Autobus może jechać na przykład koleją. Mój autobus idzie.

— Nie idzie, bo nie ma nóg.

— Przecież mówi się „statek idzie na Kapablankę".

— Chyba Casablankę.

— Niech będzie Casablankę — oświadczył.

W tym momencie poczułam, że rozbiera mnie oczami. Początkowo, jak to nawina kobieta, myślałam, że tylko zdejmie ze mnie płaszcz, bo się zgrzałam w tym wyścigu do autobusu.

— To niech będzie „autobus posuwa się" — zaproponowałam czując, że staję w pąsach.

— Za mało ekspresji — powiada ten bezczelnik, a przy tym ściąga mi żakiet i kładzie na półkę. — Czy pani nie widzi, jak on gna? Przecież to pospieszny:

Postanowiłam zagrać va banque i zapytałam:

— A co pan proponuje?

— „Pędzi", proszę pani, „gna", ot co — powiedział. A ja czuję, że mój rozmówca nie ustaje w swej działalności ubocznej.

— To jakoś tak głupio. Na przykład „czy ten autobus gna do Krakowa? — sprecyzowałam, zdając sobie sprawę, że jeszcze trochę, a zabraknie mu surowca. Pomyślałam wtedy: „Gdyby to był zwykły nachał, to można by go spoliczkować, ale to jest nachał wędrowny. Zresztą kto go tam wie. A nuż dostanie w łeb i zniechęci się?

— Niech będzie, że głupio — powiada i nagle staje się jasne, że poblem przestał go interesować. Nie tylko uspokoił się, ale nawet wzrokiem zaczyna mi powolutku wciągać pantofle.

„O, do diabła — przelatuje mi przez mózg — nie trzeba było pozwalać mu na takie tempo".

— Co pan sobie wyobraża? — zmonitowałam go. — Pierwej się panu nie podoba zwrot: „autobus jedzie do Nakła", a teraz znów „głupio".

— Co? — młodzian złapał się za głowę. — Do jakiego znów Nakła?

— Pytałam, czy to linia do Nakła.

— O, to, to! — ucieszył się. — Nareszcie poprawne sformułowanie: „czy to linia do..." Ale nie do Nakła. My do Krynicy.

— Do Morskiej? — Zainteresowałam się.

— Nie do zwykłej. Ale pani też to nie urządza! — wyjaśnił pospiesznie.

— Skąd pan wie? — starałam się spojrzeć spod grzywki.

— Bo nie przez Nakło! — rąbnął brutalnie.

Zatrzymał autobus. Z wyraźną ulgą otworzył przede mną drzwi, wystawił moją walizkę, płaszcz i parę drobiazgów, których nie zdołał na mnie wciągnąć.

Odtąd nie mogę się opędzić od myśli, że gdybym nie wpadła z tym Nakłem — mogłabym w życiu wiele wygrać. Ostatecznie nie co dzień spotyka się tak romantycznych mężczyzn.

RENATA CZYŻ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 86, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew. 20, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1286. U-12. Nr indeksu 39006/36762.